

№ 156



PISMA

KAROLA DRZEWIECKIEGO

ZEBRANE I WYDANE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

~~~~~  
TOM I.



POZNAŃ.

NAKLADEM J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

1880.

K. 789/63



Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łubiński) w Poznaniu.

## PAMIĘCI

KAROLA DRZEWIECKIEGO.

---

Wydając tę spuściznę po ukochanym przyjacielu po człowieku, dla którego mieliśmy najwyższy szacunek, którego charakter, talent, zdolności mogliśmy ocenić w ciągu długoletnich stosunków, gdy nam przychodzi poprzedzić ją wspomnieniem o nim; — czujemy całą słabość środków, jakimi się wizerunki zmarłych malują dla tych, co ich nie znali.

Są wprawdzie ludzie, co występują tak na scenę świata, na widownię życia, że ich się ogląda całych i nic nie pozostaje tajemnicą — z tego co oni chcieli jawném uczynić. Ale i ci nawet w rzeczy nie takimi są, za jakich by uchodzić chcieli. Inni, a do tych należał ś. p. Karol, nie pokazują się w pełni, droższe uczucia zamykają w sobie jak skarby, myślą niż szafują, okrywają się skromno-

ścią i milczeniem, potrzeba zdobyć ich zaufanie, aby ich poznać i móżd ocenić.

Drzewiecki właśnie był jednym z tych, co świętość myśli i uczuć szanując, oszczędni z okazywaniem obojga, w głębi siebie zamykają co mają najdroższego.

Tylko ci co go blisko i najbliżej znali, powiedzieć mogą, jak wiele w tej zamkniętej piersi mieszkało, jak niewyczerpane zasoby uczuć w sercu, myśli pod tem namarszczonem nieco czołem się mieściło.

Ani to co ś. p. Karol zostawił po sobie, jego dramata i komedye mogą dać miarę talentu człowieka.

Któż, przynajmniej na Wołyniu, Podolu i Ukrainie nie znał pana Szefa, ojca ś. p. Karola? Pamiętniki jego przez nas wydane, dociągnięte do r. 1802, potem dopełnienie ich z listów rodziny od 1806 do 1851, bliżej tę piękną postać żołnierza, obywatela, dały poznać ogółowi.

Wspominamy o ojcu, bo się nam zdaje że nie znając go, nie wiedząc jak tam życie płynęło w domu, w którym ś. p. Karol się urodził, i jego ocenić, zrozumieć trudno. Taki ojciec jak pan Szef, mógł syna takiego wychować. Nie żeby ś. p. Karol był wiernem odbiciem Szefa, który żył w czasach innych i pod wpływy odmiennymi



uroił na typ odrębny; lecz że syn umysłowo i charakterem należał do tego ojca, który wiedział że czasy inne i stosunki człowieka też inaczej usposobionego wymagały... Pan Szefer legionista, żołnierz, później gospodarz i obywatel służbie krajowej poświęcony aż do zapomnienia zupełnego własnych spraw, należał do epoki, w której wszelaka służba była obowiązkową i możliwą; Karol rozpoczął życie czynne w chwili, gdy spełnienie obowiązków rozbijało się o przeszkody, jakie stworzył nowy porządek rzeczy. Ztąd wielka ta różnica dwóch ludzi z których jeden rozwinął się jawnie i swobodnie, drugi musiał pozostać z siłami i pragnieniami niezaspokojonemi. Wszystko co nie użytem zostało w sercu i umyśle, poszło na korzyść domowego ogniska, w którym zamknąć się, bez mała całkiem było potrzeba.

Lecz nim przystąpię do charakterystyki człowieka i pisarza, nakreślmy choć pobieżnie rys życia jego.

Po powrocie do kraju pan Szefer ożeniony wkrótce, zamieszkał w Kunce (około Hajsyna). Tu w r. 1808 urodził mu się Karol, którego przybycia na świat spodziewając się, przyjaciel Szefa, generał Kniaziewicz, zamawiał go sobie wcześniej na adjutanta...

W r. 1815 w listach ojca znajdujemy wzmian-

kę, iż się już troszczył o wychowanie Karola, marszałkując naówczas w Krzemieńcu. Pisze do Skibickiego: „Karolowi uformowałem pensyę, dałem na nią dom większy, na czele jest Lisiecki. Wchodzą w nią Gotard Sobański, Czaplic od Maksymiliana, Sapieha syn Janusza, i De Larbre młody, dzieci wszystkie z wielkimi zdolnościami. Pozwoliliśmy sobie wszystkich środków i nakładów, jakie wymaga najściślejsze połączenie pożytków publicznego i prywatnego wychowania. Od Opatrzności oczekujemy reszty.“

W roku 1821 pisze ojciec o Karolu: „Mój Karol uczy się gdyby lew i bardzo pracuje.“ Owocem téj pracy gruntownej, zawsze sięgającej do głębi, nigdy się nieograniczającej powierzchownem schwyceniem rzeczy, był uzyskany w r. 1825 medal złoty, którym pan Szeł wielce się radował. — W następnym roku przeszedł z Krzemieńca do uniwersytetu warszawskiego. Przed rokiem 1830 przypada podróż jego do Saksonii, gdzie miał zastać generała Kniaziewicza, który go przyjął jak syna. Sam generał pisał do przyjaciela, jak korzystne i miłe na nim Karol uczynił wrażenie. Opis podróży po Saksonii i wycieczki do Teplic, przesłał ojcu w listach, których nie mamy. W maju 1829 powrócił do domu,

spotkawszy po drodze w Białocerkwi ambasadę turecką jadącą z Petersburga.

Wypadki 1830 r. znalazły go w Warszawie. Syn Legionisty zaciągnął się do trzeciego pułku ułanów i służył w nim w stopniu porucznika w czasie wojny, po której wyjechał do Galicji, czekając pory sposobnej, aby nazad wrócić do kraju. Tęsknił po nim ojciec, i nie doczekał go się aż w r. 1832 w czerwcu, a na podziękowanie Bogu postawił krzyż pamiątkowy na Skale d. 15 czerwca.

W tymże roku pisze ojciec w listach swoich: (Październik) „My się w ogródku krzątamy, porządkujemy owczarnię, to bawi Karola, mnie rozrywa. On z pochyloną głową biega po polach i lasach, ja zagłębiony w smutku, uciekam się do tego, którego litości ufam.“ Pochylona ta głowa, o której list wspomina, była często zamysłonemu i zagłębionemu w sobie Karolowi właściwą.

Dla rozerwania go w smutku, ojciec wyprawił za granicę w r. 1834, znowu do Drezna i do Saksonii, gdzie z macochą (siostrą pierwszej żony ojca) zimę przebywać mieli. W r. 1835 znajdujemy go nad brzegami Renu. Odbywał podróże chętnie i zajmowały go one mocno, bo zastępowały dlań tę potrzebę czynu, której inaczej za-

spokoić nie mógł. Duchem i ciałem potrzebował być ciągle zajęty.

W r. 1836 powróciwszy z tych wycieczek, ruszył odwiedzić przyjaciela Jaroszyńskiego, zesłanego do Nikolska, i podróż tę potem odchorował. W roku 1837 widzimy go w Woronczynie u przyjaciela Szefa, generała Ludwika Kropińskiego, który się nim cieszy i pisze o tém do ojca (Kwiecień).

W roku 1838 na ostatek żeni się pan Karol z siostrą młodszą żony pana Szefa, Hortensją Jaroszyńską, dla której przywiązanie najczulsze do końca życia zachował. Ona mu też była więcej, niż wierną towarzyszką, bo aniołem stróżem opiekuńczym, gdy później straszliwa słabość na długie lata cierpień go skazała.

Ślub odbył się dnia 26 Listopada, bez mała (o dzień tylko) w dwudziesto-piętą rocznicę pierwszego małżeństwa ojca, a dawał go ks. Józef, kapucyn z Brusilowa.

P. Karol miał zostać gospodarzem, do czego pono nie okazywał nadzwyczajnego powołania, ale wszystko nawykły brać do serca, — zadziwiony Rosochowatę, wziął się gorąco do dzieła, jak pisze pan Szef w swych listach. Na miejscu jednak jakoś mu było trudno usiedzieć, i w towarzystwie pani Szefowej i żony, puścił się do

Odessy i Krymu. Życie płynęło w ściśle serdecznie związanem kółku rodzinnem, które najczulsze przywiązanie łączyło. Potrzeba czytać te listy Szefa i Karola, w których się miłość rodzinna tak maluje żywo, by mieć pojęcie zgody, pokoju, wzajemnych ustępstw, zabiegów, aby wszystkim było jak najlepiej. Rodziny takiej trudno dziś znaleźć, a nigdy też podobne nie były pospolitemi.

Dnia 12 Maja 1840 roku Szef doczekał się wnuczki Heleny. Błogo płynęło życie, aż do r. 1846, w którym śmierć rodziców żony cień na nie rzuciła. — Smutek jój pragnąc rozerwać wrażeniami, po troszę też dla Karola, który podróże lubił, wybrali się oboje na wędrowkę, której plan szeroko był zakreślony.

W r. 1847, dnia 24 Września wyjechali PP. Drzewieccy do Odessy, z kąd 1 Października wypłynąć mieli do Konstantynopola. Staruszek ojciec trochę sobie w listach z tej wędrowki dzieci podzartowywał. „Ma Karol, pisze w liście jednym, w pomoc polecające listy do Liszta, do Lamartine'a od B. — do Jerozolimy i przybocznych papieża, bodajby tylko w drodze nie pogubił. Trochę się wstrzymawszy, byłby coś zapewne i od Balzaca wyjednał sobie, bo się koło Kijowa znajduje. Byle Bóg dał zdrowie jemu i żonie, to się

przewietrzą doskonale, a na zalety pary i żelaza oddadzą świadectwo, ile to prędko uskutecznić można. Myślę, że w tak nagłej podróży najwięcej z powietrza korzystać się daje, bo reszta więcej by czasu potrzebowała, a mają za sześć miesięcy powrócić do domu.“

O téj podróży z listów do ojca pisanych, mamy cokolwiek wiadomości. Z Odessy wyjechawszy, dnia 5 Października stanęli w Konstantynopolu, i pierwszy list z oberży angielskiej w Pera, pełen był zachwytu nad ślicznemi górami, okrytemi cyprysami, morzem i widokiem byzanckiej stolicy. Na drodze spotkali sułtana, jadącego do Scutari. „Opisują, powiada ojciec, wspaniałości i ozdoby kościoła dawnego św. Zofii, gust maurytański pałacu sułtanów, błękit morza i kanałów, grobowce przy domach cyprysami ozdobione. Widok Azji i Europy, dwóch mórz pod okiem podróżujących, nawet z okien domu ich widočných, rzuca urok nieopisany na nich i na mnie. Karol dodaje, że Stambuł jest to, patrząc nań, skład drogich kamieni, złota i błota. — Zdaje się, że do Egiptu popłyną i przez Kair Nilem, a dalej do Ziemi Świętej.“

Ze Stambułu w istocie pojechali do Aleksandryi, nie do Smyrny, jak zrazu życzyli sobie,

i z tych znowu listy nadeszły. Pan Szefer tęskniący w Kuncie, żył niemi.

Z Kairu zamiast wprost do Ziemi Świętej, pojechali państwo Drzewieccy oglądać wodospady Nilu, a potem dopiero do Jerozolimy (Styczeń 1848). Ztąd na Malte popłynęli do Rzymu, Neapolu, Genui, Turynu i Paryża.

Podróżujący p. Karol, którego Egipt pociągał swą pięknnością fantastyczną, swą przeszłością zagadkową, pisywał długie listy, z których część naówczas umieściliśmy w Atheneum.

Jako próbkę, dajemy tu ułamek z pierwszego lepszego z tych listów wschodnich, jaki mamy pod ręką.

Dnia 2 Listopada. Na egipskiej fregacie Hadzi-Baba.

„Więc jedziemy parostatkiem egipskim, chociaż nasi Anglicy z hotelu mówili „dirty“ (zabłocony). Jedziemy, chociaż Bosfor zwykle gładki jak błękitna tafla, dziś się pieni bałwanami jak pełne morze (pleine mèr) i kaiki chodzić nie mogą a skryły się gdzieś tam po kątach. A więc w łódź dużą siadamy i po tańcu djabelskim, dojeżdżamy do fregaty egipskiej. Wysieść trudno a jednak wysieść trzeba, więc się chwytam za wschódki i nie zważając że fala daleko tymczasem łódź naszą odtrąciła, na górę. Żona za mną

i rzeczy jakoś wynieśli, i już jesteśmy na stałym lądzie fregaty. Jak na ten raz i za to Panu Bogu chwała.

Na pokładzie bezkrólewie kapitalne, kapitana nie masz, komisarza gdzieś znaleźć nie można, a tu same Negry i Arabcy. Żeby choć Turka jakiego, to przecież polskiemu wyrazi: Hajda-burda, kałabełk i bellmes, rozmówićby się można. Ale rozmów się, proszę, z tym naprzykład co w bur-nus owinięty siedzi jak pagoda nieporuszony go-dziny całe, albo ten drugi z fizyognomią Sfinxa egipskiego, albo ten Negr tak dokładnie do mał-py podobny, albo ten drugi, czarny jak heban, to Abisyńczyk pewno. W tym to jest życie przy-najmniej, jak gestykuje. Niechce żebym po tych schódkach szedł za żonę moją i nie puszcza po prostu. Ale oto i nadszedł nasz drogoman, Ten wyraz negra — harem, harem, znaczy że tam na dole są kobiety, więc, że mnie nie puszcza wcale. Ztąd kwestya i dyskusya, do której mieszają się obdartusy wszystkie i czarne i niby to nie czarne. Aż wreszcie z tryumfem wychodzę, negry na łeb, na szyję zamykają do kajut kobiety pana swego, a my zasiadamy w sa-loniku i słyszemy tylko z kajut powtarzany cien-kiemi głosami wyraz — Giaour — Giaour.

Kajuta nasza dosyć duża, ale gdzie łóżka?



Anglicy nasi jużby tu zdesperowali, ale my do żydowskiej karczmy przywykli! jednej nam tylko rzeczy brak — powietrza, bo kajuta najobszerniejsza, jest to coś mniej niż alkierz żydowski w Łucku albo Torczynie. Z tego wszystkiego najgorzej, że dziś nie wyjedziemy wcale — to desperacya prawdziwa. Do miasta wrócić? znów trzeba odtaćcować djabelski taniec, u tu deszcz plucha — nie, lepiej przemocujemy tutaj, a może się też przypatrzymy bliżej naszym damom, nim Jegomość przyjdzie. Bo Jegomość nocuje w mieście, a właśnie się zdaje, że się oswajają po mału. Mały Ali dostawszy od nas cukierków, musiał ich wcale dobrze uprzedzić o nas, bo pomaleńku drzwiczki się odsuwają i jakieś czarne oczy wyglądają ciekawie, i, gdyby nie ci czarni świadkowie, możebyśmy ujrzeli coś bardzo rarytnego. Wszakże Lamartine pisze: *des yeux de gazelle*. Cierpliwości tylko.

„Nie będę długo prowadził dramatu tego, powiem od razu — widziałem. I cóż? oto jedna ospowata i brzydka, druga brzydka i ospowata. A trzecia wcale nie brzydka, bardzo biała, ale ruda; brwi śliczne, ale poczernione, paznogie i końce palców na czerwono pofarbowane. Świeżości żadnej, jak zwykle u kobiet co się malują. A jak paplają! ani się im gęby zamykają. Ale

otóż, i raptem cicho. Pan przyszedł, obejrzał swoje bydło i upadł na pokład, siadł na dywanie i fajkę zapalił.

„I tego długo prowadzić niebędę, a od razu powiem, że ani dziś, ani jutro, ani nawet pojutrze nie wyjeżdżamy, bo burza wielka — burza i pluta tak dalece, że lepiej na okręcie siedzieć, niż do miasta wracać.

„Trzeciego dnia ruch wielki, nowe figury zjechały. Effendi! Effendi! i nasby z kabiny wyruszyć radzi, ale się ostro stawiamy, że wolimy zupełnie nie płynąć. Więc się na onym haremie skończyło, i zamiast bab, które się nam już naprzykrzyły, bo i krzykliwe i brudne, dostajemy Muchtego z Kairu z kilkoma dworu. Otóż nasz ładunek już skończony.

„Więc naprzód Muchty, to jest najwyższy sędzia duchowny, figura siwa, dosyć poważna, chociaż trochę lisa w fiziognomii; w żupanie długim, pas i szuba czerwona, podłemi sobolami podszyta, duży turban na głowie. Usiadł poważnie na dywanie, nogi założywszy. Pierwszy sekretarz, figura chuda jak z suchot; drugi, drąg ogromny, ledwo że głową sufitu nie dostaje, też czarny i chudy; trzeci, młody i włcsy jaśniejsze. Posiadało to wszystko na dywanie, poobwijało się w jakieś płaty długie, coś tak jak tałas żydowski

i siedzi cicho. Dałbys coś, panie Józefie, żebyś to z Grodka nieruszając się, z wygodnego fotelu swojego mógł widzieć grupę tę, otóż i odzywa się Muchty. Do mnie coś mówi, a ja właśnie bellmess — więc drogomana wołam i taką mu perorę rznać każę: że pan mój, wielki bardzo pan, raduje się bardzo, iż tę podróż odbywać będzie z tobą, który jesteś tak wielką i tak jasną gwiazdą na wschodzie. Powiedziałem, nadałem się poważnie i świadków postawię, że nie parsknął od śmiechu.

Musiał drogoman coś podobnego powiedzieć, chociaż za długo mówił, żeby tam nie miał co swojego dodać; i oddał mi odpowiedź równie mądrą jako powitanie było. Na dobry rachunek we wszelkiej konwersacyi drogoman najczynniejszą gra rolę, on to pytania i odpowiedzi mniej więcej podług swojego widzenia układa. Stosunki nasze przeciągnęły się tem tylko, żeśmy Muchtemu zawsze coś z deseru ofiarowali, a oni nam kawę czarną.

Otóż i rozwiązały się usta Arabom. Gdy prędko mówią, spółgłoska Cha panuje nad innymi. Głosy, mowa i ruchy niezmiernie naszych żydów przypominają. Otoż się i kłócą, ledwie się za łby nie biorą, a wnet razem wieczerzę jedzą. Żydy, żydy ze wszystkim i we wszyst-

kiem. Rzecz idzie o to: Sułtan niedawno obchodził wielką uroczystość, obrzezanie syna. Tę uroczystość Muchty wielki, wszystkim Ulemom ogłosił. Ulemowie z Kairu wysłali na nią tego Muchtego naszego; Mechmet Ali dodał mu ferman od siebie i statek ten dał do podróży. Teraz sułtan dawał im 200,000 piastrów, a oficer wysłany upomina się u Muchtego, aby i im coś z tego udzielił. Muchty niechce nic dać. Wrzeszczą wszyscy jakby ich kto ze skóry darł. Oni i my w pierwszej kabinie. W drugiej, primo, Turek, co wiezie towar swój do Kairu. Towar, to są ci chłopcy, co po pokładzie biegają. Czerkiesi z gór od Czarnego morza, których tu rodzice przywieźli i przedali. I te dziewczęta są to także niewolnice czerkieskie. Jedna nawet piękna będzie, jak się zdaje. Oczy trochę przy-mrużone, ale piękne, pleć biała, świetna, mimo, że dzień cały na słońcu, noga jak u Dyeny tauryckiej. Dużo za nią wziąć powinien. A potem co? Oto kupi ją jaki człowiek bogaty na niewolnicę lub na żonę, może basza jaki i dojsć może do najwyższych szczebli kobiecych na Wschodzie. Wszakże i matka sułtana jest zwykłą czerkieską, niewolnicą, te drugie kobiety zawołowane, są to też niewolnice na sprzedaż przeznaczone już z drugiej ręki i z dziećmi. Ta rzecz tak się tu odbywa.

Ja naprzykład, człowiek bogaty, mam harem, to jest żonę i kilka do niej lub kilkanaście niewolnic białych i czarnych (NB. jeżeli mam drugą żonę, to mam dla niej inny harem i tak dalej). Przeniewierzam się żonie i żyję z którą ze służebnic, tak jak Abraham z Agarą i to trwa lat kilka. Tymczasem moja Sara coraz więcej się gniewa, krzyczy, głowę mi klekocze, grozi, że się duchownym skarżyć będzie i żąda, żebym oddalił niewolnicę i dziecko. Więc je sprzedaję razem, albo i osobno nawet. Okropne to są wszystko rzeczy, ale z blizka się przypatrzywszy, ta niewola, szczególnie dla ubogich, nie taka rzecz straszna w rzeczy samej, któż kupi niewolnika białego? człowiek bogaty, u tego będzie on domownikiem, czibuszim, to jest do noszenia za nim cybucha w najgorszym razie. Domownik jest tu zupełnie brat zabrat z panem, tak jak w dawnych hiszpańskich, włoskich lub francuzkich komedjach; lub w naszym dawnym stanie społecznym, dworzanin u pana. W lepszym razie, z domownika wyjdzie na faworyta, pan da mu córkę swoją za żonę, wyjdzie na baszę.

Wszakże z baszów dzisiejszych więcej niż dwie trzecie z niewolników wyszli i tu i w Egipcie.

Ten czarny co siedzi na pokładzie zupełnie nieruchomy, a tylko od czasu do czasu paciórki

różańca przesuwają, to Nubijczyk. I ten się wozi z niewolnikami, ale towar jego, czarny. Mieszka na drodze, którą z Kordofanu idą karawany z niewolnikami i z pierwszej ręki kupuje, a potem po targach rozwozi. Teraz w Stambule był, ale wszystkiego nie sprzedawszy, nazad powraca.

Ten Arab mało co odziany, z długą rusznicą, perłową macią nabijaną, o panewce bez kurka, co lontem się zapala, to mieszkaniec pustyni, między Alepem a Mekką. Ma on wiekami ustalony przywilej obdzierania karawan, a nawet i wielką karawanę idącą co roku na południe.“

Dajemy tylko wyjątek z listu tego, ze swobodą, humorem i przedziwną naturalnością pisanego. W ten sposób notował podróźny wszystkie wrażenia swoje i żał wielki że się je zebrać w całości nie udało.

Wycieczka ta na Wschód była, można powiedzieć ostatnią zupełnie swobodną chwilą życia, którego surowsze obowiązki nie pętały. Żył jeszcze zacny starzec pan Szeł, rodzina stanowiła jedną nierozzerwalną całość, do której nowe tylko kwiatki przybywały. W r. 1850 śmierć pani Szełowej, pierwszą żałobę rzuciła wśród szczęśliwej tój gromadki. Mamy przed sobą list Karola, donoszący o tem bratu zmarłój, p. Edwardowi Jaroszyńskiemu, pełen boleści i troski o ojca...

W rok potem, starzec, którego zgon towarzy-

szki przygniótł i na duchu osłabił, przewidując już śmierć bliską, zgasł a z nim jedno z tych światel, co rodzinie rozjaśniało i rozgrzewało serca.

Ś. p. Karol został sam z uszczuploną rodziną swoją, żyjąc na przemiany w Kunce lub Odessie, gdzie u brzegu morza piękny dom pobudował. Oprócz względów higienicznych i potrzeby towarzystwa, prowadziło go do Odessy staranie o wychowanie dzieci, dla których się poświęcił cały. Ich nauki, zabawy ich, spacery konne lub piesze podzielał ojciec przywiązany. Sam wykladał im literaturę polską, starożytności i historią. „Lekeje te, pisze córka zmarłego, zawsze zajmujące i w szerokich a wybitnych kreślone zarysach, pamiętne nam są równie jak wyścigi jego z braćmi memi, i gry w piłkę, na podobieństwo zabaw młodzieży krzemienieckiej odbywane.“ Na te lata życia spokojnego i powszedniego, przypada pisanie komedyi, które zebraliśmy i urywku „Sen w Kozinie“ oraz dłuższej rozprawy o „Koniach“ których zmarły był wielkim miłośnikiem i znawcą. Nie mając pod ręką Atheneum, nie możemy już dziś przypomnieć sobie, czy rzecz ta była drukowaną, czy pozostała w rękopiśmie.

O komedjach i historycznym dramacie niżej powiemy.

W r. 1857, p. Karol odbył podróż do Mo-

skwy. Choroba, która miała go później uczynić prawdziwym męczennikiem, już się pierwszymi symptomatami objawiać zaczęła. Nie przeszkadzało mu to z zupełną przytomnością umysłu, z wielką zawsze żywością zajmować się nie tylko swą własną rodziną, krewnemi, powinowatemi, ale sprawami całego świata, symptomatami życia społecznego, które śledził, a następstwa ich, mogę dziś powiedzieć, prorokował, z nadzwyczajną bystrością umysłu.

Pamiętam to dobrze, iż cały ruch ten socjalistyczny, całą genezę nihilizmu, w którą ja wierzyć nie chciałem, on przepowiadał jako nieuchronne następstwo prądów, naówczas zaledwo dostrzeżonych.

W r. 1859 p. Karol dla umieszczenia młodszego syna swego, Stefana w szkole w Auteuil, jeździł do Paryża. Choroba, będąca częściowym jakimś dziwnym paraliżem mięśni, coraz groźniej występować zaczynała. W r. 1861 zimę potrzeba było spędzić w Nizy, a następnego udać się do lekarzy do Paryża i do wód we Francyi. Naówczas spotkaliśmy się po raz ostatni, a wrażenia jakie uczynił na mnie, ten pełen życia a ubezwładniony człowiek, jeszcze silny na duchu a poruszać się nie mogący, na którego oczach przy powitaniu i pożegnaniu nieme tylko łzy wy-



trysły — dopókim żyw, nie zapomnę. Słabość ta nie tknęła jego władz umysłowych, odjęła mu tylko możność poruszania się kierowanego wola. Znaczniejszą część dnia spędzać musiał w łóżku, ale u łoża tego dzień i noc czuwała żona, która nieraz własnymi rękami musiała go dźwigać, by znużonemu leżeniem, przynieść z odmianą ulgi trochę.

Rady lekarzy, których szukano, gdzie tylko można było o nich zasłyszeć, nie zdołały nic — nawet małej ulgi nie przyniosły. W roku 1862 udał się raz ostatni do Warszawy, potem do Vösslau pod Wiedniem. Następne zimy spędzał w Odessie, a resztę lat w Kunce. „Życie to było, pisze córka, jednostajne, klasztorne, przerywane tylko odwiedzinami dzieci, a złączone życiem ducha ze wszystkimi, których kochał dawniej, a których wspomnienia były mu drogie.“ Śmierć szwagra Franciszka Skibickiego (1877) przyjaciela od młodości, silne na nim uczyniła wrażenie. „Umierali jeden po drugim, (cytuję słowa listu córki) dawnych lat współtowarzysze, współzawodnicy. Za każdą śmiercią, o której się dowiadywał, zwykł był prosić o zmówienie „Aniół Pański“, a znać po nim było, że to brał jako wyzywające hasło dzwonu czasu, jako memento mori, dla niego wyrzeczone.“

„Od powrotu z Moskwy, ciągnie dalej córka zmarłego, w liście do nas pisanym — 1858 roku już ta nieuleczona choroba, zadziwiająca lekarzy, nieustawała. Jeździł po radę do Paryża, do Wiednia; fakultety medyczne nigdy pojąć i pomódz na nią nie potrafiły. A! co to były za cierpienia nerwowe, ciężkie, nieustające, brak snu, tak, że przez lat dwadzieścia co dzień musiał wieczorem opium zażywać. Rozdrażnienie nerwów czasami dochodziło do tego stopnia, iż chwili na miejscu uleżeć nie mógł, a na każde poruszenie potrzebował obcej pomocy. Później nastąpiła zupełna utrata władzy w członkach, utrudnienie mowy, a wśród tego wszystkiego, choć jaśniej niż ktokolwiek z otaczających go, widział postępy choroby, spokój ducha, czasem żart nawet ze swego bolesnego stanu, z ust mu się wymknął, skarga nigdy. Cierpliwość niewypowiedziana, łagodność, wdzięczność za najdrobniejszą oddaną posługę, nie wyczerpywały się, tak, iż żonie, dzieciom, sługom, każdemu za najmniejszą pomoc nigdy nie omieszkął podziękować, choć, szczególnie w ostatnich latach, każde słowo wielkiego po nim wymagało wysilenia. Odcienia delikatności były niesłychane, tak wygórowane, że czasami dopiero później dawało się nam uczuć, dla czego tego lub innego zaniechał przyzwyczajenia albo usługi odmówił.

„Biedne te dni, cierpienia pełne, spędzane były w pokoju własnym po większej części. Na śniadanie o dziewiątej wstawał, często przedtem Mszy św. słuchał, kiedy odprawiana była w domowej kaplicy. A słuchał jej z wyrazem twarzy, świadczącym o przejęciu się głębokiem. Po śniadaniu zwykle siedział z nami czas jakiś. W ostatnich miesiącach dłużej przesiadywał, zdawało się, że chciał nam jak najwięcej udzielać czasu swego, którego mu już do dania tak mało zostawało. Po obiedzie spacer dwugodzinny, zwykle do lasu poblizkiego, który lubił bardzo. Każde w nim znał drzewo, cieszył się pięknymi dniami wiosny, kolorytem jesiennym, zastanawiał się często nad pięknością barwy światła wieczornego. Były to dla niego najlepsze dnia godziny, rozrywka i razem dla nerwów spoczynek. Wieczorem słuchał czytania głośnego, gazety co dzień, gdyż polityka żywo go zajmowała; powieści jakiej lub opisu podróży.“

Tu zmuszeni jesteśmy opuścić ustęp, odnoszący się do moich powieści, ciągnęła go do nich ta przyjaźń, jaka nas łączyła od dawna.

„Po czytaniu, żona mu odmawiała codzien psalmy pokutne, litaniją do Matki Bożkiej i pacierze, tak jak się sam on wyraził w nekrologu pana Szefa „klasztorne życie, coraz dalej od świata,

coraz bliżej Boga.“ Wieczór każde z dzieci błogosławił z osobna... Zdawało się, że się jeszcze lat kilka przynajmniej cieszyć nim będziemy.

Ale Pan postanowił inaczej, dziwnie łagodnemu w życiu, dziwnie też łagodną śmierć zgotował.

Dnia 7/19 Marca<sup>1)</sup> spacer odbył jak zwykle i zwykłego słuchał czytania, a po niem modlitw codziennych. Prosił tylko żonę o dodanie jeszcze jednego Zdrowaś Marya do liczby codziennie odmawianych. Nastąpiła iniekcya morfiny, którą codziennie od roku zażywał i fotelem na kółkach odwiózł go służący do pokoju, z którego już nazajutrz wyjść nie miał. Żona niespokojna od kilku tygodni, bez żadnej widocznej przyczyny, bo lekarz, przyzwany przed kilku dniami zapewniał, że najmniejszej zmiany w stanie ogólnym chorego nie znajduje — żona przecuciem serca, zespolonego czterdziestoletnią miłością, z tém drugim sercem, które bić miało przestać tak nagle — poszła raz jeszcze do pokoju dowiedzieć się czy usypia. Ojciec prosił o pastylek Vichy, których co wieczora kilka zażywał — leżał spokojnie. Odeszła matka od siebie, aby się udać na spo-

---

<sup>1)</sup> Dnia tego wysłał jeszcze nam telegram, jakby ostatnie pożegnanie, do Drezna!!

czynek, gdy około trzeciej po północy zbudzona została przez służącego, który przyszedł oznajmić jej, że pan prosi!

„Przybiegła zastraszona, a z nią siostra moja, jedyna z dzieci, będąca naówczas w domu, gdyż w wilią brat (trzeci z rzędu) Józef odjechał był do Odessy na dni kilka dla pokupek rzeczy potrzebnych do domu i gospodarstwa.

„Ojciec, zobaczywszy matkę, powiedział głośno i wyraźnie: „księdza!“ potem jeszcze to raz powtórzył, pytając czy posłali po księdza? — Siostrze mojej powiedział — „Maryniu! modlitwy!“ Do niej to zastosował nie do matki, bo czuł, iż ta biedna nie będzie miała siły do odmówienia z nim tych ostatnich modlitw.

„Jeszcze jakieś słowo czułości i błogosławieństwa... głowę pochylił i zakończył żywot tutejszy. Śmierć ta była jakby końcem dnia cierpień, jak ostatnim wyrazem zgodzenia się z wolą Bożą!

„Ksiądz i lekarz wezwani, przybyli zapóźno! Po zgonie wyraz twarzy był tak rozjaśniony i piękny, że słudzy i ludzie wiejscy powtarzali, iż „święty chyba pan być musiał, bo takiego zmarłego nigdy jeszcze nie widzieli.“

„Pozjeżdżały się dzieci, zbliska, zdaleka, wszyscyśmy byli na pogrzebie; a pogrzeb to był cichy, spokojny, skromny, jak życie jego. Stary pro-

boszcz, przyjaciel domu od lat tylu, go pochował, duchowieństwo z okolicy przybyłe oddało ostatnią posługę. Dzieci i sieroty w domu wychowywane, do mszy służyły, kilku przyjaciół się zjechało. Czterech synów niosło trumnę do grobu, a zdawało się nam, że on nas prowadzi i z wysoka błogosławi, takeśmy go czuli nad nami, tak go dla nas w téj trumnie nie było. Pożegnaliśmy się z nim mówiąc „do widzenia!“ jakeśmy to byli zwykli czynić przy każdym odjeździe z domu. Zostawiliśmy te zwłoki najdroższe na cmentarzu rodzinnym w Kuncie, gdzie spoczywa obok pana Szefa pod krzyżem, na który napis sam niegdyś, dawno temu, dyktował żonie.“

Nie możemy się powstrzymać od przepisywania tego pięknego listu córki śp. Karola, w którym tak rozrzewniająco mówi miłość dziecięca, świadcząca jaką była rodzina, dom, wszystko co otaczało tego człowieka.

„I nie ma go już między nami, pisze córka dalej, między dziećmi jego na ziemi, a życia te nasze zdają się zachwiane do głębi, i rozerwana ta spójnia która nas łączyła. Została po nim wdowa, wdowa sercem i duszą, po czterdziestu latach wspólnego miłowania się tak wielkiego, rzeczywistego, prawdziwego, iż podobnego w ideałach wymarzonego szczęścia ludzkiego znaleźć nie

podobna. Osnute ono było na prawdzie i szczerości sere dwojga, całkiem sobie oddanych.

„Nie godzi się tknąć nawet wspomnieniem téj wielkiej miłości, a jednak jest to jedna z kart najwybitniejszych, najpełniejszych z życia ojca mego. Są listy Jego do żony pisane po latach kilkunastu pożycia małżeńskiego, tak przesiąkłe tém uczuciem, iż bez łez odczytywać je trudno. Takiego związku, w pełnem znaczeniu tego wyrazu, rzadko się zdarzy spotkać na świecie. Był to między niemi, sakrament wielki w Chrystusie, jak mówi apostoł, spójnia na życie i na śmierć, na ten i na przyszły żywot... Po śmierci jego odbieraliśmy mnóstwo dowodów współczucia, a we wszystkich objawiało się żywe, gorące, gdyż kto tylko spotkał go w życiu, choćby przelotnie, zachował po nim pamięć wybitną i trwałą.“

Tak jest, i my to poświadczyc możemy czerpiąc z własnego serca, ś. p. Karol był jednym z tych, których się nie zapomina. W powierzchowności jego nawet było coś oznajmującego nie pospolitego człowieka, twarz była myśli pełna, czoło posępne, ale spokojne i mądre, rysy nie uderzające pięknnością, odznaczały się charakterem i oryginalnością. Z obcemi w obejściu się był zrazu wstrzemięźliwym i zamkniętym w sobie, lecz dosyć było poruszyć jedną z tych strun, które

dźwięczały w jego duszy, aby się milczący ów słuchacz, zmienił w ognistego mówcę.

Wymowa jego nie była obfitą w słowa, lecz każde z nich ważyło, każde było strzałą tkwiącą u celu. Niepospolity dowcip je zaostrzał, humor właściwy zaprawiał.

Czuć w nim było umysł pracowity, który wszystkie główne zasadnicze kwestye żywota przetrawił i stale trwał przy otrzymanych wnioskach. Przekonania miał niewzruszone, lecz téż na silnych oparte podstawach. Wspomnieliśmy wyżej o tém jak byстрыm był postrzegaczem, i zadziwiającym wieszczem w sprawach wieku.

Lecz lepiej jeszcze tę charakterystykę dopełni list córki, którym znowu musimy się posłużyć.

„Dar pamięci miał\* niezwykły, ta pamięć i to widzenie rzeczy jasno, przez umiejętność patrzenia na nie, pozostały w umyśle ojca do najpóźniejszych chwil życia. Nawet w latach ostatnich uciekaliśmy się my młodzi do pamięci Jego i kiedy szło o datę historyczną, o nazwisko lub fakt jaki, zawsze nam pamięć ta była pomocną. Zdanie jego o każdym fakcie było w formę przedziwną ujęte, krótkie, treściwe, oryginalne a tak wybitne, że tkwiło w myśli i często dopiero później, gdyśmy się rozwijali, mogliśmy całą głębokość jego



ocenić. Obok wiedzy, siła postrzegania i zdobywania prawdy była wielką. Pomnę, że od dzieciństwa mego słyszałam z ust ojcowskich te słowa: „zastanów się“. Wiele lat mi przeżyć było potrzeba, aby pojąć całą głębokość téj rady, która stanowiła całą metodę myślenia ojca mego, o wiele wprzód niż się ona stała metodą, ogólném narzędziem całego rozwoju naukowego. Sformułowania zdania o rzeczy wymagał od nas dla przeświadczenia się żeśmy ją pojęli i zwykł był mawiać ogólnie — „Dajcie mi człowieka ze zdaniem, niech będzie złe nawet, ale niech to będzie zdanie. Umysł jego żywej pełen treści nie zadowalał się nieokreślonymi wyrazami myśli, nieujętej w karb ścisły i jasno niesformułowanej. Ta rozważa surowa i rozumowanie pilne, nie tłumilo w nim uczuć serca gorącego i zapału wybuchającego czasem jeszcze w późnych latach z taką siłą, że nas zdumiewał swym żarem; nie osłabiało głębokiego poczucia piękna w naturze i dziełach sztuki, żywości wyobrażeń, którą poruszał najłżejszy odcień prawdy — pochwyconej i odtworzonej w pismach, któreśmy mu czytawali. Zwykłem to było, że ojciec wśród czytania, powieści nawet, rozplakał się rzewnymi łzami, a myśmy mu żartobliwie, jak dziecięciu, śmiejąc się, mówili — Ale to nie prawda, papo — tak nie było!

„Naówczas sam śmiał się ze swego rozczulenia. To życie wewnętrzne, niezmiernie czynne tak się przechowało dziwnie w umyśle i sercu ojca, w ciągu tylu lat cierpienia i przymusowej nieczynności, tak się spotęgowało samotnością i odosobnieniem życia fizycznego, żeśmy się wydziwić nie mogli, iż nikt nie był tak zdolnym zrozumieć młodych uniesień i zachwyków, nikt się tak żywo nie zajmował wynalazkami i postępem nauki, nikt tak nie odczuwał tętna życia ogółu, jak ten biedny, chory nasz ojciec, nie mogący ruszyć się o siłach własnych, spędzający lata całe w przymusowej samotności, zdala od ludzi.

„Szczególnie w ostatnim tych lat dziesiątku, ciężkich cierpień, wśród dni po większej części spędzanych sam na sam z myślami, w ciemnym pokoju, gdy z niego wyjeżdżał do nas w swoim fotelu na kółkach, z nim prąd jakiegoś życia wchodził w grono nasze, razem z wjazdem tego ukochanego wózka, wszystko się ożywiało myślą i sercem. Rzecz każda przybierała barwę i wagę gdy się nam zdawało, że może rozerwać chorego. Czytanie wieczorne, przerywane niekiedy uwagą jaką głęboką, czasem żartem oryginalnym, nabierało nadzwyczajnego uroku, dodawało treści powszedniemu życiu naszemu.

„Piszę do pana to wszystko z serca tak wzru-

szonogo temi wspomnieniami chwil minionych, które mi tak żywo stoją przed oczami, że mi i myśli trudno zebrać... ale zdaje mi się, że pan z siły tego wrażenia sądzić będziesz mógł o ostatnich latach życia ojca — życia, o którym powiedziałeś w nekrologu, że je przeszedł cicho, trwałą pamięć zostawując po sobie. Może gdzie na świecie znajdzie się ktoś cierpiący niemoc lub chorobę, któremu otuchą będzie opowiadanie o tem niezmiernem cierpieniu, o tej ciężkiej niemocy znoszonej z taką cierpliwością i siłą, co się nigdy przygnieść nie dała, w której zahartowana dusza żyła tak pobożnie, iż objawy jój życia w gronku rodziny stawały się pobudką do rozwoju, bodźcem do myślenia dla młodszego pokolenia. On był kluczem sklepienia budowy całej swój rodziny.

„Každy co go znał, oceniał kryształową czystość i prawość jego charakteru. Wywierała ona wpływ przeważny na otaczających. Przytoczyć tu mogę, że jeden z braci moich, wspominając swe dziecinne lata, powiadał mi: Zdarzało mi się czasem skłamać przed matką, dla wytłumaczenia się, unikając zasmucenia jój, — przed ojcem — nigdy. — Dziwną też był obdarzony czułością prawdy, najdrobniejsza jój cząsteczka w czemś ukryta, obudzała w nim odczucie jój i gorącą sympatyę. Kwestye które miały urok dla innych, będąc

obleczone szatą świetną a zwodniczą, raziły go jak fałszywa nuta w muzyce, bolały; — ze słowem dobitnem lub wymownem milczeniem odwracał się od nich. — Wyrozumiały dla słabości ludzkich, kłamstwu i nieszczeroci nieprzebaczał. Poblązający wielce powiadał często, że nie ma człowieka absolutnie złego i głupiego, i z każdego coś się daje wydobyć.“

W papierach udzielonych mi przez rodzinę, których w całej rozciągłości drukować nie możemy, znajdują się listy szczególnie, pisane do familii (i do mnie) tak życia pełne, barwne, malownicze, iż szkoda tylko że pewnej całości złożyć z nich nie można. „Sen w Kozinie“ początek fantastycznej novelli, gdy mu ją później w lat wiele po napisaniu czytano, do łez go rozrzewnił. Dawne życia się w nim odbiło!

„List do pana (dodaje córka) pisany, maluje inną stronę charakteru ojca, zajęcie się jego głębokie i rozważne dobrem ogółu, poczucie konieczności pracy publicznej, szczerój, gorliwój. Z kwestyi tych publicznych — włościańska gorąco go zajmowała. Daleko wprzód nim nastąpiła emancypacya włościan urzędowa, ojciec u siebie zaprowadzał oczynszowanie, gdyż pańszczyzna wstrętną mu była. Pamiętam, że opowiadał jak będąc w Moskwie dla interesów, wówczas kiedy się

debatowały sprawy włościańskie w komitetach, cieszył się i zajmował bardzo rozwinięciem kwestyi téj, powtarzając Rosyanom, iż przekonany jest, że sprawa ta wielki zapal w naszych prowincjach wywoła. Boleśnie potem był zrażony, gdy po powrocie w rodzinne strony, znalazł wielu i opieszłych i niechętnych reformie.

„W listach do brata méj matki, ś. p. Edwarda Jaroszyńskiego, przyjaciela Zygmunta Krasińskiego, którego serdeczna przyjaźń łączyła z ojcem moim jest wspomnienie i o Liszcie, bo muzykę lubił nadzwyczajnie. W czasach najdotkliwszych cierpień nerwowych, ona go uspokajała. Na kilka miesięcy przed śmiercią słuchał z zachwytem granego na organku Stabat Mater Pergolesego, powtarzając kilkakrotnie — Jakie to piękne!“

Wierniej, lepiej, serdeczniej nad ten list tak przywiązanej córki, nie ś. p. Karola odmalować nie może. Woleliśmy powtarzać te miłością natchnione słowa, niż je przekształcać i popsuć.

Takim był ten człowiek — rozumny a serdeczny, w którym przymioty serca w dziwniej były harmonii z darami umysłu.

Pewne strony znakomitego jego talentu wiadać w pozostałych pismach, lecz wszystko co wydajemy i co pozostało po nim, razem wzięte, nie daje całej miary człowieka.

Nie pisał chętnie, choć pisał łatwo, potrzeba mu było jakiegoś bodźca. niemal przymusu ażeby się wziął do pióra. Wolał czytać, studjować, odczuwać cudze i sądzić, co doskonale umiał, niż pisać. Może za nadto był wymagającym od siebie, może gorące bardzo uczucie, którego opanować nie mógł, utrudniało mu tworzenie.

I to jednak co zostawił, ma w oczach naszych wartość niepospolitą. Listy jego tak są barwne, żywe, tak niewymuszone a zajmujące, a przytem tak oryginalne, iż najobojętniejszego poruszyć i zająć mogą. Pewna w nich szlachecka, staropolska rubaszność nie wyradza się nigdy w zły ton i trywialność, bo w salonie nie było człowieka wykwintniejszych form nad niego. Nawykły do najlepszych towarzystw, do zastygłego salonu wnosił z sobą życie i w formy zimne wlewał ducha.

Na czele tych pism, które wydajemy, stoją sceny historyczne z XVII wieku, poruszający dramat, pod tytułem: Jeremi Wiśniowiecki. Ten tylko, kto cokolwiek epokę tę studjował, oceni talent z jakim pochwyczone są jój cechy wybitne, odtworzone charaktery, wcielona jój myśl w formę właściwą. Panowie senatorowie, szlachta, rycerstwo, Kozacy, Chmiel i jego otoczenie, wszyscy aż do historycznego Rzemyka i do samego Króla Jegomości, żywi z mogił powstają. Są to sceny

niby różne, które myśl jedna wiąże w jedną całość.

Nie myślał autor o zbudowaniu dramatu wedle prawideł zwykłych, chciał w tej formie dać wierny obraz wieku i walki owej, która była początkiem i nasieniem długiego boju nieszczęśliwego. Widzimy już z tego, co tu przechodzi przed oczyma naszymi całą przyszłość. Z jednej strony wiara pocziwa aż do dobroduszości dochodząca, z drugiej chytrość, podstęp i pragnienie zemsty, która się zawsze przeciw wszelkiej wyższości obudza; z jednej zaufanie w prastare potęgi i siły, prawa i porządek, z drugiej negacya wszystkiego w imię chuci rozkiełznanych. Piękna, poważna postać Jeremiego i jego rodziny zajmuje środek tego obrazu historycznego. Aby go stworzyć, potrzebował autor przyswoić sobie niemal całą pozostałość smutną tej epoki w pamiętnikach i kronikach. Pracy tej niezmiernej nie czuć, tak dobrze przetrawione są materiały — tak kości te suche, żywe przyobleka ciało. — Jeremi Wiśniowiecki wydany w Lipsku, nie miał naonczas ani części tego rozgłosu i uznania, na jakie zasługiwał, poważniejsze tylko umysły i prawdziwi znawcy ocenili wartość tego dzieła z wielkim artyzmem i uczuciem dokonanego.

Piszę „z uczuciem“ gdyż miłość kraju, mi-

łość pięknej przeszłości, jest w Jeremim wszędzie tak gorącą, że nawet epizodyczne postacie przyczyniają się do wzbudzenia jej w czytelniku. Bohaterem tu nie kto inny, tylko ta Rzeczpospolita stara, na którą barbarzyński tłum napada, aby ją obalił. Z jaką boleścią wewnętrzną narysowane są te ujemne postacie, te narości wadliwe, te kalectwa i rachityzmy nasze, które bytowi zagrażały, choć pozornie zdawać się mogły małego znaczenia.

Jeremi gdy się go czyta nie przerywając, tak aby wrażenie całością swą wywarł, — porusza głęboko. Siła w nim wielka. Prawda charakterów nie mniejsza, różnorodność i dobitność. Nie ma tu nic próżnego, nic wstawionego bezmyślnie, najmniejsze słowo należy z prawa do wypełnienia tej całości.

Dla czego tak szczęśliwie zacząwszy, nie próbował już potem ś. p. Karol scen historycznych podobnych? — nie wiemy. Być może, iż trudności z wydawaniem połączone, zwłoki, potem wzbronienie wstępu tam, gdzieby najwięcej czytelników i najlepszą ocenę znalazły, zraziły go.

Świat, który w swych komedjach maluje Drzewiecki, dla tych, co znali Wołyn w latach 1840—55, przypomni żywo towarzystwo nasze. postacie jego historyczne, typy, język, obyczaj...



Tu szczególnie odznaczają się wyborne — Kontrakty — obraz schwycony zdaje się fotograficznym szkłem w Dubnie, na wieczorach w zamku u księcia Józefa, około stolika, przy którym zasiadali ówcześni gry koryfeusze. Patrzaliśmy na tych ludzi, znaleźliśmy tych panów, ledwieby nie można nazywać ich po imieniu. A jednak nie ma tu nikogo odwzrowanego osobiście, są to ówczesne typy tylko i w czasie, gdyśmy drukowali Kontrakty, choć uznawano niezmierną w nich prawdę rysów, niktby się nie poczuł do żadnej z tych postaci, po za którymi wszyscy widzieli siebie.

Co za humor w Pantoflu, w Restauracyi, w Skąpcu i w najdrobniejszych z tych utworów, wziętych ze sfer, w jakich on sam się obracał, które mu najlepiej były znane. Co za szlachetne i piękne typy kobiece, a jak nasze!

Jaki dowcip rzeski a przyzwoity, co za tok naturalny w rozmowach.

Nie do nas należy krytyczny rozbiór tej drogiej nam spuścizny, bo my ją sercem czytaliśmy i czytamy — widzimy strony jasne, może nas zaślepią nasza sympatya — ale nam się to wydaje miłym, pięknym i serdecznym. Taż sama miłość kraju jaką czujemy w Jeremim, jest w komedjach, — miłość ludzi, wyrozumiałość dla nich, delikatność w dotknięciu. Nie zbywa na sile, ale

je ciągle uśmierza serce, — które w najczarniejszym charakterze coś na wytłumaczenie go, na złagodzenie znajduje.

Gdyby dzisiejszy teatr i dramat dzisiejszy i komedia nowa nie popsuły nam smaku do rzeczy prostych i zdrowych — jesteśmy pewni, że nie jedna z komedyi Drzewieckiego dostałaby się na scenę, i grana starannie, uczyniłaby wrażenie na widzach. Ale po wielce kunsztownych produktach terazniejszego francuzkiego teatru, obrachowanego na efekta, jaskrawego, niespokojnego — obrazki te, pełne prawdy i wdzięku, nie mogą zaspokoić wymagań publiki. Więcej fałszu pod pozorem realizmu, więcej barw ostrych, więcej hałasu i szumu wymaga scena terazniejsza, która czy jest postępem, czy występem w sztuce — nie wiemy.

---

Żył jeszcze przyjaciel nasz, gdy druk tych zebranych pism jego dramatycznych miał się rozpocząć. Rozmaite przeszkody go zwłokły, i to cośmy mu chcieli posłać jako dowód pamięci i serca — dziś wychodzi z nekrologiem, jako pamiątka po zmarłym!

Z jakim uczuciem kładziemy pióro, nakreśliwszy tych słów kilka — wyrazić nam trudno.

Stare, bardzo stare dzieje, przywiodło na pamięć to drogie nazwisko przyjaciela, jakich my niewielu mieliśmy w ciągu życia. Ten nim był wiernie i prawdziwie do końca.

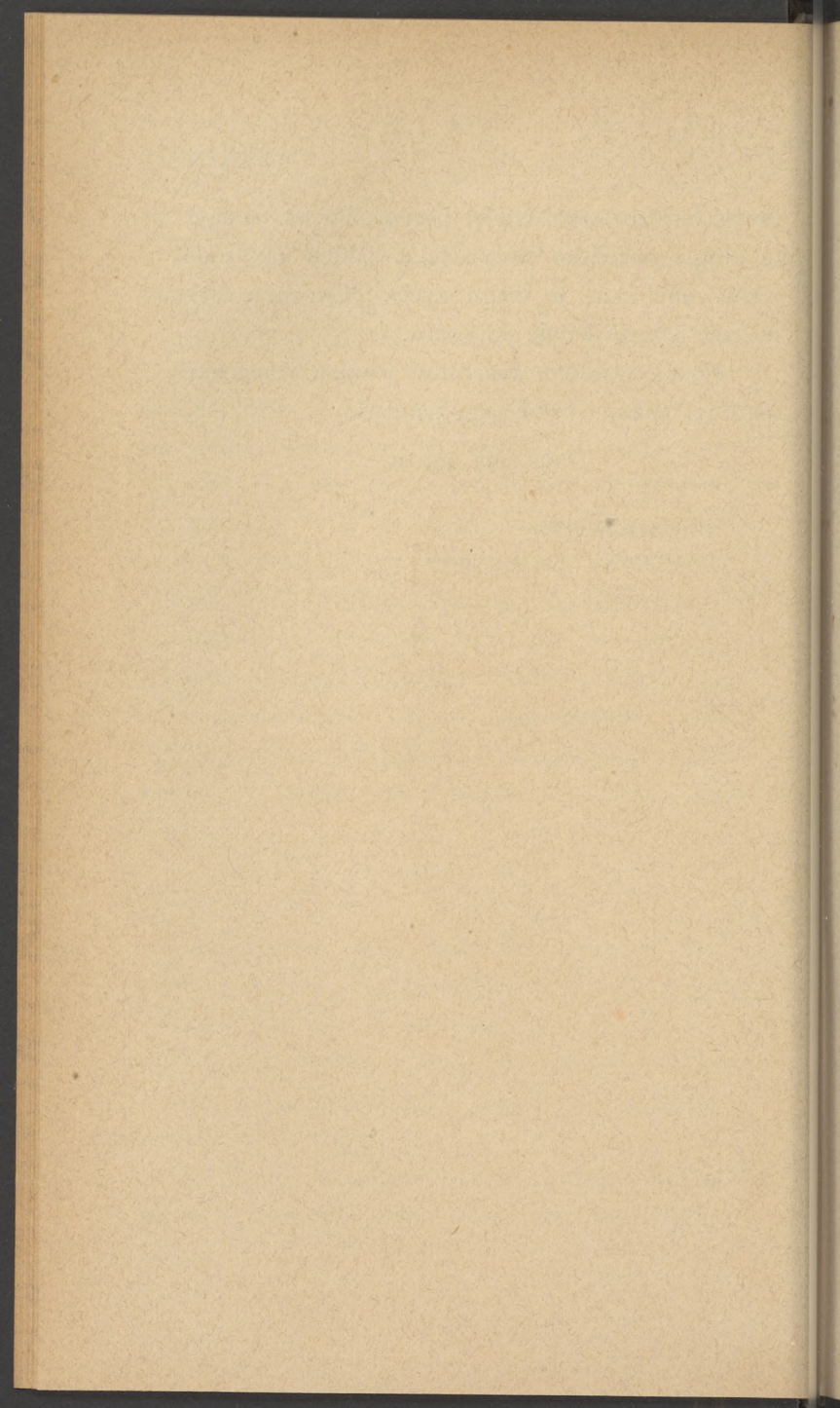
Pokój, w całym znaczeniu wyrazu, zacnemu mężowi! pokój i cześć jego pamięci.

Have, pia anima!

19 września 1879

Drezno.

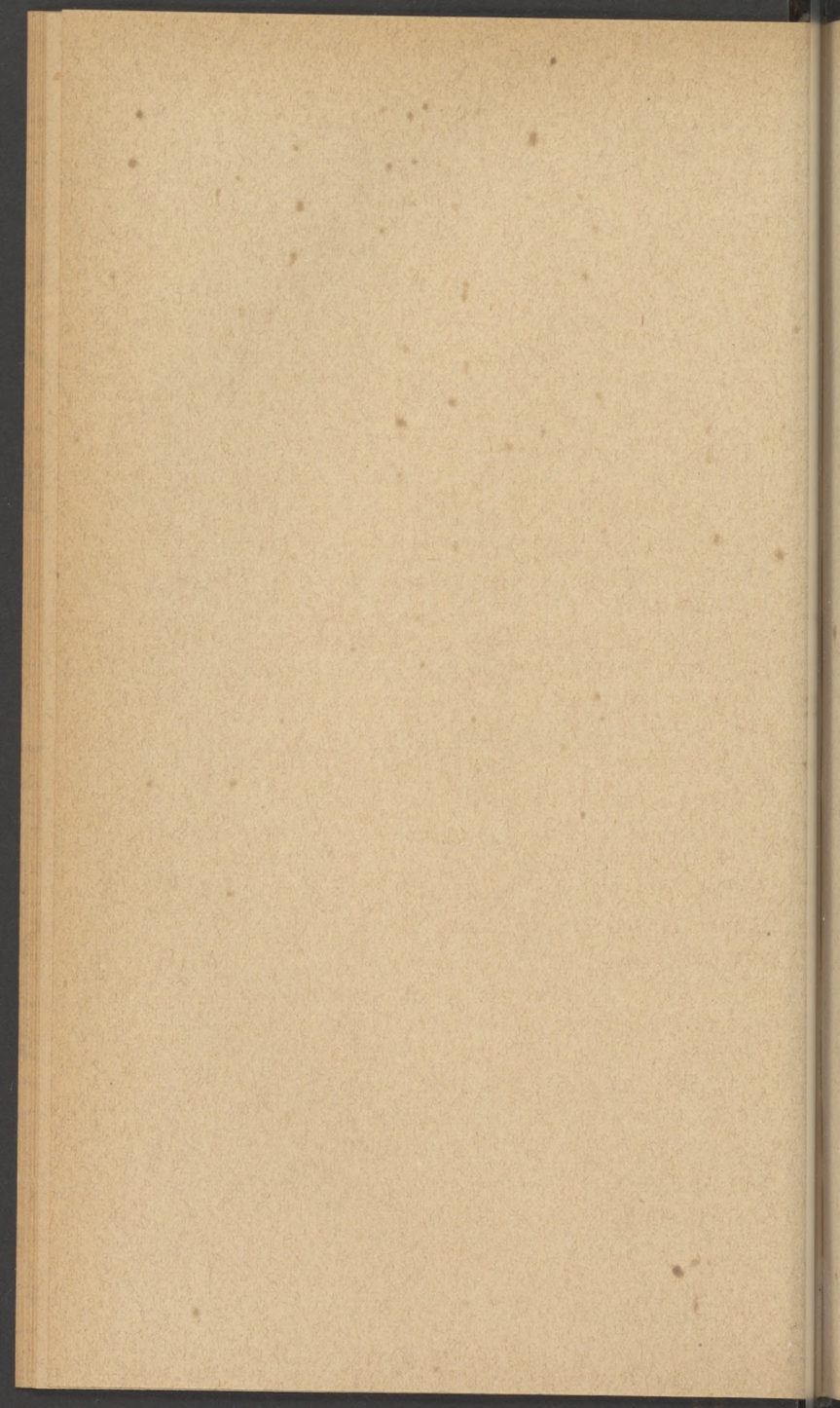
---



# JEREMI WIŚNIOWIECKI.

SCENY DRAMATYCZNE Z XVII WIEKU.

W DWÓCH CZĘŚCIACH.



## O S O B Y.

---

- JAN KAZIMIERZ, Król.  
WIŚNIEWIECKI, Wojewoda Ruski.  
KONIECPOLSKI, Chorąży koronny, szwagier Wiśniowieckiego.  
SIENIAWSKI, Pisarz polny, zięć Potockiego.  
POTOCKI Revera, Wojewoda Podolski, niegdyś zięć starój Księżny.  
KISIEL, Wojewoda Braclawski.  
Ks. ZASŁAWSKI, Koniusz koronny.  
ŁASZCZ, Strażnik Koronny.  
JĘDRZEJ POTOCKI, syn Revery, a wnuk starój Księżny.  
KALINOWSKI, drugi wnuk starój Księżny.  
HREHORY KISIEL, synowiec Wojewody.  
MIASKOWSKI, Podkomorzy Lwowski.  
KORYCKI, Pułkownik chorągwi Ordynackiej.  
SEMEN, Dowódzca Kozaków nadwornych Wiśniowieckiego.  
TOWARZYSZ, z chorągwi Wiśniowieckiego.  
WOJTUŚ, z dworu Koniecpolskiego.  
TASZYCKI, z chorągwi Firleja.  
RZEMYK WOLSKI, z chorągwi Ordynackiej.  
CHMIELNICKI, Hetman Zaporozki.

WYHOWSKI, Pisarz Zaporozki.  
NECZAJ, Pułkownik.  
DJACZEK, przy Chmielnickim.  
SZEFER-KASSI-AGA, Wezyr Hański.  
MUSTAFA-AGA, Murza Tatarski.  
KSIĄDZ JAN, Bernardyn.  
GRYZELDA, z Zamoyskich, żona Wiśniowieckiego.  
STARA KSIĘŻNA, wdowa po Wojewodzie Konstantym,  
ciotka Wiśniowieckiego.  
SOŁOCHA, czarownica Chmielnickiego.  
PANOWIE.  
SZLACHTA.  
ŻOŁNIERZE.  
CHŁOPI.

---



## PROLOG.

---

Pole pod Glinianami, w lecie 1648 r.

SEMEN.

Hej dawno — dawno.

TOWARZYSZ.

A co mospaneńku — jeszcze to od Chocimskiej!

SEMEN.

Tak, tak! — Hej — lepsze były czasy.

TOWARZYSZ.

A teraz ciężkie mospaneńku — no prawdę rzekłszy, już to i przed rokiem starsi ominowali jakich się to gości spodziewać.

SEMEN.

I słońce się zaćmiło.

TOWARZYSZ.

I kometa przegorzał po niebie, strzelając od siebie zarazy.

SEMEN.

I szarańcza przeklęta — hej, hej! I gdzieżście to byli téj nieszczęsnej wiosny?

TOWARZYSZ.

Z panem Krakowskim przecie — przez post wielki cały w Czerkasiech daremnie leżąc — jużto że nam i zima niestatkowała, a prawdę rzekłszy mospaneńku, któżby się to był spodziewał, że go Krzczowski przepuści, ordynans odebrawszy — a i sam gadzina — jak się to płaszczył bestya — jakie to listy pisał do pana Hetmana — wszystko Czaplicki winien mospaneńku — a on nieborak wierny poddany JKMości.

SEMEN.

Hej Lachy, Lachy! — wam zawsze każdemu wierzyć a niczego się niespodziewać — i Krzczowskiemu zawierzyli — i od Tatarów się złęgo niespodziewali, choć od trzech lat Baskaków niebyło — hej, hej! — ot, jak na pohybel idzie...

TOWARZYSZ.

Oj prawda mospaneczku, że szło na zgubę — bo jak Dniepr roztonął i karm podnózny się podniósł — pan Hetman, że to mu się chciało prędzój zbiega swego nagonić, rozdzielił nas na troje i tak już niesilnych, mospaneńku.

SEMEN.

Hej, hej!

TOWARZYSZ.

Więc rejestrowych pchnął Dnieprem — wziął ci prawda od nich przysięgę — bo już i z cery coś niedobrego miarkował.

SEMEN.

Kazaliście przysięgać to przysięgali.

TOWARZYSZ.

Wraże plemie mospaneńku, nieprzymawiając. — A syna Stefana we dwa tysiące co przedniejszego ochotnika pchnął polem. Sam z nami z tyłu — i nie wiele to było mospaneńku, bo sami kwarcianie, a z ochoczych nikt prawie nie przybył.

SEMEN.

Otóż to mi, przysięgi brać a samym się zebrać było.

TOWARZYSZ.

Więc idziem mospaneńku, idziem, daleko — głęboko w kraj — a tu nie mospaneńku — cicho jakby i nie było nieprzyjaciela.

SEMEN.

Hej, bieda bez języka.

TOWARZYSZ.

Aż tu raptem mospaneńku, bieży nowina za nowiną — że Chmielnicki gdzieś tam na Żółtych wodach synka z Tatarem osadził — że i nasi owi przysiężni rejestrowi gdzieś w Dniepr starszyznę rzucili i do niego się kinęli — że i dragoni dworowi hetmańscy, a wiecie mospaneńku, co to w niemieckich alamodach.

SEMEN.

Znam ich, znam.

TOWARZYSZ.

Otóż jak spojrzą za siebie mospaneńku, że znacznem skrzydłem od wojska oderwani... też zdradzili.

SEMEN.

Na pohybel.

TOWARZYSZ.

I w obozie zrobiło się cicho, jakby żywej duszy nie było na szerokim stepie... Aż ci, co to najwięcej hukali mospaneńku, a byle to nam dogonić buntownika — dalej radzić — że na nas cała obrona Rzeczypospolitej, że wróg na karku, że nam tył weźmie — więc mospaneńku, że się cofać trzeba.

SEMEN.

A pan Hetman?

TOWARZYSZ.

Pan Hetman mospaneńku: o nie! mości panowie — a syn mój Stefan, a całe zacne towarzystwo co na przedzie — więc ordynans taborem naprzód, i jakaś lepsza wstąpiła w nas otucha.

SEMEN.

Tak, tak.

TOWARZYSZ.

Więc naprzód do Masłowego stawu. Aż tu pod wieczór, jak dziś pamiętam mospaneńku, szłem naprzód kominikiem — patrzę — coś w stepie majaczeje — zdaleka widzę, biały koń — towarzysz mospaneńku — no, rzecz dziwna z tej strony. — Stój! — a z kąd bracie? — czołem — czołem — do pana Hetmana. I widzę mospaneńku, kiereja podziurawiona, spluskana, zakurzona, ba i z boku świeża krew się sączy mimo pakuły — a sam jakoś dziwnie z cery wygląda i chwieje się na szkapie, jak pijany.

SEMEN.

Dobrze widno oberwał.

TOWARZYSZ.

Więc może waści bok opatrzeć, albo konia świeżego, bo jużto białemu nie daleko iść? A on mospaneńku — do Hetmana co żywo, bo mi sił niestanie.

SEMEN.

No — nie było co czekać.

TOWARZYSZ.

Pchnąłem skarogniadego tedy, biały się znów puścił dużym cwałem — i bieżym do taboru. Aż tu mospaneńku, widać Hetman też najrzał towarzysza, i do nas samotrzeć wybiega. — Zkąd towarzyszu? — a on mospaneńku: — Pod Żółtymi wodami, cały obóz zniesiony. — Hetman zbladł.

SEMEN.

Było czego.

TOWARZYSZ.

I Szembek i Sapięha w niewoli — kto nie zginął, w niewoli. — A mój Stefan? — Ten zginął — zginął z sakramentami — i kazał ci powiedzieć, żebyś był spokojny, bo się nie dostał w jassyr — po tom przybył.

SEMEN.

Hej nowiny, nowiny ciężkie.

TOWARZYSZ.

Pan Hetman mospaneńku, nie mruknął ani słowa — a tylko mu oczy blekmanem zaszczyły — i długo stał jak posąg u Maryackiej fary... a potem

mu się wargi ruszały — znać swój żal Bogu ofiarował. Z nas też każdy stał milczący na koniu, szanując wielką bolesć — a towarzysz się z konia zważył i brzdęknał o ziemię.

SEMEN *(po pauzie)*.

No, nie było już po co iść naprzód.

TOWARZYSZ.

Poszliśmy w tył co żywo, aż pod Korsuń. Tam piękna mospaneńku dolina, nad Rosią — i myślím spocząć. — Aż tu, tylko co minie noc, pamiętam wtorkowa, i pięknie pokaże się słońko, patrzę — tuman kurzawy — myślę trzoda, ba nie, mospaneńku, tak jak obłok pogaństwa. Aż tu i od miasta czerni się kozactwa jak mrowia — i wali się to wszystko niesłychanym tumanem na obóz.

SEMEN.

Bohdanko nie leniwo się rusza.

TOWARZYSZ.

Ale żeśmy już byli coś wału odsypali, więc na miejsce porządnie każdy, i ognia z ręcznej strzelby — i jak przyszli, tak uciekli na górę. W środę harce — we czwartek harce — i tak ztydzień szło nie źle.

SEMEN.

I tak długo stać można było.

TOWARZYSZ.

Ba, kiedy mospaneńku, djabeł języka nadał, chłopisko przeklęte, łże o piędziesięciu tysiącach z Tochajbejem — i że się jeszcze Hana co-

dziennie spodziewają, a Kozaków bez liczby; i czerń rozzuchwalona, bieży do nich na umor. No i mnie się przykro zrobiło mospaneńku — ale, spojrzę za siebie — aż tu... jakby ich mróz powarzył — i sejmik — każdy radzi i jeden drugiemu strach podaje. A prawdę powiedzieć — że u panów hetmanów serce dzielne — ale... nie było silnej ręki.

SEMEN.

Hej, hej — jak u naszego jest.

TOWARZYSZ.

Więc nazajutrz raniutko, ordynanse hetmańskie, by przebijać się nazad taborem — wozy i rydwany, w ośmiu szeregach — przy nich czeladź uzbrojona, i gęsta piechota z muszkietem — my jazda, na skrzydłach idziem — a panowie hetmani z nami.

SEMEN.

Tak dobrze.

TOWARZYSZ.

Zrazu też szło nie źle — tylko się wciąż hultajstwo na tabor wali i siła z samopałów nabije koni, że przyszło nie jednemu, pieszo i w ciężkiej zbroi, odstrzelać się i rąbnąć czasem — a tu mospaneńku, słonko pali... że żelaza palcem się nietkniesz. Ba — aż tu jar i błotko — a za jarem na górze przekopy i zasieki — więc zdrada mospaneńku. — A kiedy tu brniemy, tam drapiem się na górę i dalej przebijać się chcemy — ze wszech stron Tatarowie drą się w szyk połamany.

SEMEN.

Hej kałauzom niewierzyć.

TOWARZYSZ.

To też mospaneńku, tyleż mi i zostało czasu, żem łeb uciął temu, co nas zdradnie w te wer-tepy poprowadził. A co było dalej, i jacy to żoł-nierze, i jacy panowie od jakich szabli ginęli — tego wam nie powiem, bo mię zaraz z początku, tatarczuk bestya, szabłą w czuprynę machnął, i przypadłem na skarogniadego, który mnie jakoś za szczególną opieką świętych patronów i wyraźnym cudem bożym, wyniósł z tej przeklętej wy-prawy.

SEMEN.

Dobry koń, życie drugie.

TOWARZYSZ.

Nazajutrz o świcie, jak mnie rosa oblała, za-cząłem mospaneńku coś czuć o bożym świecie — a zdało się, że się koń podemną w kółko kręci, a tu ja mu leżę na karku i podnieść się nie mogę, i coś mi głowa djable cięży.

SEMEN.

Żle.

TOWARZYSZ.

Żle mospaneńku, więc ja ręką do głowy. — Aj, zachrykało w głowie — a tu mi głos nad uchem: — Co tam wasze się kręcisz, bandaż ze łba zerwiesz, a kto ci go tam de novo zawinie, już teraz nie ja — i dopiero zajrzałem mospa-neńku, że obok mnie towarzysz jedzie i skaro-



gniadego za wodze trzyma. Aż tu i Korycki nadjechał.

SEMEN.

Stary wilk przebije sieci.

TOWARZYSZ.

I więc do mnie: — A myślałem że już z aspana nie będzie pożytku Rzeczypospolitej. — Albo co się stało panie Pułkowniku, odpowiem. Ale ba, już pan Pułkownik daleko, a towarzysz mi mówi — że chirurgus zakazał gadania, i milcz wasze, bo mu każą pakulą gębę zatknąć.

SEMEN.

To nie było co gadać wiele.

TOWARZYSZ.

Aż tu, i oczy zasłania i we łbie się gorzej zakręciło — i dobrze się stało mospaneńku, że mię byli powrozem do szkapy przywiązali, bo nie wiem czybym się był z siebie utrzymał.

SEMEN.

Nosił wilk, ponieśli i wilka.

TOWARZYSZ.

I tak mię mospaneńku zostawili w Czarnobyli, u dobrych ludzi. Baba mi tam ranę opatrzyła i bez żadnych unguentów mospaneńku, a czystą wodą — jużto bez szeptów się nie obeszło, Panie Boże odpuść — ale we trzy tygodnie wstałem zdrowy — i patrzaj ani śladu.

SEMEN (*maca mu głowę*).

Tak, tak, — dwa palce wlezie.

TOWARZYSZ.

I dopiero mi mówią, co to się ze mną stało, i jak mnie skarogniady z błota wyniosł — i z naszych który zginął — a którzy w jassyr poszli — i wielki Hetman mospanenku, i Polny, i pan Pisarz — i starzy rotmistrze nasi, Odrzywolski, Bałaban.

SEMEN.

Hej, hej — stary Bałaban, coraz nas rzadziej Chocimczyków.

TOWARZYSZ.

Ot, myśmy tylko jedni z Koryckim ocaleli. A kiedym się dowiedział, że ich wszystkiego razem, i ordy i kozactwa nad piętnaście tysięcy nie było — coś mi się sprzeciwiło w środku, że zapadłem bez zmysłów i znów tak dwa miesiące przeleżałem . . . No, już to mospaneńku, w tem były i djabelskie sprawy, i nasłanie od kogoś — bo się pokazało na moją babę, że mleka i z rosy przetakiem nazbiera, i z powrozu go nadoi jak trzeba, i wcale niezłe mospaneńku jak się ustoi — ba i na miotle jeździ . . . To też mi odtąd wszystko poszło z ukosa.

SEMEN.

Oj! baby nie zaczepiać.

TOWARZYSZ.

Mój skarogniady . . . a ryczał słyszę przed śnierznią jak człowiek.

SEMEN.

Hej szkoda — już teraz i nie widać tych koni co bywało.

TOWARZYSZ.

Więc pieszo, a trochę boso do domu szło się mospaneńku, Polesiem. Tam jak wiecie chleba nie dużo.

SEMEN.

Ale grzyba i wiuna, tam nieżałują dobrzy ludzie.

TOWARZYSZ.

To się téż dowlekło, choć z biedą do Horynia — i zaczęło mi się tłuc we środku — dziesięć lat mospaneńku, jakem chaty nie widział.

SEMEN.

I rodziny.

TOWARZYSZ.

No, co to tam powie Jmci Pani Pisarzowa. Turbowały mię czajki przekłete, co się rojem nad głową kręciły — ki, ki, mospaneńku. Palnąłem z pistoletu i przecież się to szmachłajstwo rozleciało.

SEMEN.

Nie miło, wróżba zła.

TOWARZYSZ.

Przecież z ługu i wychodzę na wzgórek — a — Semenowa grusza, więc dobrze — ztąd powinno być widno zagrodę, patrzę mospaneńku, patrzę — kij djabeł, nic nie widać. Myślę, pewnie drzewa się podniosły, albo mi tak z niewczasu ślepią zniedołężniały. Aż tu i nademną zuzula kuku, kuku.

SEMEN.

Oj, źle, — źle.

TOWARZYSZ.

To też coś mnie tknęło — i do paska Antoniego świętego. Przeżegnałem w znak krzyża, a tu cha, cha, cha, cha! — i jakim szlachcic mospaneńku — mignęło mi się w oczach — moja baba lekarska na łopacie.

SEMEN.

Oj, nie zaczepiać baby!

TOWARZYSZ.

Więc ja też w nogi — a tylko a święty Antoni, a święty Barnabo, i do wszystkich świętych których zapamiętałem. A tu mospaneńku włos się na głowie jeży, że aż czapka się rusza, a ja biegnę. Do brodu — w bród.

SEMEN.

No, ochłonałeś przecie.

TOWARZYSZ.

Jak mię woda zajęła — patrzę mospaneńku, kij djabeł, też to Milatyn, a gdzież wieś? Patrzę w prawo, gdzie było obejście pana Skomorowskiego — zgliszcze, i komin sterczy. W lewo zgliszcze — rozumiem mospaneńku, goście tu byli.

SEMEN.

Panowie Tatarowie.

TOWARZYSZ.

Więc do mojego sadku — a tam szatra cygańska, i pani Pisarzowa, i moi. No proszę waszeczki, nie djabelskież to sprawy. 16 Juli w dzień Szkaplerza Najświętszej Panny, we czwartek, zapadłem bez zmysłów — skarogniady zdechł mi

w piątek nazajutrz — a w sobotę rano Tatarzy dom mi spalili.

SEMEN.

O tak, tak — zła z czortem sprawa. Cóżście dalej poczęli?

TOWARZYSZ.

A cóż, miałem czekać aż drugi raz przyjdą, człeka jak barana zwiążą, i na snopku trzciny przez wodę za końskim ogonem przewleką. A tu mospaneńku sroki zaczęły skrzekać, a kruki i wrony już wrzeszczą przeraźliwie.

SEMEN.

Tatara wietrzą, hej, hej.

TOWARZYSZ.

I już to mospaneńku, zaczęły mi się przykrzyć nieczynność i terkoty domowe — więc pomyślałem sobie, byle tylko znaleźć wodza z silnem ramieniem.

SEMEN.

Co to rycerstwo w garści trzyma.

TOWARZYSZ.

A jak trzeba, rzuci poganom w oczy — a jak nie potrzeba, znowu mospaneńku, w dłoni ściśnie. I zaczęły mię dochodzić słuchy o waszym — że to z wami było nie po naszymu.

SEMEN.

A, jest ręka.

TOWARZYSZ.

Chociaż mospaneńku, ten plecie tak a drugi inaczej — i radem żem was spotkał, bo się też, choć raz przecie, prawdy o tem dosłucham. No, mówcie jak to było.



SEMEN.

A cóż, jak ten przeklęty Bohdanko w Krym się przedarł, pomyślałem sobie, hej, hej, już mi nie prędko łowić werezuba po sinym Dnieprze. Bo wiedziałem jaką on kozackę ma z Tuchym družbę — i że han na wszystko zezwoli chętnie, byle się Tuchego z domu pozbył. A staliśmy wtedy w Łubniach na wielkim dworze. A pan Wojewoda wracał z kościoła nowego, a szła i Księżna za nim i dziecię nieśli, i dużo Lachów szło — bo święcili nowy kościół, na łaćnińskie. Hej hej — mój ty sokole biały, na co tobie było święcić kościoły łaćnińskie.

TOWARZYSZ.

Nie wdawaj się w to wasze.

SEMEN.

Więc kozak co przywiózł pismo o Żółtowodzkiej waszėj, i o tem że hetmani pod Korsunem zamknięci, spotkał go wesołego, bo mu lekko na sercu było, że przecież skończył, i poświęcił ten kościół, w który włożyli tyle złota, żeby za nie kupił dziesięć tysięcy Tatarów.

TOWARZYSZ.

I cóż, przeczytawszy?

SEMEN.

Mnie zawołać kazał, a mnie zatupotało koło serca, że w złym razie o mnie najpierw pomyślał — hej hej, i rozkaz: — Ty stary z nadwornemi dziś wieczór przy kijowskiej bramie — toż dwie chorągwie, Baranowskiego dragonów, z Księskim i Plechowiczem — dwór lekki ja sam pro-

wadzę; i poszliśmy ku Dnieprowi na odsiecz panom hetmanom. A wszędzie już duch Chmielowy — mosty zrzucone — groble popsute a czerń się zdaleka odgraża.

TOWARZYSZ.

A wy co?

SEMEN.

Pan Wojewoda każe leciutko odganiać. — Pod Krajow, niema przeprawy — pod Kijów, niema przeprawy — aż i języka dostajem, i o korsuńskię waszěj, i o śmierci królewskiej w Mereczu, że Bohdanko już hula pod Białocerkwią, Tatary pod Horyń zaganiają, a Ostap i Gandzyk hulają na Nesterwarze.

TOWARZYSZ.

Strach wspominać mospaneńku, na okropności takie. Jużemto ja w obozach stwardniał. — i w czambule się było, kiedy nas odbił pan Krakowski stary, Panie świeć nad duszą jego; więc się widziało mospaneńku, jak żonę gwałcą przy mężu, a panienkę przy matce — i rozdzielają ich na wieki, i pędzą jak bydło w brzydki jasyr, strach wspomnieć — ale to jeszcze nie to, co się dzisiaj dzieje.

SEMEN.

Ot zwykle wojna — a jakem za młodu w Sicz na morze chodził — albo w Synopę i Tarabazan, albo z Dymitrem na Moskwę, to i wyście tam byli.

TOWARZYSZ.

Ale to mi to — tu z pijaństwa i swawoli wy-

myślanie mąk i śmierci na bezbronnych, i panienek zabijanie niewinnych, i matek, i dzieciątek w żywocie matczynym, w miastach przez pakta zajętych.

#### SEMEN.

To bo to pakta wam. Nie zawsze pańskiemu słowu wierzyć, bo nie dopieroż Gandzi albo Ostapowi — tak i na Nesterwarze i skarby wydali, i żydy wydali i taki sami poginęli.

#### TOWARZYSZ.

Dalibóg prawdę macie mospaneńku, i nielepiejże było Czertwertyńskiemu księciu, z basztą w powietrze wylecieć, niż żeby mu własny poddany z ochoty siekierą łeb uciał, a żona poszła między atamany. I dotąd mospaneńku, i męczą, i topią, i zabijają więźniów i mieszanćów spokojnych, niebacząc płci i wieku. I niedajże im Boże, mospaneńku, żeby się im noga powinęła.

#### SEMEN.

To też pan Wojewoda kazał się srożej obchodzić, wracając do Łubien — już też nam i drogę zastępować zaczęli — hej, hej, i polala się tam do woli krew chrześcijańska. Z Łubien zabraliśmy i księżnę, i dziecinę, i dwór cały, i szlachę, i kobiet i dzieci co niemiara — już i nasza pancerna z nami i dwie chorągwi Perejesławskich i Mizhorodzkich dragonów — taborem do Czerniechowa, do Lubcza — i przez Dniepr do Brahinia — a wszędzie nam drogę zachodzą, i niepożałowało się krwi chrześcijańskiej.



TOWARZYSZ.

Więc to przebijając się, Krzywonosikaście spotkali.

SEMEN.

Nie. Pan Wojewoda wprzód księżnę z dzieckiem i taborem odesłał do Wiśniowca, i sam się zawrócił poigrać z Krzywonosikiem, co pustoszył majątki młodych książąt. Hej, hej! tam to była pohulanka! Do Pohrebyszcz — i wbiliśmy na pal, dla przykładu, kilku popów i mieszczan co się skożaczyli. Pod Obodnem i chłodno i głodno, zwykle step — więc do Niemirowa, co w naszej opiece, (bo jak wiecie to młodych książąt) wysłał Baranowskiego z trzema chorągwi dragońskich. Przychodzą, bramy zawarte, aż tu i któryś z baszty prosi, żeby sobie szli dalej, bo tu nic lackiego nie ma — a tylko jednego Chmielnickiego pana mają.

TOWARZYSZ.

No proszę.

SEMEN.

Więc Baranowski nie tracąc czasu, do palisady — kęs wyrąbali, i nim się ludzie zbiegli na gwałt, do dzwonów — hej, hej! dużo się tam krwi polało, a tam rodzina moja i siostra stara i brat, i bratowe wnuki. Aż tu nazajutrz rano, wójt z starszyzną uniżony przyjeżdża, skarżąc Baranowskiego, że wołał uwierzyć łotrowi jednemu, niżli pytać urzędu — co w wierze zostaje i właśnie o załogę książęcia prosi. Ot chłopski dowcip; — tejsze nocy przyzwali z Braclawia Gadaczykowych,

i tych naszych dragonów dwiestu z Księskim i Plechowiczem, że się przekinać nie chcieli — w pień wycięli.

TOWARZYSZ.

A, zdrajca mospaneńku.

SEMEN.

Pan Wojewoda affront zjadł, bo go pan Wojewoda Kijowski do Machnówki zaprosił. Ale choć my dzisiaj tu daleko — nie chciałbym ja być w skórze Niemirowskich.

TOWARZYSZ.

Oj nie daj im wszystkim Boże, abyśmy na Ukrainę wrócili.

SEMEN.

Ot w Machnówce, bronili się Lachy jak należy, i nie wdawali się w pakta z Krzywonosikiem bo już i miasta dobył i klasztoru, i hulał i rabował — a oni trzymali się w zamku bez chleba, bez prochu, aż my przyszli. Hej, hej! tam to był taniec nielada — już był i tabor nasz i mało coby wyszło Krzywonosowych, gdyby nas niewstrzymał sam stary pan Wojewoda — ot, bał się o gumna swoje, żeby ich Krzywonos w ucieczce nie popalił.

TOWARZYSZ.

Respekta mospaneńku.

SEMEN.

A tu już i konie nam ledwie idą, i ludzi nam nagięło do licha, a reszta zmarniała, widząc że taka ćma nieprzyjaciół, a u swoich trwoga wszędzie a nigdzie dobrej woli. Więc do Hrycowa — aż tu biegać prosić z Połonnego, gdzie

się trochę szlachty a lik Rusi od Krzywonosą zamknęło. I pisze pan Wojewoda drobne listy do Osińskiego, co stał z gwardyą przyboczną i do Koryckiego co stał z ordynackimi, i prosi do kompanii — a oni mu na to, że mają inny ordynans od panów hetmanów.

TOWARZYSZ.

Hetmański ordynans mospaneńku — w takim razie, idź tam gdzie taniec.

SEMEN.

Pan Wojewoda zły a i Lachy nasze boją się by zdrady nie było, jak w Niemirowie — więc Połonskim tylko radzim by się bronili, a sami jak drudzy na zamki, do Zbaraża. Mijamy Konstantynów aż pod Rosołowcami zachodzą nam drogę, Osiński i Korycki z tem, że Krzywonos wczoraj zdradą ubiegł Połonne, że dzisiaj już pod Konstantynowem hula — i że oni poddają się z komendą naszemu.

TOWARZYSZ.

A przecie, mospaneńku.

SEMEN.

Pan Wojewoda się trochę namyślał — ale gdy zobaczył lud dobry i w porządku wszelakim, i Krzywonosowe czarne dymy od Konstantynowa okiem zajrzał — rozgorzał się po staremu.

TOWARZYSZ.

A już też was i przykro widzieć wciąż ustępujących przed chłopstwem.

SEMEN.

W nocy tedy okopaliśmy się przy Wissowa-

tym stawie — aż nazajutrz koło południa, w sam dzień Bohorodcy, spuszcza się Krzywonosik ku grobli. Pan Wojewoda ordynuje naprzód naszą starą dragonią, a za nią chowa piechotę Osińskiego — trochę w bok, stoi Korycki, a nasi z panem Starostą Kałuskim w odwodzie. A tu i Krzywonosik wali się na groble taborem całym — dragoni się odstrzeliwają, nie śmiejąc niby na niego nastąpić — a gdy już ich większa połowa przeszła groblę, rozstąpią się żwawo, a Osiński ich nuże prażyć piechotą — hej, hej! aż strach wspomnieć co się ich tam położyło.

TOWARZYSZ.

Tak, tak mospaneńku, przecież.

SEMEN.

A pan Wojewoda do mnie: Semen, skocz mi co żywo do pana Starosty Kałuskiego, niech pchnie Kurosza z ochotnikiem przez to błoto i jarki na prawo, w tył hultajów — szabel mi nie żałować a iść naprzód śmiało, bo się już Krzywonosik chwieje. No, niepożałowałem siwego, tylko się tuman kurzu potoczył za mną. A jakeśmy skoczyli z Kuroszem — hej, hej! przez wiele lat, urodzi tam bez nawozu Rosołowieckie pole.

TOWARZYSZ.

No, dalej.

SEMEN.

Kiedy noc, choć ślepie wykól. Nazajutrz we wtorek, znów Krzywonosik całą siłą komunikiem następuje na groblą — my znów nad Wissowa-

tym stawem. Pan Wojewoda Kijowski na prawem, a nasz na lewém skrzydle — ordynans po koniu, po koniu powoli — i cofamy się zwolna — Krzywonosik co żywo przez groblę cały — a my stać — nazad — i z miejsca bij zabij.

TOWARZYSZ.

Tak — tak.

SEMEN.

I jakeśmy wzięli na szable, tośmy ich do wieczora nie puścili. O mój ty sokole biały, a któż to powie jakeś się ty uwijał nieboże, i jak oni pierzchali jakeś się pokazał, lub głosu twego zasłyszeli. — Hej, hej! pół taboru, i działa, i chorągwi czterdzieści, tamże i wasze korsuńskie — i byłby cały tabor nasz, gdyby nie ciemna noc zaraz z wieczora.

TOWARZYSZ.

Dzień po dzień.

SEMEN.

Tym też i Krzywonosik z resztkami się wykręcił. Ot zwyczajnie babie nasłanie, (*ciszéj*) bo nawet jeńcy mówili, że mieli przy sobie Sołochę.

TOWARZYSZ.

Co za Sołochę, mospaneńku?

SEMEN.

Ot, zwyczajnie baba, siedzi sobie przy Bohdanku od nasłań. Ale lepiej nie gadać o tem.

TOWARZYSZ.

At brednie — a waszaż strata?

SEMEN.

Kurosza przy mnie zabili z samopału — hej, hej! śmiała dziecina — i starego Mokrskiego pułkownika, wzięli na dwie spisy zaraz z początku, i prostych wiele.

TOWARZYSZ.

A Krzywonosik?

SEMEN.

Sparzony oparł się aż o Bohdanka.

---

CZĘŚĆ I.

---

A K T I.

Scena I.

W obozie Chmielnickiego.

CHMIELNICKI — DJACZEK — *później* SOŁOCHA —  
WYHOWSKI — NECZAJ.

CHMIELNICKI.

No i cóż Djaczku przeklęty?

DJACZEK.

Nu, nu.

CHMIELNICKI.

A w Warszawie byłeś?

DJACZEK.

Nu, nu, musiałem, kiedyście kazali.

CHMIELNICKI.

I cóż, nie powiesili?

DJACZEK.

Nu, nu, postronka szukają.

CHMIELNICKI.

I cóż tam?

DJACZEK.

Toż pewno wiecie o regimentarzach.

CHMIELNICKI.

Ha, Peryna i Haryna, ale trzeci?

DJACZEK.

Nu, nu, trzeci gorący, chorąży.

CHMIELNICKI.

Nie Palij? <sup>1)</sup>

DJACZEK.

Chorąży. Nu, nu — ale mówią że nie chce.

CHMIELNICKI.

Pewno nie Palij? (*Djaczek kręci głową.*) Ale jak zaczną krzyżeć.

DJACZEK.

Nu, nu, nie pomoże. Nu uwierzyli, że póty im paktów nie damy, póki Palja nieusuną zupełnie. Nu, nu, a paktów koniecznie chcą.

CHMIELNICKI (*wstaje*).

Będą mieli pakta, jak pod Korsuniem (*ożywiony chodzi i zbliża się do Djaczka*). Djaczku przekłety! Djaczku hołubo! jak nie dadzą regimentarstwa Palijowi, to ja ci dam sto czerwieńców i pięć lackich kościołów do zrabowania.

DJACZEK.

Nu, nu, nu serce: nu dobrodzieju! (*Catuje go w rękę z wielką uniżonością.*) Nu, nu, czerwienice moje, nu, nu i patyny moje; nu, nu i nieboszczykowski pierścienie moje, nu, nu, nu.

---

<sup>1)</sup> Nazwa która się dostała Wiśniowieckiemu od ekspedycyi na Moskwę.



SOŁOCHA

*(z kąta gdzie zgięta siedziała coś preparując).*

A mnie co dasz syneczku? — wszakżem ci to powiedziała nim wszedł nowy miesiąc.

CHMIELNICKI.

Cóż ja ci dam siostruniu? Wszak wiesz, że wszystko co Bóg dał, oddałem Tatarom druhom.

SOŁOCHA.

Nie łzyj syneczku! nie łzyj przedemną, co wszystko wiem — albo to ja chcę twoich czerwienców? dasz mi siedm żydówek i siedm laszek na wybór — trzeba mi na pełnię krwi świeżej.

CHMIELNICKI.

Dam dwadzieścia i dwadzieścia siostruniu.

SOŁOCHA.

Jaki mi hojny.

CHMIELNICKI.

A co będzie jak Palija nie będzie — to już ja wiem siostruniu, choć bez was z bratem czartem rozmawiać się nie umiem — *(chodzi)* w puch zbiję, za Słucz zagonię i nahajami zasiekę wraże syny. A o Wyhowskim?

DJACZEK.

A cóż, uwierzyli nu, nu, że zdrajca podwójny, i że nie mają co na niego rachować.

CHMIELNICKI.

Tak — tak.

DJACZEK.

W tem nam najwięcej Starosta pomagał, nu, nu — ale dopomina się o obiecane.

CHMIELNICKI.

Odeślę, odeślę — ja na to pieniędzy nie skąpię.

WYHOWSKI (*wchodzi*).

Sława Bohu, Zaporozki Hetmanie!

(*Djacek się usuwa*).

CHMIELNICKI.

Na wieki wieków, panie Pisarzu. A z czem przychodzicie?

WYHOWSKI.

Ważne nowiny z lackiego obozu Hetmanie. Dobra nasza, w obozie wrzawa i niezgoda — do trzech regimentarzy dodali czterech komisarzy, więc ich będzie siedmiu dowódców.

CHMIELNICKI.

Chwała Bogu! panie Pisarzu! chwała Bogu! Pan Bóg nie opuszcza wiary swojej prawosławnej. A którzyż to komisarze?

WYHOWSKI.

Z ważniejszych Wiśniowiecki.

CHMIELNICKI.

Co?!

WYHOWSKI.

Ale ten nie chce iść pod komendę Zasławskiego, opuścił swój obóz pod Czołhańskim Kamieniem i zamknął się w Zbarażu.

CHMIELNICKI

(*chodzi w duszy uradowany*).

Szkoda, panie Pisarzu, szkoda, że mu komendy nie dali — mam do niego stare urazy i pokazałbym przekłętemu Lachowi, że to ze mną, nie z Krzywosem, sprawa.

WYHOWSKI.

Jednak bez niego będzie bezpiecznie — wszakże ku temu zmierzały wszystkie nasze zabiegi w Warszawie.

CHMIELNICKI.

A tak, panie pisarzu, i tą razą powiem z wami Bogu chwała, bo zawsze prywatę swoją sprawie naszej poświęcam. A tak, wasza to zasługa, panie Pisarzu, wyście te warszawskie stosunki zawiązali, nam z nimi dobrze, i wam one pomogą przy zawarciu paktów, co daj Boże najprędzej. Wszakże na wojewodę kijowskiego, darmo w około siebie szukam, nikogo prócz was nie widzę. To tylko, że w tem bezkrólewiu niema z kim gadać.

WYHOWSKI.

Nie z paktami do was przychodzę, panie Hetmanie, jeszcze nie pora. Nasze pakta z królem z elektem, a nie z panami wrogami. Ja sądzę Hetmanie, że do boju przyszedł czas, w obozie rozdwojenie, Wiśniowieckiego niema, idźmy naprzód w imię Boże, nie czekając Tatarów, zrobim korsuńską drugą, a wtedy stanieją nam panowie, i przy elekcji pakta gotowe.

CHMIELNICKI.

Niemam ja nic przeciw temu, Pisarzu, mołojcy gotowi, i żal się Boże łupy Tatarom oddawać.

WYHOWSKI.

Kiedyśmy silni, po co nam mięszać Tatary w sprawy domowe i czekać — z Lachem porę chwytaj — jest taki czas, że go dziecko obali,

a daj im ochotę i wodza, to przegonią dwa razy sto tysięcy Turków i Tatarów.

CHMIELNICKI.

Prawdę macie, czystą prawdę, ale co zrobim z Kisielom?

WYHOWSKI.

Z Kisielom? Kisiela kazaliście mi obietnicami trzymać; i jam obietnic nie szczędził.

CHMIELNICKI.

A pora uchodzi.

WYHOWSKI.

Więc odprawcie Kisiela.

CHMIELNICKI.

Wyhowski pogłaszcze a Chmielnicki udrapnie.

WYHOWSKI.

To chcecie aby Wyhowski...

CHMIELNICKI.

Nie wiem czy nam wypada za śmiało zrywać zaczęte traktacye.

WYHOWSKI.

Więc jutro odprawię Kisiela.

CHMIELNICKI.

A kiedy taka rada wasza, to jutro ze świtem ruszym się; przyślijcie mi Neczaja.

WYHOWSKI (*odchodząc na stronie*).

Wojewodą kijowskim — czy przez ciebie, czy bez ciebie, będę wojewodą kijowskim. Coś mi niedowierzasz, panie Hetmanie, i słusznie; nie tam ja pójdę gdzie tobie trzeba, ale tam gdzie sprawa świętej wiary i świętej wolności kozackiej. I do kaduka! idź mi prosto, panie Hetmanie —

ni w prawo, ni w lewo — bom to ja nie jeden  
co tak czuję w Kozactwie naszym.

CHMIELNICKI (*sam*).

Skrećili ci kark w Warszawie, sam go sobie  
skrećisz u Kisiela, a potem brataj się z Lachy,  
Wyhowski. Więc ze mną wam tylko traktować  
o pokój — a pokój wam dam, jak niestanie mo-  
łodców na Rusi, koni u Tatar i nienawiści w Boh-  
danku Chmielnickim.

NECZAJ (*wchodzi na pół pijany*).

Zdorow Atamanie?

CHMIELNICKI.

Neczaju! Neczaju! jeszcze na jutrznią nie  
dzwonili, a tyś już pijany.

NECZAJ.

Cóżto, ja Turek albo Lach niewierny, żebym  
się upił przed jutrznią; jam pijany od wczoraj.  
Oj, z żalu i nudy upiłem się, Atamanie.

CHMIELNICKI.

Za żoną, za dziećmi, biesów synu.

NECZAJ.

Hej! za pohulanką krzepnie ręka Atamanie;  
samopały zardzewiały, i spisy ztępiały.

CHMIELNICKI.

Jutro synku, skoro świt, wychodzیم.

NECZAJ.

A niechże ci bies nagrodzi za dobrą nowinę —  
przyjm już gościa Atamanie, i wypijmy lackie  
zdrowie gorzałką.

CHMIELNICKI (*klaszcze w ręce*).

Hej! Czaplicka! (*Wchodzi kobieta*) gorzałki gościowi. A wieszże ty, Neczaju, że nas Lachy uczcili i przeciw nam siedmiu hetmanów wystawili?

NECZAJ.

A cóż my, niebożęta, pocniem przeciw tyłu?

CHMIELNICKI.

Piękny tam ład w obozie być musi.

(*Kobieta wnosi garniec i nalewa.*)

NECZAJ.

A więc siedmiu hetmanów zdrowie! (*Piją — śpiewa*) Hej, pójdziem na trzy pole, a czwarte Podole.

CHMIELNICKI.

Zdrowie Dniepru naszego i świętej kozackiej wolności!

NECZAJ.

Nie, Hetmanie, to koniec, bo potem żadne inne zdrowie.

CHMIELNICKI.

Nawet moje hetmańskie?

NECZAJ.

Nie, tyś święty, póki nas prowadzisz za wolność Zaporozża.

CHMIELNICKI (*na stronie*).

I na tego rachować nie mogę. Neczaju, nieboże, cóż z Kisiem?

NECZAJ.

Jakoście kazali — w drodze miał zabawę

jak nasi ze szlachtą igrali, a na miejscu jam znowu nawracał; zda się dość już ma posłowania, i gdyby nie Wyhowski, byłby już dawno odjechał z kąd przyjechał.

CHMIELNICKI.

A szkatułka?

NECZAJ.

Nie zacięży w powrocie. I czerni się oplacał, i naszym co czerń odganiałi — osolił kitka Laszek, co się chrzcic nie chciało — za snop siana po dwa talary płacił — to też i fanty pozostawiał i z pół fortuny stracił.

CHMIELNICKI.

Neczaju serce, jutro go Wyhowski wyprawia, staraj się, by się w drodze nie znudził — trza być radym gościowi.

NECZAJ (*kiwa głową*).

Rozumiem, rozumiem — więc zdrowie pana Wojewody! (*Piją*).

CHMIELNICKI.

Czaplicka! gorzałki więcej! (*Kobieta zabiera garniec i przynosi pełny: Chmielnicki bierze ją pod brodę*.) Co, sprawną mam szynkarę? Ot kiedyś pobierzem się sobie. (*Wódka działa*.) Neczaju, nieboże! jak Czaplickiego dostanę — oj często to ja o tem myślę, jak się to z nim zabawię, Neczaju.

NECZAJ.

Zrób tak, jak ja z moim starostą, com go dostał — czerwone bóty, czerwony pas i czerwone wyloty u rękawów, by pańską godność uczcic.

CHMIELNICKI.

Już bies podszeptnie — albo i tobie panie Chorąży. Jaki ojciec, taki synek — a to czechrzyńskie lackie starostwo — a stara kozacka słoboda. Ale już też wam i dosyć rozdawać Ukrainę lawszczowszczykom, co mołojce Rzeczypospolitej w chłopy obracają. I tobie panie Krakowski, coś mnie to ze synkiem gonił po laskach dnieprowych — ale już ty masz za swoje.

NECZAJ (*zupełnie pijany*).

A Laszczce pierś odciąłem i szczenię przystawiłem — niechaj ssie laszątko.

CHMIELNICKI (*coraz więcej rozgrzany*).

Aha! futora ci się mojego zachciało, a mnie do wieży — poczekaj, pomaleńku hulubeńku. Jeszcześ mi wszystkiego niezabrał — szabla w rękę i kozacka nie umarła maty. Słuchaj Neczaju, chcieli żeby mnie Krzeczowski wydał, ha, ha, ha!

NECZAJ.

I trzy bestye razem powiesił. Lach, żyd, sobaka, wse wira jednaka. A Czarnota zaprzągl do radła karmelitę z dominikanem — wiu siwy, hetta kasztanowaty.

CHMIELNICKI.

Oj, żeby to mnie Wiśniowieckiego. Hej siostruniu! (*Wchodzi Sołocha*) Pij siostruniu i gadaj czy to ja dostanę Wiśniowieckiego?

SOŁOCHA (*pijąc*).

Teraz go pogonisz syneczku, a potem tu pies



padnie niedaleko — ztąd dzień jazdy na dobrym bachmacie.

CHMIELNICKI.

Więc wiwat! (*Pije*) Neczaju! serce! Neczaju, my tu pijem, a nikt nam na wiwat nie strzela. Cóżto my hołota jaka a nie panowie, zaporozcy wodzowie. Hej Djaczku czorte! (*Djaczek wchodzi*) Djaczku hołubie, wywieźć tam trzech dragonów kudackich i zastrzelić.

DJACZEK (*uradowany*).

Nu, nu, nu.

NECZAJ.

Rozumiem, rozumiem, nam na wiwat.

SOŁOCHA.

Hej, synku! tyś rodzony bratów syn — dalejże pohulaty.

CHMIELNICKI.

Lackie zdrowie! siostruniu. (*Piją do siebie, słysząc trzy strzały, na ostatku głos: Jezus Marya!*)

## Scena II.

Pod Glinianami.

SEMEN — TOWARZYSZ — *później* TASZYCKI *ze zgrają* — RZEMYK — KORYCKI i ŁASZCZ.

TOWARZYSZ.

I gdzież teraz wasz obóz?

SEMEN.

Pod Czolhańskim kamieniem leżymy.

TOWARZYSZ.

A pan Wojewoda gdzie?

SEMEN.

W Zbarażu na zamku.

TOWARZYSZ.

Bo to widzicie, mospaneńku, jabym chciał do was w służbę.

SEMEN.

Alboż to Potoccy nie dobrzy panowie?

TOWARZYSZ.

Niema co mówić. Ot, mospaneńku, Strzemeski od nieboszczyka Stefana za dwóch murzów dostał Horodenkę, a dziś już na podkomorstwo patrzy; dobrzeby to było na stare lata.

SEMEN.

Jest, jest.

TOWARZYSZ.

Otóż nie wiem czy go się tu doczekam, chociaż mi ordynacy mówili, że ma przyjść asystować panom Regimentarzom.

SEMEN.

Ot przyjdzie albo nie przyjdzie, lepiej ze mną do Zbaraża jedźcie.

TOWARZYSZ.

A jak nadaremnie, mospaneńku, widzicie, bo to nas starych, to młodzi...

SEMEN.

Chocimczyka na pewno przyjmie pan Wojewoda — u nas to po staremu, bez Francuzów.

TOWARZYSZ.

Więc zgoda, jutro jedziem — tylko żem to ja pieszo, mospaneńku (*pokazując na siebie*) i wytarto, że nie powiem obdarto.

SEMEN.

Nic, nic, u nas to nie szkodzi.

TOWARZYSZ.

Więc zgoda. Ale patrzcie, co to za tumult w obozie.

SEMEN (*nie podnosząc się*).

Hej, co dzień to tak.

TOWARZYSZ.

Ale patrzcie, tu się zbliżają — daj go Bogu, to chłopcy z palcatami — i patrzajcie, Marszałek na przodzie.

(*Wstają i usuwają się na bok, nadchodzi Taszycki z pewną uroczystością, za nim trzy bandy młodzieży 18-letniej i więcej.*)

TASZYCKI (*stając*).

Mości panowie, chłopięta, pacholikowie i inne lekkie osoby, tu pole bitwy — strona pana Koniuszego na prawo — strona pana Chorażego na lewo. A panowie podczaszyce, że nas zaiste za mało, chociaż chłop w chłopca, a mianowicie ten garbaty, złączcie się z panem Chorażym.

GŁOSY z 3ciej bandy.

Nie chcemy. Cóżto, pan Podczaszy nie taki regimentarz jak drudzy — nie chcemy.

GŁOS z 1szej.

Nie wiele złego, dwóch na jednego — na byka cielak z ozimkiem — ha, ha, ha!

GŁOS z 3ciej.

Cóżto? przymawiacie panu Podczaszemu?

GŁOSY z 1szej i 2giej.

Ha! ha! ha!

GŁOS z 3ciej.

Co ty jakiś!

GŁOSY z 1szej i 2giej.

Tylko się waszeć nie gniewaj, dobre panisko  
ale chudzina, tak jak ja i waszeć.

TASZYCKI.

Mości panowie! proszę uciszyć się.

GŁOSY z 3ciej bandy (*bez przerwy*).

A dla czego? dla czego? Bo równość szla-  
checką miłuje. Nie raz wzgardził krzesłem se-  
natorskiem i beneficjami — *panis bene curantium* —  
choć u źródła łask — tak, tak, był w osobi-  
wszej konfidencyi u nieboszczyka króla.

(*Powoli rozdzielili się na dwie strony.*)

GŁOSY z prawej strony.

Przyszła koza do woza — Książę pan, całą  
gębą pan, a szlachcie nie.

GŁOSY z lewej.

Otóż mi wojak.

GŁOSY z prawej.

A wasz wojak na sejmie, a poseł w obozie.

TASZYCKI.

Mości panowie, uciszcie się, po raz drugi —  
ubliżacie mojej powadze marszałkowskiej.

GŁOSY z obu stron.

Ksiądz Prymas nam zesłał cały dwór niebo-  
szczyka Króla — wszystko koronne — Podcza-

szego, Koniuszego, Chorążego. — Dajcie pokój, pan Chorąży wojak. — Gdzieś tam na Niderlandziech. — Wojak, wojak — Perturbator — dusza Wojewody Ruskiego. — A pana Wojewodę Ruskiego usunęli — bo żołnierz i ma miłość żołnierza. — At popie nominacye.

TASZYCKI.

Mości panowie! po raz trzeci proszę o głos. (*Mówi z uroczystą pokorą*) Mnie, iż Pan Bóg, z woli swej świętej, lubo najniegodniejszego na tem pierwszym miejscu posadził; z powinności miejsca mojego i z zwyczaju dawnego naprzód...

GŁOSY (*ze śmiechem*).

Ha ha ha! Oracya prymasowska na konwokacyi.

GŁOSY z lewej.

Otóż i Rzemyk Wolski, jeszcze jeden burmistrz ordynacki — będzie coś nowego.

RZEMYK (*na nogę nalega*).

Cóżto za tumult bezemnie?

GŁOSY z prawej.

At Podczaszyce i Chorążyce bąkają, a i Wiśniowieczyki się odszczekują.

RZEMYK.

To im pysk zatkać — może wam dać rawskiej pakuły?

GŁOSY z lewej.

No no, hola paniczu — pilnuj swojego pyska a do cudzych ci wara — a patrzajcie mi kuternogę.

RZEMYK (*patrzy na nich z ukosa. — Do prawych*).

Cóżto wam strach, że was tylko dwóch na jednego. A no ordynacy za mną, nie w palcaty, ale na ostre. (*Dobywa szabli, chce się rzucić na tego co powiedział kuternoga; Towarzysz co z Semenem stał na boku przystępuje do niego, uderza go po rękę silnie, tak że mu szabla upada; z tytu zamieszanie, jedni dobyli szabel, drudzy ich nie tykają; ruch Towarzysza dodaje serca umiarkowanym i szable idą w pochwy.*)

TOWARZYSZ.

A cóżto waści, oszalał, to sprawa gardłowa — w obec nieprzyjaciela.

RZEMYK (*patrzy na niego*).

A włóczego! (*Patrzy na Semena co przy Towarzyszu spokojnie stoi.*) Ha, ha, kompanija! (*Do swoich.*) Jużto ja szpiega zwietrzę, jak wyżeł przepiórkę. Panowie, albow ja nie Rzemyk, albo to szpiegi Chmielowi.

GŁOSY z obu stron.

Zkąd szpiegi? — a szpiegi, i z cery widać — zkąd szpiegi? Już jak Rzemyk stanął, to zwierrzyna — zaprowadzić ich do pana Oboźnego.

TOWARZYSZ (*Semen stoi spokojnie, Towarzysz się niecierpliwie a potem słuwa*).

Pfu, mospanenku.

RZEMYK.

Alboto już jednego od pana Oboźnego wypuścili. Panowie słuchajcie, oto gałęź... a (*szuka*

w torbie) jeźliście wzgardzili rawską pakulą, to pieńkę rawską przyjmijcie.

(*Dobywa kawał postronka, i robi się tumult.*)

TASZYCKI (*zbliża się do Semena*).

Jakem szlachcie, herbu Strzemię, znam gdzieś tę maskarę.

SEMEN.

A to ten maleńki Taszycki, co wziął czterdzieści batogów, że na pokojach u pana Żółkiewskiego obciął poły od ferezyi staremu ochmi-strzowi.

TASZYCKI.

Tak jest, mości panowie, *me hercule* — na Wniebowzięcie Pańskie będzie temu lat dziesięć, jak wzięłem czterdzieści batogów, i to dobrych czterdzieści batogów, *pro istud nefas* — lecz ten scyta zdradliwie zamilcza, że je wzięłem na kobiercu, jak na szlachcica przystało.

SEMEN.

Tak, tak, na kobiercu.

TASZYCKI.

Mości panowie, ten... jest... Semen, dowódzca kozaków nadwornych i prawa ręka pana Wojewody Ruskiego.

GŁOSY z obu grup.

A i barwa Wiśniowieckich... My za Wiśniowieckim — niech żyje Wiśniowiecki, prawy rycerz i przyjaciel rycerstwa!

RZEMYK.

Łże... nie słuchajcie.

TASZYCKI.

Rzemyku, *amico* — wiesz, boś na skórze doświadczył, jako *olim* w palcaty, *at nunc*, w prawdziwą stalową, a zakrzywioną...

RZEMYK.

Łże, łże, to szpiegi — ja się nie pomyłę, a hajże ordynacy za mną. (*I podnosząc z ziemi szablę zrywa się; nadchodzi z tyłu Łaszcz z Koryckim; Łaszcz się zatrzymuje, wysyła Koryckiego żeby zobaczył co za tumult, a wkrótce i sam przychodzi.*)

GŁOSY.

Pst... pst... Korycki.

(*Rzemyk się raptem odwraca i spotyka wzrok Koryckiego postępującego powoli, spokojnie z rękami w tył, i bardzo się mięsza.*)

KORYCKI.

Schowaj waśc szablę do pochwy. (*Przechodzi się; po pauzie*) Hm, sprawa gardłowa.

ŁASZCZ (*wchodząc*).

Rzemyk... to już pewnie burda.

RZEMYK

(*zobaczywszy Strażnika przychodzi do siebie*).

Ot panie Strażniku powieszą Rzemyka, że chciał trochę przepędzić Wiśniowiecczyków. co szcekali na księcia, pana mojego.

(*Wszyscy się z uszanowaniem rozstępują, Korycki zbliża się do Strażnika.*)

KORYCKI (*półgłosem*).

Czy mam aresztować, złapałem go na gorą-



cym uczynku z szablą dobytą, w obec nieprzyjaciela.

ŁASZCZ.

I *crimen lasae majestatis*, że chciał Wiśniowieczyków przepędzić. Daj go Bogu, i waść, panie Pułkowniku, też się zwiśniowieczyłeś od owej wielkiej Rosołowieckiej.

KORYCKI.

Ja wiernie panom ordynatom służę.

ŁASZCZ.

Nie wątpimy, ale powiedzno mi surowy praw stróżu, cóż tam zrobicie ze mną proszę, który noszę ferezyą podszytą bannicyami, a samemu Wojewodzie Ruskiemu wręcz przyciąłem względem tych wielkich expedycyi na chłopstwo. Daj go Bogu, było chłopstwo jak należy kańczugiem przegnać, a Rzeczypospolitej nie turbować, strachy na Lachy.

KORYCKI.

Byle z tego co złego nie wynikło dla Rzeczypospolitej.

ŁASZCZ (*głośno*).

Mości panowie, a kiedy niesnaski palcatowe, za sprawą tego łotra wszczęte (*uśmiechając się do Rzemyka*) zgodnie zakończyć chcecie, to proszę do siebie — nadeszły świeże antały — nie moje, mości panowie, bo mi już obmierzli żydowie kredytować nie chcą, ale Księcia pana.

GŁOSY.

Ot taki, nie masz jak nasz Książę. Wiwat nasz Książę — wiwat pan Strażnik!

TASZYCKI.

Z mojego miejsca, jako obrany marszałek, składam w imieniu zgromadzenia winne dzięki wielmożności waszej. Bo, jeżeli woda tłumi pospolite pożary, nie nad wino nie gasi ognia wzburzonych namiętności — *dixi*.

ŁASZCZ.

Daj go Bogu, peroruje jak kanclerz.

(*Odchodzą wszyscy za Łaszczem, z okrzykami*  
Wiwat! wiwat!)

TASZYCKI (*odchodząc do Semena*).

A wy, tatulu, nie uśmiechniecie się do koniuszowskich ańtałów — ot z kolegą.

(*Semen kręci głową; zostają SEMEN, TOWARZYSZ*  
*i KORYCKI*).

KORYCKI (*do Towarzysza*).

Powinszować wyzdrowienia, a już nie sądziłem —

SEMEN (*do Koryckiego*).

Kto ten pan?

KORYCKI.

A to przecie ucho pana Koniuszego, pan Łaszcz, strażnik koronny.

SEMEN.

Strażnik tu?

KORYCKI.

U was ćwierć mili przed obozem — u nas inszy obyczaj: straży nie ma, śpiemy na obie uszy jakby i nie było hultaja na ziemi — a jak się zbudzimy, to do zwady, do kostki lub kielicha.

SEMEN.

A panowie regimentarze?

KORYCKI.

Dopiero spodziewani w Glinianach?

SEMEN.

A języki?

KORYCKI.

Jak w wieży Babel — jedne że Chmiel wraz następuje z ordą całą, drugie o armistycyum Kisielowskiem, a krótko nic nie wiemy. Byleby ztąd co złego nie wynikło dla Rzeczypospolitej.

### Scena III.

W Zbarażu, w lecie 1648.

WIŚNIEWIECKI — *wchodzi* KONIECPOLSKI i SIENIAWSKI — *później* POTOCY — KALINOWSKI — SEMEN — WOJTUŚ.

WIŚNIEWIECKI.

Witajcie, panowie moi — już dawno na Zbarażu nie widziano tak zacnych gości, i tak miłych gospodarzowi. (*Witają się.*) Więć z Glinian?

KONIECPOLSKI.

Do Glinian, dokąd wreszcie przybyli panowie Regimentarze, i dokąd się nam wszystkim z wojskami wracać każą.

SIENIAWSKI.

A że my rakom podobni, wracać się nie chcemy, więc przyjechaliśmy do was.

WIŚNIEWIECKI.

Na szczęście że mnie prywatnego nie tyczą się ordynanse panów Regimentarzy. Ależ i wy panie Chorąży jesteście jednym z tryumwirów.

SIENIAWSKI.

Ten nasz rakiem nie pójdzie od hultaja.

KONIECPOLSKI.

Jam jak wy panie Wojewodo człek rycerski, i chyba żem był wtedy mocno chory, JM. ksiądz Prymas zesforować mnie raczył z tymi pacyfikami, którym jak widzę najwięcej o to idzie, aby nie obrazić JW. Wielkiego Hetmana Bohdanka Chmielnickiego, i uczynić go łaskawym na służbę swoje.

WIŚNIEWIECKI.

Czyliż nas już do takiego wstydu doprowadziły mądre plany kanclerskie i intrygi całej tej francuzkiej fakeyi — i czy to ma być owo projektowane podniesienie godności tronu?

KONIECPOLSKI.

Tandem w obozie myśl inna — nie wierzą Chmielowej pokorze i Kisielowskim paktom — chcą powetować wstydu Korsuńskiej i Żółtowodzkiej, i otośmy przybyli do was, i stary pan Wojewoda Podolski z wielu innemi zacnemi panami i rycerstwem wkrótce przybędzie, *ad consulendum de salute reipublicae.*

SIENIAWSKI.

A ja mam i Korsuńskiej powetować i pry-

wacie mojej dogodzić — mam na pieńku z tym Tuchym przeklętym.

WIŚNIOWIECKI.

A tu przecież wieść była, że was puścił na wolę, wetując podobnej z nim wspaniałości rodzica waszego.

SIENIAWSKI.

Łże poganin, więził mnie nielitościwie, bo chciał trzydzieści tysięcy dukatów, i dopiero za zbliżeniem się Hana, wziął mi dwadzieścia, a te wieść puścił, żeby mu ich Han dla siebie nie wydarł.

WIŚNIOWIECKI.

Otóż i tatarskie cnoty.

(*Wchodzi REWERA POTOCKI, JĘDRZEJ POTOCKI, KALINOWSKI i kilku panów i rycerstwa; witają się.*)

POTOCKI.

Powinszować wam, panie Wojewodo. Re vera wasza Rosołowiecka warta dawnych i najlepszych. (*Przedstawia mu syna.*) Oto mój Jędrzej, wam go oddaję, bo re vera godniejszego nie widzę. Wszak wicie pociśmy przyjechali.

WIŚNIOWIECKI.

Drogim mi jest nad wyraz, panie Wojewodo, ten znak szacunku waszego, i drogim przyjazd wasz mości panowie, bo snadź osądziliście, że mogę jeszcze na co przydać się Rzeczypospolitej. W tych czasach tknęła mię do żywego zła wola niektórych panów — nie dość że żadnej pomocy w tych ciężkich upałach, ale i zarzuty poci i naco sam,

panów wodzów nie czekając, przed swaty wylatam — niepomni gdzieby to się był oparł Krzywnos przy owem żółwiem zbieraniu się panów Regimentarzy — i nicowania owej śmiej powieść pięknej rejterady mojej, jakoby miał czekać aż mnie wreszcie i samemu hultaj szyję utnie — i poniżenie nad miarę tych lada jakich wiktoryi, co mi Bóg dał, — że nie wspomnę ruiny fortuny i dworskiej partyi, nie fawor, do którego zresztą przywykły jestem. Te urazy moje głęboko dotąd w piersi ukryte, dziś same do ust przychodzą, bo oczy widzą i serce czuje obok siebie przyjaciół i życzliwych.

#### SIENIAWSKI.

Nie czekaliśmy tej pory, panie Wojewodo, aby gdzie należało okazać że czujemy te krzywdy twoje.

#### WIŚNIEWIECKI.

Dziś je puszczam w niepamięć — *de salute rei publicae ante omnia*. A WMPanów wzywam do rady, co nam prawym a starszym synom ojczyzny począć wypada. (*Publiczność się rozchodzi.*) Wy panie Wojewodo i wiekiem i zasługą najstarsi, przewodniczyć nam raczcie.

#### POTOCKI.

Zgoda — a przed wszystkim, co wiatr niesie z obozu? a jakie języki o nieprzyjacielu?

#### WIŚNIEWIECKI.

Dziś właśnie wrócił mój wysłany, człek pewny i roztropny. W obozie nierząd i swawola, o nieprzyjacielu nic nie wiedzą. A moi z pod Jampola

mają język, że Chmiel już się ruszył z pod Białocerkwi z ogromną potencją, bo nie tylko nasze hultajstwo, ale i Wołosza, Multany, Serbowie i dońscy Kozacy wielkimi siłami doń się garną — że Krzywonos kręci się między Kamieńcem i Barem od obu odepchnięty — a Kołoda lezie Polesiem na Litwę, zdaje się że Kudak wzięli i Maryani zginął, jak rycerz. (*Westchnienie ogólne. Koniecpolski najwięcej dotknięty; Sieniawski zbliża się do niego i bierze mu rękę, wszyscy się do niego obracają z pociechą.*)

### KONIECPOLSKI.

Dobra mi wzięli, ale to nie tak boli — działa moje, chorągiew moja — a więc chyba podkowa moja pójdzie na okucie Chmielowego bachmata. (*Do Wiśniowieckiego.*) Złe mi nowiny niesiecie, panie Wojewodo, ale ci z oczu widzę, że niezawodne. (*Wiśniowiecki skłania głowę.*) A więc mi, miłościwi panowie, kiedyś przed wielkim Ojcem przyświadczycie, że niema mojej winy w tem poniżeniu domu naszego. Zaprawdę, gdyby nie ciężka niemoc, dziś byłbym z Maryanim u stóp jego.

### SIENIAWSKI.

Ukój żal, panie Chorąży, i Kudak odbierzem i Chmiela obwiesim na bramie, pod samym herbowym Pobogiem waszym.

### POTOCKI.

Amen, i *ad consulta* miłościwi panowie. Wasza rada? panie Pisarzu.

SIENIAWSKI.

Nie czekając panów Regimentarzy, z tym co mamy, ba i więcej się zbierze, iść w pożar i na Kamieńcu się opierać.

POTOCKI.

Wasza, panie Chorąży?

KONIECPOLSKI.

Trzymam z panem Pisarzem, tylko opierać się radzę o Bar, gdzie zostawił silne prezydyum z synowcem waszym.

POTOCKI.

A wy?

WIŚNIOWIECKI.

Rada moja nie rzucać się bez panów Regimentarzy, bośmy za słabi.

SIENIAWSKI.

Zda mi się, panie Wojewodo, za wiele trzymasz, nie już o liczbie hultaja, ale o jego wojennej cności. *Plebs — turba — Pawluki.*

POTOCKI.

Więc stanąć w obozie swawolą zarażonym i tę zarazę swoim zaszczepić — bo to *pestis contagiosa*, WM. Panowie — nigdy.

KONIECPOLSKI.

Rakiem do Glinian — nigdy, nigdy.

WIŚNIOWIECKI.

Nieszczęściem nie Pawluki, panie Pisarzu.

KONIECPOLSKI.

Do Glinian, nigdy.



WIŚNIOWIECKI.

Nie do Glinian, panie Chorąży... i nie do swawolnego obozu, panie Wojewodo, zapraszam WM. Panów pod Czołhański Kamień, gdzie moi ludzie, śmiem powiedzieć, w przyzwoitej ryzie utrzymani. A panów Regimentarzy przez medyacye pociągniemy za sobą.

POTOCKI.

Nie pójdę.

SIENIAWSKI.

A czas ulata.

KONIECPOLSKI.

Kiedy złączymy się z Barskimi mojemi...

(*Wchodzi SEMEN.*)

WIŚNIOWIECKI.

Co? (*Semen obraca się do drugich panów*) Ci panowie a ja, to jedno — mów.

SEMEN.

Ważny język — Krzywonos wziął Bar.

KONIECPOLSKI.

Bar — to być nie może.

WIŚNIOWIECKI.

Zkąd wieści?

SEMEN.

Jest tu pachole zbiegłe z niewoli.

WIŚNIOWIECKI.

Tu go przywieść.

(*Wchodzi WOJTUŚ.*)

KONIECPOLSKI (*silnie wzruszony*).

Wojtuś!...

WOJTUŚ (*pada mu do nóg*).

Ah Panie, nieszczęście, nieszczęście! (*Płacze, Konięcpolski tzę ociera.*) Panie, Panie! wszystkich wyrznęli.

KONIECPOLSKI.

Kiedy?

WOJTUŚ.

Ot, trzy dni temu — jak dzień zaświtał to już rżnęli po ulicach — a potem nas z domów powywlekali na rynek — a tam Panie, Panie! ojca że szlachcic, żywego ze skóry odarli. Panie ja patrzałem.

POTOCKI.

A pan Oboźny?

WOJTUŚ.

Jego żywego wzięli, a mnie jakiś Turek wziął sobie — resztę wszystkich wymordowali. (*Obracając się znowu do Konięcpolskiego*) Matka bojąc się wstydu, rzuciła się w płomień. Wyciągnęli ją, Panie, z ognia, ale zaraz umarła — tylko mi ten krzyżyk z siebie na szyję włożyła — i dobrze się stało, Panie, bo nie widziała jak drobnych braci w ogniu piekli. (*Rzewnie płacze.*)

WIŚNIOWIECKI.

Utul się dziecko — a jakeś się tu dostał?

WOJTUŚ.

Pan oboźny kazał mi iść do Pana. (*Obraca się do Konięcpolskiego.*) W nocy dopęłzałem do lasu, a przez cały dzień w dziuplu siedziałem i słyszałem jak koło mnie chodzili, a znowu w nocy la-

sami szedłem — tak przez dwa dni Bóg prowadził, bo już i sił nie stawało — a tu w końcu, to mię kukułka z krzaka na krzak zlatując, aż na straż waszą wyprowadziła.

WIŚNIOWIECKI.

Cóż ci Panu kazał powiedzieć pan Oboźny?

WOJTUŚ.

Żeby Pan o nim nie myślał, że on zupełnie przygotowany na śmierć — i jeszcze kazał powiedzieć, że nie mógł dłużej miasta bronić, i że Niemcy królewiczowi źle się trzymali.

WIŚNIOWIECKI (*kładzie mu rękę na głowie*).

Pójdź dziecko, spocznij i posil się.

WOJTUŚ.

Nie, ja nie chcę jeść. (*Pokazując odzienie zbroczone wyżej kostki.*) Patrz, Panie, ot dopóty było krwi na rynku. (*Znowu płacze.*)

KONIECPOLSKI (*wstaje z sofy, na której od początku przypadł jak odurzony*).

O, za ciężki dzień dla mnie! — Panowie pozwólcie mi odejść. Co tu uradzicie, temu się poddaję. (*Do Wojtusia.*) Ty pójdź za mną, twoi póki żyli służyli mi wiernie, i ja cię póki żyw nie opuszczę. (*Odchodzą.*)

WIŚNIOWIECKI.

*Calamitates patriae sunt lamentatio Jeremiae.*

POTOCKI.

Revera i ten biedny pan Chorąży nie jest bez winy w tych nieszczęściach naszych — gdyby

nie zbyt łagodność dla podwładnych, nie byłby się tam Chmiel gryzł z Czaplickim, a Czaplicki gwałtów dopuszczał, *inde irae*. Mnie niegodnemu grzesznikowi jeżeli Pan Bóg dopuścić raczy, to *revera* dla tego, żem zawsze wojsko w przyzwoitej ryzie utrzymywał.

WIŚNIOWIECKI.

Więc cóż poczniemy, panie Wojewodo?

POTOCKI.

Nie czas już *revera* konsultami się bawić, *in tanto republicae periculo*, i widzę z wami niemożność obejścia się bez panów Regimentarzy. Mam ja *revera* u nich jakie takie względy, a na Podczaszego wpływy przez podwójne kolligacye — ale *revera* wolę się z hultajem spotykać, niżeli *legationes* sprawować.

WIŚNIOWIECKI.

Jak pojedziem, to po owem Barskiem nie-szczęściu będą musieli panowie Regimentarze ruszyć się za nami.

POTOCKI i SIENIAWSKI.

Zgoda — zgoda! (*Odchodzą.*)

#### Scena IV.

GRYZELDA i OJCIEC JAN *wchodzą* — *później* WIŚNIOWIECKI — STARA KSIEŻNA — POTOCKI — KALINOWSKI — SIENIAWSKI — JĘDRZEJ POPOCKI.

GRYZELDA.

Usiądź, ojcze!

OJCIEC JAN.

Kazałaś mnie wezwać, moje dziecię.

GRYZELDA (*nieśmiało*).

I wstyd mi ojcze, że cię trudzę dla tak błahej przyczyny — ale mi tak ciężko na sercu.

OJCIEC JAN.

Cóż zaszło?

GRYZELDA.

Nic ojcze, dzieciństwo — sen miałam straszny. Zdało się widzieć walące się tłumy czerni i pogaństwa, a przed nimi Księcia i Pana mego uciekającego — wszak prawda ojcze, że sen mało podobny do prawdy — i już, już go dosięgać mieli, kiedy dziecko moje, mój Michał, ale wzrostu męskiego — o, dotąd widzę postać jego — wyciągnął ku mnie ręce ze złotem i rzekł: Haracz od polskiej korony. Na to słowo zatrzymało się pogaństwo, szydząc z niego; i mój Pań stanął także i spojrzał na niego, ale tak, że mi znikło widzenie. Nieprawdaż ojcze, sen dziwaczny i mało do prawdy podobny.

OJCIEC JAN.

Nie każdy sen od Boga, moje dziecię, może być próżnem tylko marzeniem.

GRYZELDA.

Nieprawdaż, próżne marzenie.

OJCIEC JAN.

A że Pan nie przestrzega znakiem żadnym czy sen od niego, czy sen marzenie, czy sen od

złego, więc tak czynmy, moje dziecię, jak gdyby  
snu nie było wcale.

GRYZELDA.

Kiedyż straszny sen, ojcze, i kiedy ci panowie  
zjechali, zapewne dla naradzenia się o wyprawie  
przeciw tymże samym i czerni i pogaństwu, o,  
zadrzałam ojcze! Ale to płonne marzenie, niepra-  
wdaż? lubo może dopust Boży za moje winy temi  
czasy. (*Pauza.*) W sobie cieszyłam się ojcze,  
z krzywd memu Panu wyrządzonych, bo go tu  
dłużej zatrzymały.

OJCIEC JAN (*z westchnieniem*).

Wina dziecię moje . . . choćby ci może tę  
winę twój Pan przebaczył.

GRYZELDA (*przerrywając*).

I ojcze w duszy rada byłam nieszczęściom  
ojczyzny . . . bo go tu do mnie przywiodły:

OJCIEC JAN.

O, na tej drodze daleko w złe zejść możesz,  
dziecię. (*Żywo.*) A czyż to kobieta choć i najświę-  
tsza nie może umiłować kraju nad tego, któ-  
rego ziemską miłością miłuje, i czy też ci się krew  
wielkiego dziada, choć w kobiecej piersi, nie wzbu-  
rzyła na samą myśl taką. — (*Wolniej*) Miłość  
w Bogu być winna, dziecię, z tej żadna zła myśl  
nie wyjdzie. Złe ciebie, nie przez pychę, nie przez  
zawiść, nie przez złe namiętności kusić będzie,  
boś blisko Boga — ale miłość męża twego jest ci  
wszystkiem, jak gdybyśmy tu nie podróżni byli.  
A jeźliby się podobało Bogu dopuścić na ciebie.

GRYZELDA (*łkając*).

Ojcie . . . ojcie . . . przepuść, tej mi dziś myśli nierzucaj. (*Spokojnie*) Ojcie, jutro chcę spowiedź świętą odbyć — jutro dzień, w którym pan Wojewoda zjechał w dom ojca mego

(*Wchodzi pan Wojewoda z twarzą ożywioną.*)

WIŚNIOWIECKI.

Gryzeldo gdzie ciotka nasza?

GRYZELDA.

Na modlitwie.

WIŚNIOWIECKI (*do żony*).

Czy to jest ksiądz Jan? (*Gryzelda skłania głowę.*) Nie byłbym cię poznał, Ojcie — i ja od tej pory z pacholęcia wyrosłem, jak widzisz. Witaj mi stary przyjacielu! (*Witają się — półgłosem do żony.*) Gryzeldo, ci panowie idą ze mną a nie z panami Regimentarzami.

GRYZELDA.

Kiedy Panie?

WIŚNIOWIECKI.

Jutro, skoro świt, wychodzimy.

(*Gryzelda stoi spokojnie, potem chwytą się jedną ręką za krzesło, drugą za serce, kiedy pan Wojewoda odwrócił się i cicho rozmawiał z ojcem Janem.*)

GRYZELDA (*do siebie po pauzie*).

Panie, policz mi to za winy moje, bo widzisz że śmierć mam w duszy, a stoję odważnie pod próbą twoją.

WIŚNIOWIECKI (*półgłosem*).

Gryzeldo, wróć prędko i da Bóg zwycięzko.

Skoro tak, razem wprzód pójdziem, panowie Regimentarze muszą za nami. (*Wchodzi Stara Księżna*) Ciotko, pan Wojewoda Podolski chce ci złożyć służby swoje.

STARA KSIĘŻNA.

Pan Wojewoda Podolski? Książę, pan mój widział go mile, więc go chętnie pozdrowię — choć mi żal, że tę syzmatyczkę wprowadził do łoża mojej Zofii. (*Siada na swoim miejscu.*)

WIŚNIOWIECKI.

A szczęściem pani Wojewodzina wróciła na łono kościoła.

STARA KSIĘŻNA.

Chwała Bogu, a dawno? jeszcze od śmierci Zofii go nie widziałam.

WIŚNIOWIECKI.

I chce ci Pani dwóch młodych kawalerów kredensować.

STARA KSIĘŻNA.

A czyż to jeszcze kto wie na świecie, że ja tu żyję — i któż taki?

WIŚNIOWIECKI.

Sam ci to chce powiedzieć, Pani. (*Wchodzi R. Potocki z Jędrzejem i młodym Kalinowskim, dalej Sieniawski. Półgłosem*) Gryzeldo, ci panowie wielce mnie uczcili, garnąc się do mnie — przyjm ich tak, jakby ci męża ztąd nie zabierali. (*Księżna catuje go w rękę, i on ją żywo catuje w rękę*) Gryzeldo, tyś dobra jak anioł.



POTOCKI.

Składam ci służby moje, szanowna Pani i Matko.

STARA KSIEŻNA (*mocno wzruszona*).

Dawno, dawno — jeszcze . . . .

POTOCKI.

A oto dwóch wnuków twoich — jeden mój syn . . .

STARA KSIEŻNA.

Jędrus, to ten, oczy i czoło mojej Zofii. Mój Boże — chodź tu bliżej niech cię obaczę.

(*Księżna obciera tzy.*)

POTOCKI.

Revera miłościwa pani, w naszym wieku z blizkich sercu, więcej tam, niż ich tu zostało. (*Stara Księżna npatruje się w Jędrzeja, a Sieniawski zbliża się do Gryzeldy; pan Wojewoda mówi cicho z księdzem.*)

SIENIAWSKI.

Pan Chorąży sam zbyt żalem zdjęty, by ci mógł służyć, oddał mi to pismo do oddania ci pani.

GRYZELDA.

Od Joanny. (*Czyta*) A wiecie, panie Pisarzu, co pisze moja siostra?

SIENIAWSKI.

Nie mówił mi pan Chorąży.

GRYZELDA.

Nie wiem czy i wie pan Chorąży — pisze abym swoim wpływem skłoniła księcia i pana mego, co za królewiczem Karolem jest, aby wspie-

rał elekcję królewicza Kazimierza. Jak się wam zdaje panie Pisarzu? Jeźlibym ja miała wpływ taki mieć, wolałabym go użyć na to, by mnie pan Wojewoda w wyprawach, gdzieś tam z dzieckiem do wojennego taboru przyczepił, a nie daleko za sobą zostawiał.

SIENIAWSKI.

Daj to Bogu, to risico za wielkie, miłościwa pani; a kiedyćby miał wtedy myśl wolną pan Wojewoda. I ja dziś odebrałem list podobny od pani Starościny Kałużkiej, i wasz z tego źródła być musi.

GRYZELDA.

Też o królewicza?

SIENIAWSKI.

Wielkie zakłęcia, żebym dał słowo że się podejmuje mowy od królewicza Kazimierza, i daj go Bogu obiecałem, bo byłbym takich jeszcze dziesięć listów odebrał — pani Starościna niezartuje.

GRYZELDA.

A więc prześlijcie odpowiedź przez młodego Kalinowskiego, to go uszczęśliwicie.

SIENIAWSKI.

Jak to?

GRYZELDA.

Zaleca się do kanclerzanki, to go tam z tym listem przyjmą jak gołębicę w arce.

SIENIAWSKI.

Daj go Bogu, myśl dobra, i tak zrobię — tak zrobię.

STARA KSIEŻNA (*do młodego Kalinowskiego*).

A wieszże ty co dom baby twojej? Strusowie ze żelazem i szablą żyli — a żaden swoją śmiercią a tylko od żelaza giną — to dziedzictwo twoje. Ja z rodu ostatnia, jedyna z rodu długich lat doszłam — snadź by dożyć największego nieszczęścia. Tu panie Wojewodo, w tej komnacie na prawo skonał druh twój a pan mój, książę Konstantyn; (*milczenie*) tu ostatnich sił dał mu Bóg tyle, że padł na ziemię przed ciałem jego, i tak mu ducha wielkiego oddał — tam (*pokazując na lewo*) zwłoki jego, a ja mizerna niewiasta, żona jego, miałabym ztąd odejść do świata waszego. Nie, panie Wojewodo — a czasem też Bóg i tu zsyła mi pociechy wielkie, anioła tego, (*pokazując Gryzeldę*) a wtedy zapominam, żem tu już tylko dla płaczu na ziemi.

WIŚNIOWIECKI (*do ojca Jana*).

I ojciec Marek w Krymie?

OJCIEC JAN.

Właśnie to list od niego — bieda tam wielka, a jeszcze to się z tem porównać nie da, co się na Kudaku dzieje.

WIŚNIOWIECKI (*do ojca Jana*).

Bóg widzi że skarbiec próżny, zaciąg trudny a potrzeby Rzeczypospolitej są wielkie, ale oto... (*pokazując na pierścień*) Gryzeldo, nie żal ci że wasz klejnot ozdobi kanak Tuchaj beja.

GRYZELDA (*całując go w rękę*).

Mnie żal obrączki ślubnej a nie klejnotu

dziadowego — ale więcej żal panie ojców biednych i więźniów biednych. Daj, Bóg cię natchnął jak zwykle, przez szlachetne serce twoje.

*(Ksiądz chowa pierścień.)*

STARA KSIEŻNA *(do Kalinowskiego)*.

Z Francyi jedziesz — wesola Francya, rozkoszne Włochy, piękna Hiszpania, ale najmilsza Polska.

KALINOWSKI.

Wesola Francya, a zwłaszcza dziś, kiedy mądrość kardynała Mazaryniego wkrótce zwycięży fakcye przeciwne tronowi, dokona dzieła wielkiego Ryszellięgo.

POTOCKI *(żywo)*.

To waćc słyszałaś u pana Kanclerza — śmiechu warte revera, a waćci wiesz jak to ów kardynał tron podpierał — oto ścinając toporem najsilniejsze tronu podpory. Śmiechu warte revera. Ja, kiedym młodość polerował w tej Francyi, zastałem i tego Guisa, i tego Montmorencego, i tego szlachetnego Basompiera, których jedyna wina, że im śmierdział ten wczorajszy pan.

KALINOWSKI.

Jednak zaprzeczyć niepodobna...

POTOCKI.

Milcz waćci — o, nie wesola była wtedy Francya — dziś zbłaźniał ród revera, i wesela się ze straty drogiej wolności.

SIENIAWSKI.

Jednak im pięknej kawalerskiej odwagi nie zaprzeczysz, panie Wojewodo.

POTOCKI.

Nie odwagi ale obywatelstwa, panie Pisarzu — i nasby to revera, pan Kanclerz w takich kawalerów rad poszyć, co kawalerstwem się bawią, o sprawy Rzeczypospolitej mniej dbali — ale revera nadto jest głów do zdjęcia.

WIŚNIOWIECKI.

A pan Kanclerz sam dobry szlachcic, i wzdryga się krwi szlacheckiej przelania.

POTOCKI.

Już w tym to go Chmiel zastąpi revera — a ztąd może i respekta.

WIŚNIOWIECKI (*żywo*).

Tej myśli pan Kanclerz nie ma.

SIENIAWSKI.

Kanclerz — nigdy.

WIŚNIOWIECKI.

Ale nie ci co za panem Kanclerzem — Francuzy królowej wdowy.

SIENIAWSKI.

A — za tych nie ręczę.

KALINOWSKI.

Ile sądzić mogę, mniema pan Kanclerz...

POTOCKI.

Cóż mniema pan Kanclerz?

KALINOWSKI.

Że jak zbyt osłabim Kozaków, któż granic bronić będzie.

POTOCKI (*żywo*).

My panowie, młodszy bracia w pospolitem ruszeniu.

STARA KSIĘŻNA.

Cóż to za czasów dożyliśmy, panie Wojewodo — chłopci na własnych panów.

JĘDRZEJ POTOCKI (*do Kalinowskiego*).

Zazdroszczę ci, że tak możesz mówić z panami wodzami; jabym nigdy nie śmiał, chyba jak bunczuk turecki zdobędę.

GRYZELDA (*do ojca Jana*).

Jutro wychodzą — o, nie, ojczyzna, to było przecucie od Boga.

*Kurtyma zapada.*

## AKT II.

### Scena I.

W jesieni 1648 r. na Radzie wojennój pod Konstantynowem. — Radzacy na dwie grupy mniej więcej są rozdzieleni.

WIŚNIOWIECKI — POTOCKI — KONIECPOLSKI —  
SIENIAWSKI — ZASŁAWSKI — ŁASZCZ i inni.

#### ŁASZCZ.

Kończę ten głos mój, bo sędzę że każdy z WM. Panów to widzi, że bezpiecznie na przeczności rad JP. Księcia Koniuszego polegać może — chyba że mu *invidia* wyraźną zasłoni prawdę, bo zasługi JMP. Księcia Koniuszego...

#### POTOCKI.

A kończże WM. Pan ten panegiryk, wszakże i każdy z nas ma jakie takie zasługi w tej rzeeczypospolitej, kiedy tu zasiada.

#### KONIECPOLSKI.

Więc jakże, tu stać będziemy i patrzeć.

GŁOSY ze strony Zasławskiego.

Niech żyje nasz Książę! On nie chce szukać sławy z wiktoryi nad hołotą, co się rozbieży

przed jedną hussarską chorągwią. — Ot pan Strażnik jak ich przegnał gracko. — Darmo broni używać.

POTOCKI (*do swoich*).

O cóż im idzie?

SIENIAWSKI.

Abyśmy zawołali z niemi: niech żyje Książę Koniuszy, dzielny, mądry jedyny nasz przewodca — a jeszcze więcej, niech przepada zdanie i sława Wojewody Ruskiego, który im solą w oku.

WIŚNIEWIECKI.

Tyś powiedział, panie Pisarzu.

KONIECPOLSKI.

A o czerni, Kozactwie, Tatarach.

SIENIAWSKI.

To rzeczy mniejsze, w których się spuścimy na mądrość pana Koniuszego.

POTOCKI.

A tego właśnie nie będzie, WM. Panowie.

WIŚNIEWIECKI.

Będzie, panie Wojewodo — racz tylko spojrzeć kto z nimi, kto z nami. Tam panowie i szlachta z dóbr ukraińskich rugowani, których Chmiel łudzi, że do nich wrócą bez wojny.

GŁOS (*z boku*).

Ej, ozwij się panie Wojewodo, bo zginiemy.

POTOCKI.

Revera, ozwij się WM. Pan.



WIŚNIOWIECKI.

Lecz na cóż odpowiadać będę, WM. Panowie moi — same brednie.

KONIECPOLSKI.

Mów — mów.

GŁOSY (*odedrzwi*).

Pan Wojewoda Braclawski i posłowie nasi, wraca od Kozactwa.

GŁOSY (*ze strony Zastawskiego*).

A w porę — to nasz — zda nam się słodka wymowa pana Wojewody.

ZASŁAWSKI.

Prosić pana Wojewodę i panów posłów na radę. (*Za sceną wielki tumult.*)

POTOCKI (*do swoich*).

Otóż to reuera karność wojskowa.

WIŚNIOWIECKI.

Boję się niepomału, żeby się ta zaraza nie-wkradła i do naszych ludzi.

GŁOSY (*za sceną*).

Więc po to przyjechał, żeby nam szpiegów do obozu wprowadzał — obwiesić ich bez ceremonii. Otóżto z Chmielem przyjaźni — jaka wiara, taka sprawa.

GŁOS RZEMYKA WOLSKIEGO.

I sam pan Wojewoda, taki daleki od zdrajcy, jak daleki od szymatyka.

(KISIEL wchodzi, ruszają się do niego panowie radni.)

GŁOSY (z Rady).

Co to, co to, panie Wojewodo.

KISIEL.

Oto to, WM. Panowie, że właśnie wracam z poselstwa, którem mnie z kolegami Rzeczypospolita zaszczyciła. Cośmy tam ucierpieli, jakie prześladowanie, jaką fortuny ruinę, jakie niebezpieczeństwa życia od chłopstwa wyuzdanego na wszelką swawolę, a w szczęściu hardego, jakie nad śmierć cięższe urągania, to tylko nam i Bogu wiadome.

*(Wcisnęło się coś hołoty i RZEMYK.)*

RZEMYK.

Pięknie mówisz panie Wojewodo, ale co to że szpiegów Krzywonosowych z sobą do obozu wozisz.

GŁOSY (w kole radzającym).

Coś i nam się widzi, że pan Wojewoda tak daleko od zdrajcy, jak od syzmatyka.

KISIEL.

Dziś wracam do społeczności WM. Panów po nowe trudy wojenne — i oto jest nagroda za dawne, a do nowych zachęta.

ZASŁAWSKI.

Ale cóżto za Kozacy w taborze twoim panie Wojewodo?

KISIEL.

Zakładnicy rozejmu com go z Krzywonosem zawarł, a bez którego niewiem czybyście tu byli WM. Panowie, przy tak leniwem zbieraniu się

waszem — zakładnicy, których i poganie szanują, a nieszanuje nasza wyuzdana swawola?

ZASŁAWSKI.

Panie Wojewodo, będziesz miał surową sprawiedliwość z tych co ci ubliżyli. (*Do Koryckiego.*)  
Panie Korycki.

KORYCKI (*zabiera Wolskiego — na stronie.*)

Po sto djabłów ta ceremonia, kiedy wiem że się jutro wyłże i wyprosi. (*Odprowadza go.*)

ZASŁAWSKI.

A teraz upraszam was, panie Wojewodo, abys krzywdy zapomniawszy zabrał głos w tej tu radzie naszej.

KISIEL.

Jestem szlachcic polski, WM. Panowie, przytem senator; zawsze ojczyźnie i królom panom wierny — idę z rodu książąt Swiatołdyczów, co swą radą i życzliwością całą Ruś do jedności tej korony naszój przyłączyli — i ja mam tam na Ukrainie dobra znaczne, z których teraz wypędzony jestem.

GŁOSY.

Tak — tak.

KISIEL.

Z rebeliją kozacką żadnej społeczności nie-trzymam, bo tam niema szlachcica. Wiara moją starą blahoczestwą szczycę się. — Wszak to wiara niejednego z WM. Panów — wiara sławnych ojców i dziadów waszych, panie Koniuszy i ty panie Wojewodo Ruski, którzy przeto wiernie

służyli Rzeczypospolitej — wiara która gdyby dziś waszą wiarą była, nie byłoby zapewne tej kozackiej rebelji. (*Poruszenie w Radzie.*) Ale dzisiaj nie o tem. Sądziłem że do WM. Panów z różczką oliwną przybędę, a wojnę wam przynoszę — wszakże z rebelią wojować trzeba, ale bitwy staczać nieradzę — bo uchowaj Boże na nas klęski Żółtowodzkiej albo Korsuńskiej — Rzeczpospolitę do ostatniego przywiedziem upadku. To co mi zda się, wyrażam. Komendę mającym należy upatrywać, żeby z dobrym honorem i całością ojczyzny było.

*(Coraz więcej osób przybywa do grupy Zastawskiego.)*

GŁOSY (z tamtąd).

Tak tak — dać im czas do rekolekcyi, niechaj się prześpią, a obaczą dokąd zabrnęli. Z desperowawszy o winy odpuszczeniu w uporze się ugruntuja.

ŁASZCZ.

A wszakżeśmy to samo mówili.

SIENIAWSKI.

Bóg widzi, że gdybym mógł uwierzyć że się pomiarkują.

POTOCKI.

Ich zawziętość niczem oprócz miecza nie uśmierzysz.

KONIECPOLSKI.

A nie wstydże wam, WM. Panowie, abyśmy tu w trzydzieści tysięcy wybornego rycerstwa stojąc i tyle uszedłszy, znowu cofać się mieli. Ej, ozwij się, panie Wojewodo.

### WIŚNIOWIECKI.

Zgodziłbym się i ja na radę pana Wojewody Braclawskiego, gdybym myślał że się hultaj klęskami naszymi i krwią szlachecką nasyci i na swoich zwycięztwach poprzestanie; — ale tego nie myślę, i ty panie Wojewodo nie myślisz także.

### KISIEL.

Mówiłem że wojnę przynoszę, tylko bitwy staczać nie radzę.

### WIŚNIOWIECKI.

A hultaj w oczy lezie staczać bitwę — zmykać się przed nim, on ducha nabierze, drogi nam zastępować będzie, żywności nam zabroni, czeladce z obozu wychylić nie da, głodem wymorzy, a my złożywszy ręce, pokoju u niego prosić będziemy, a i życia niedoprosim się, i ruskie kraje we krwi pływać będą i w popiele się zagrzebią.

### POTOCKI.

I uchowaj Boże żebyśmy dla konserwacyi Ukrainy, środek państwa naszego zgubić dali.

### WIŚNIOWIECKI.

W dalsze racye nie wchodzę, bom do wojny a nie do perory zrodzony, a zwłaszcza gdy nieprzyjaciel nad karkiem wisi. Nic mądrością ale odwagą i szybkością zwyciężyć możemy; a na to daję racye żołnierskie, bo wkrótce orda Dniepr przepłynąwszy złączy się z Kozactwem; bo wkrótce ćwierci wojska wychodzą, a pieniędzy nie macie, żołnierz służbę wypowie, a jak go gwałtem

zatrzymacie, to ztąd tumulty, związki i uciezki żołnierskie.

GŁOSY.

Dalipan dobrze mówi — ot żołnierz prawdziwy! (*Grupa się powiększa.*)

WIŚNIOWIECKI.

Nadchodzi elekcya, jaki taki na nią spieszyć się zechce, nie tu niedokazawszy — trzeba będzie Rzeczypospolitej odpowiedzieć za straty tak wielkiego kosztu nadaremnie.

GŁOSY.

Tak tak. Już jesień, kraj zniszczony, zkąd żywność będzie — młyny porujnowane i popalone, dostawszy ziarna, jak z niego chleb upiec.

ZASŁAWSKI.

Więc cóż począć?

WIŚNIOWIECKI.

W prędkości zwycięstwo i całość Rzeczypospolitej. Na przód WM. Panowie, a przydawszy do tego szczerą rezolucyą, posłuszeństwo komendzie i odwagę staropolską, możemy mieć w Bogu nadzieję. Tak bywało pod Starżcem, Kumejkami i na innych łegowiskach hultaja, że raz odważwszy się i ochoczo postępując, wycięci rebelizanci — a pokój WM. Panowie dopiero po bitwie i zwycięstwie. Lecz komendę mającym myśleć lepiej o tem trzeba jak ratować rzeczpospolitę.

ZASŁAWSKI.

Więc naprzód WM. Panowie — Bóg widzi

jak mi droga całość ojczyzny, i jak duszą te dymy Krzywonosowe.

POTOCKI i KONIECPOLSKI (*podając mu rękę*).

Naprzód, naprzód panie Regimentarzu.

WIŚNIOWIECKI.

Jest cnota staropolska, byle karność wojskowa panie Regimentarzu. (*Podaje mu rękę — wszyscy zbliżają się do siebie.*)

KISIEL.

Daj Boże, daj Boże — lecz nie daj Boże Korsuńskiej albo Żółtowodzkiej — wszakżeż to u WM. Panów rządów wojennych nie widzę, wy nic nie wiecie o hultaju, a on wie każde słowo co się tu w obozie wymówi.

KONIECPOLSKI.

Dwadzieścia tysięcy samego kopijnika, toć choćby się niebo zapadło, to go na kopiach uniesiem.

GŁOS (*cicho do Zastawskiego*).

Nie tego się pan Kanclerz i ksiądz Prymas po nas spodziewali.

ZASŁAWSKI.

Całość ojczyzny panie.

TENŻE GŁOS.

A cóż dziwnego, że Chmielnicki napadnięty bronić się będzie. Ciężką bierzem na siebie odpowiedzialność.

GŁOSY ZEWNĄTRZ.

Niech żyje Wiśniowiecki!

ZASŁAWSKI *(na stronie)*.

Znowu on!... Zawsze on!

Scena II.

Pod Pilawcami w jesieni 1648 r.

WIŚNIEWIECKI — SEMEN — ŻOŁNIERZE — póź-  
niej KONIECPOLSKI — TOWARZYSZ — WOJTUS —  
RZEMYK — KORYCKI — TASZYCKI.

WIŚNIEWIECKI.

Jeszcze raz bież do Książęcia — niech też  
ma litość nad nami i nad sobą, i pozwoli mi pójść  
z piechotą moją, a nie tu zostawia z założonemi  
rękami. Powiedz Książęciu, że ta oto hussarya  
nie nie zrobi — bo gdzież się ona tam u licha  
na błocie rozwinie. Proś, błagaj Książęcia —  
stary żołnierz jesteś, i widzisz co się to dzieje.

TOWARZYSZ.

Słyszę, panie Wojewodo.

WIŚNIEWIECKI.

Poczekaj — a gdybyś widział że żadnym  
sposobem nie chcą posilkować Koryckiego, to  
niechże zemkną tę hussaryę, a dadzą Koryckie-  
mu ordynans, to on się na Witowskiego zrejte-  
ruje, i przejdzie. — Tożto oba starzy żołnierze,  
a nie nieuki jakie... Czegoż czekasz, jedź a konia



nie żałuj. (*Stoi z wyteżoną uwagą w stronę gdzie się biją.*)

SEMEN (*do Żołnierza*).

Zawczoraj i groblę wzięli, i działa wzięli, i blokhaus i Bohdanka nagnali że aż miło — a dziś...

ŻOŁNIERZ.

A słyszałeś waść to co mówił Wołoszyn, że gdyby byli dalej poparli, to Chmiel już się i miał wynosić.

SEMEN.

A dziś i groblę stracą — hej hej.

ŻOŁNIERZ.

No dzisiaj, kiedy mu przyszła orda, to rzecz inna.

SEMEN.

Ot nie wierz waści Tatarom.

ŻOŁNIERZ.

A od czegoż te wczorajsze całodzienne straty Chmielowe?

SEMEN.

Którycheśmy słuchali z założonemi rękami.

ŻOŁNIERZ.

I czyż nam wzięci Kałauzowie nie powiadali, że to on ordę witał.

SEMEN.

Kałauzom niewierzyć — ot Bohdankowe sztuki: strachy na Lachy.

(*Słychać odległe krzyki: Ha!ła, ha!ła!*)

WIŚNIOWIECKI.

Semen. (*Semen się do niego zbliża*) Masz wzrok

bystry. Co to za ufiec pomyka się na Koryckiego, po nad błotem? Zda się orda w kozuchach wywróconych.

SEMEN (*wpatruje się*).

Tak orda ... Ale nie — to biała kobyła Krzywonosika co przodem sadzi — a pamiętam ją pod Rosołowcami. A to Gandzyk rysią na cisawym — stary to koń, a jak się jeszcze bundziuczy. Nie, to nie orda, panie Wojewodo.

WIŚNIEWIECKI.

Więc ty stary nie wierzysz aby orda z nim była?

SEMEN.

Nie od dzisiaj ja znam Bohdanka panie Wojewodo. Jakby miał ordę, nie gryzłby się tu w Czaharach o grobelkę rozgrzezioną, a szedłby do nas stepem od stariej Sieniawy.

(*Nadchodzi KONIECPOLSKI, Semen się usuwa.*)

KONIECPOLSKI.

Cóż tu robisz panie Wojewodo?

WIŚNIEWIECKI.

Za ordynansem panów wodzów — tu z założonemi rękami stoję, a tam patrzę.

KONIECPOLSKI.

Źle panie Wojewodo — złe tam znowu rady. Panowie Regimentarze znowu się wahają, i żal się Boże starań naszych.

WIŚNIEWIECKI.

Wczorajesmy stanowczy dzień stracili, dziś się bijem ladajako. Daj Boże, panie Chorąży, aby-

śmy to tych rad mnogości srodze nieprzyplacili.  
(*Słychać silniejsze strzelanie i silniejszy krzyk hałła i zamięszanie.*) Patrz waszmość jak Krzywonosik dociera.

KONIECPOLSKI.

Śmielszy hultaj niż sądziłem. Wielki Boże!  
Patrz waszmość hussarya się zwinęła i zmyka się  
na groblę — i tamta piechota odcięta.

WIŚNIOWIECKI.

Kłęski — kłęski! hańba.

KONIECPOLSKI.

Wielki Boże! wielki Boże! cóż to za tumult  
na grobli — a tamci toną — toną.

WIŚNIOWIECKI.

A ja tu stać mam z założonemi rękami.  
(*Wraca Towarzysz*) Cóż?

TOWARZYSZ.

Nie — chorągwiom stać każą, a was panie  
Wojewodo na radę do obozu proszą.

WIŚNIOWIECKI.

Nie pójdę — radę wojenną dałem — niech  
mi jeszcze pozwolą, z piechotą pójdę i dzień po-  
prawię — nie pójdę na radę. Jedź, prosz — dać  
mu konia świeżego.

KONIECPOLSKI.

Jedź sam panie Wojewodo — wiesz o co  
rada wojenna? Chcą tabor zmykać, a za nim  
komunikem do Konstantynowa.

WIŚNIOWIECKI.

A brońże ich Boże od tego — Panno Naj-

świętsza, patronko tej korony, zasłońże nas do hańby takiej. Po klęsce dzisiejszej, nie — nie mogą chcieć tego panie Chorąży. Nie z takim wojskiem, Nie w takim nieładzie cofać się przed nieprzyjacielem, co nas pobił. Wszak nas dziś pobił, panie Chorąży.

KONIECPOLSKI.

Więc jedźmy na radę — może cię jeszcze raz usłuchają, panie Wojewodo.

WIŚNIEWIECKI.

Nie, nie mogą chcieć tego panie Chorąży — bo to śmierć nasza i wieczna hańba Rzeczypospolitej. Koni! (*odchodzi.*)

TOWARZYSZ (*do Semena*).

Źle mospaneńku, źle — mogłem z ich cery miarkować, to coś się tak jak pod Korsuniem gotuje — mówią o rejteradzie, a żołnierz się tylko obziera, jakby tam co w tyle zostawił. Oj źle, źle mospaneńku, i czyżem ja na to stare kości wyniósł z pod Korsunia abym je tu pod Pilawcami położył!

SEMEN.

Hej hej — gorzko tobie będzie nieboże przed hultajem uciekać, gorzko — hej! żalże ci będzie twojej wielkiej sławy, żal.

TOWARZYSZ.

I nasi źle stoją mospaneńku, tchórz ich owionął.

SEMEN.

Ucierpi wielka dumka twoja. Ale patrz waść

co to za nowy tumult koło Witowskiego — hej hej, już to moje oko nie to co bywało.

TOWARZYSZ.

Nowy ufiec mospaneńku, ale otóż i zchodzą z pagórka i widać ich jak na dłoni. A co to za jeden być może w kołpaku i z czaplem piórem, a przed nim buławę niosą — pfu mospaneńku, chyba na wzgardę zacności buławy — zdrajce koronni.

SEMEN (*wpatruje się*).

Hej hej — otóż i sam Bohdanko stary druh, dziś stary wróg — nie daj nam Boże popaść się mu w jastrzębie szpony.

TOWARZYSZ.

Dobrze panie Korycki — przegnał ich, przegnał — ho, ho, patrzcie no jak się kręcą po polu. Patrzno się waszeć, dalibóg mospaneńku przebija się do Witowskiego.

SEMEN.

Tak tak, przebija się na prawdę — ot żołnierz. (*Wrzawa z tyłu.*) Ale co to za hałas z obozu?

TOWARZYSZ.

To pewno sukurs mospaneńku — ot jeszcze pójdziem i tamtych potrzymamy.

GŁOSY (*za sceną*).

Zdrada mości panowie — nie macie tu na co czekać — panowie Hetmani już dawno na przodzie — wszystko się cofa na Konstantynów. Bogdajby ztamtąd i ruszać się nie było — ależ pan Wojewoda surowy pan.

GŁOS RZEMYKA.

A tożto i wasz pan Wojewoda wszystkiego nieszczęścia narobił, wprowadzając nas w te wer-tepy, a teraz uciekł przed wszystkiemi.

(*Nadchodzi kupa.*)

SEMEN.

Kłamiesz.

RZEMYK.

Patrzcie go — a kiedy go na swoje oczy wi-działem, stary błażnie.

SEMEN.

Kłamiesz ty tchórze — i zmykaj mi co żywo, bo cię tu jak psa zastrzelić każe.

RZEMYK.

Gdyby mi czasu nie szkoda, tobym ci tu łeb rozplatał zaraz. (*Do swoich*) Za mną panowie do obozu — ma hultaj zabrać, niech się to lepiej nam dostanie. (*Kupa odchodzi.*)

SEMEN (*do jednego żołnierza*).

Jedź do Baranowskiego.

ŻOŁNIERZ.

A czy to waść nie widzisz jak nasza drago-nja już chesze do obozu. Zabrali Baranowskiego z sobą.

SEMEN.

Jakto?

ŻOŁNIERZ.

Widzę nic nie wiecie — panowie wodzowie ordynowali rejteradę komunikiem, i sami naprzód, a chorągwie wszystkie zwinęły się — nieszczę-

ście — i zmykają jak kto może, i co kto może z obozu wynosi.

SEMEN.

A hussarya nasza, a piechota?

ŻOŁNIERZ.

Widzisz że ich na polu nie masz — tam gdzie i drudzy — ot nieszczęście i zmykajcie póki się hultaj nie ocknie, bo już wszystko stracone.

SEMEN.

A pan Wojewoda?

ŻOŁNIERZ.

Ej już dawno na przodzie — i wam też radzę nie czekać. (*Odchodzi.*)

SEMEN.

Pan Wojewoda tu na siebie czekać kazał.

TOWARZYSZ.

Ale słyszysz przecież.

SEMEN.

Pan Wojewoda tu na siebie czekać kazał — wszakże jam ręczył za ciebie panu Wojewodzie.

TOWARZYSZ.

Ha dobrze mówicie mospaneńku; już mi niewiele lat tu na tym świecie królować, a wstyd aby na starość splamić klejnot szlachecki.

SEMEN.

Hej hej, sokoliku mój biały, nie byłeś jeszcze na takich godach.

(*Słychać silniejsze strzały.*)

TOWARZYSZ.

Otóż i Korycki z Witowskim już się przez

groblę cofnęli — żołnierze, nie ma co mówić mo-  
spaneńku.

WOJTUŚ (*wpada*).

Ej na miłość Bożą panowie, nie widzieliście  
pana Chorążego, bo mi mówiono że go tu zastanę  
z panem Wojewodą. Nieszczęście — chorągwie  
się rozwiązały i obóz plądrują.

TOWARZYSZ.

Pan Chorąży pojechał z panem Wojewodą  
na radę.

WOJTUŚ.

Gdyby się tu pokazał, to niech na miłość  
Bożą nie jedzie do chorągwi, bo tam już nikogo  
nie ma. (*Odchodzi.*)

WIŚNIOWIECKI *nadchodzi (do Semena)*.

Leć do Baranowskiego niech rysią biegnie  
do grobli, tam spieszy dragonja — rzuci w te  
krzaki na prawo, i niech ich z boku strychuje na  
grobli. Stary Sano z ciężką chorągwią niechaj  
na wzgórkę stanie, i niech ich tam trzymają, póki  
my nie zdążym z piechotą. Powiedz im wręcz,  
że się tamte psy rozwiązały — i wojsko zginie,  
jeżeli do wieczora przynajmniej hultaja na szablach  
nie zatrzymamy. I czegoż stoisz?

SEMEN.

I twoja piechota panie, i hussarze twoi, i dra-  
gonja twoja tam poszli, gdzie i reszta wojska.  
Oto dziś wojsko twoje.

(*Pokazuje mu nadwornych.*)



WIŚNIOWIECKI.

Co ... i ... moi ...

SEMEN.

Patrz panie — czysto na polu.

WIŚNIOWIECKI.

I moja stara dragonja — więc i jam zhańbion w stu pokoleniach. Ty kłamiesz stary!... (*Ciszej.*) Nie — pan Hetman Polny nie zhańbił się pod Cecorą — *Imperatorem stando mori.* (*Do Semena.*) Chodź tu — 50 koni? (*Semen kiva głową.*) I ci nie pójdą tam gdzie drudzy.

SEMEN.

My pójdziem tam gdzie każesz Panie.

WIŚNIOWIECKI.

To dobrze — a ty stary jedź do pana Chorażego, i z nim idź — ja wkrótce nadciągnę. A jeżeliby przypadkiem przyszła na mnie zła godzina, to powiedz żonie mojej, że na nią czekam tam ... a syna błogosławię.

SEMEN.

Nie — ja wiem co ty chcesz robić panie i z tobą zostanę.

(*Nadchodzą niedobitki z pola. — Żołnierz niesie rannego Taszyckiego.*)

TOWARZYSZ.

Ej to małeńki Taszycki oberwał.

TASZYCKI.

Tak jest Wiśniowiecczyku — od razu chrzest i bierzmowanie. (*Pokazuje nogę i twarz — głasz-*

cząc Żołnierza co go niesie.) Dobry koń, nie każdyby wyciągnął w takim błocie.

TOWARZYSZ.

Widzisz waść nie takto ciężko unieść świstaka.

(Mijają — wchodzi KORYCKI.)

KORYCKI.

No panie Wojewodo za nami nikogo.

WIŚNIOWIECKI.

To chciałbyś mnie widzieć uciekającego — mijaj panie Pułkowniku.

KORYCKI.

Widziałem ja was w różnych panie Wojewodo, i mógłbym i tak widzieć bez sromoty, bo się to wszystkim zdarza — świadkiem Rzym pod Kannami.

WIŚNIOWIECKI.

Wymownys dzisiaj, Rzymiany cytujesz, tak jak wasz pan Regimentarz — a więc ci po rzymsku odpowiem, słowy lepszego Regimentarza: *Imperatorem stando mori* — mijaj panie Pułkowniku.

KORYCKI.

Jak WM. Pan chcesz, panie Wojewodo — chociaż wam nie wolno ze stratą rzeczypospolitej kłaść młodej siły waszej, tak jak położył pan Żółkiewski stare kości, już do jej usług niezdatne. Wkrótce też i rzeczpospolita wszystkich sług swoich potrzebować będzie.

SEMEN.

Hej, odbijem się jeszcze na nich Panie.

KORYCKI.

A dzisiaj hultaj z tej desperacyi waszej, pozna stan nasz, którego się dotąd nie domyśla.

WIŚNIOWIECKI.

Więc będziecie mnie widzieć uciekającego, a wszakżem ja to nie Regimentarzem — idźmy.

*(Nadbiega od strony obozu kilku towarzystwa.)*

GŁOSY.

Niosą ci buławę panie Wojewodo od rycerstwa — ty ją weź, bo tyś jej jeden godzien — i dowódź nami.

WIŚNIOWIECKI.

Nie w czas WM. Panowie — niech jej zdrowi donoszą co się jej podjęli. A pięknieby mi przystało uciekającemu. *(Odchodzą.)*

*Kurtyna zapada.*

## AKT III.

### Scena I.

W Perejasławiu.

PODKOMORZY — HREHORY — KISIEL — później  
CHMIELNICKI.

PODKOMORZY.

Źle, źle się dzieje panie Hrehory z poselstwem naszym — i trzebaż jeszcze było, by się ten łajdak Jermołowicz do Bohdanka przekinął.

HREHORY.

Jermołowicz świadomy wszystkich sekretów naszych i stosunków z Czarnotą.

PODKOMORZY.

Tak tak panie Hrehory — śmierć za progiem.

HREHORY.

Milszaby była na polu bitwy.

PODKOMORZY.

Wszędzie miła jak za ojczyznę, panie Hrehory.

*(Wchodzi KISIEL zamysłony i idzie prosto do zegara, co leży na stole.)*

KISIEL.

Druga i jeszcze nic. Jakież tam wieści dziś rano?

PODKOMORZY.

Czarniejsze niż kiedy panie Wojewodo — to mówią że nas na Kudak odesła, to znowu że ciężar daremny żywić na tak drogi czas.

KISIEL (*patrzy na zegar*).

Rzecz dziwna, że nic dotąd — zdaje się, że się katastrofa zbliża — przyspieszy ją delacya Jermołowicza. (*Słychać tumult i krzyki — Komisarze mimowolnie zbliżają się do siebie i obracają ku stronie z kąd głosy*). Hrehory — jak tu głowę położyłem, to nas już podejrzywać niebędą o knowanie z nieprzyjacielem ojczyzny.

PACHOLE (*wchodząc*).

Poczet jezdny zbliża się tu do nas — lud krzyczy i zda się że soboli kołpak hetmański dojrzałem. (*Odchodzi*).

(*Wchodzi* CHMIELNICKI.)

CHMIELNICKI.

Czołem, panie Wojewodo — przepraszam że późno przychodzę, bom długo spał.

HREHORY (*cicho do Podkomorzego*).

Późno w noc widać z czarownicami zapijał.

PODKOMORZY (*do Hrehorego*).

Zawtra bude sprawa i rozprawa, bom teper pijan — raczył nam wyrzec wczoraj JW. Hetman wojsk Zaporozkich JKMości, ale i dzisiaj widzę nie trzeźwy zupełnie.

KISIEL.

Witam was panie Hetmanie, i mam nadzieję, że sen dobry dał wam myśl dobrą.

CHMIELNICKI.

Ale jadąc tu, spotkałem Puzowskiego — powiedzcie mu aby mi nie laźł w oczy jeżeli dba o głowę — i dziękuję wam za służbę panie Wojewodo — to sprytny wcale chłopak ten Jermolowicz.

KISIEL.

Życzę wam służ lepszych panie Hetmanie.

CHMIELNICKI.

A cóż gotowicie do podróży? Szczęśliwej drogi życzę — i jedźcie pókiście cali.

KISIEL.

Czekamy tylko na odprawę.

CHMIELNICKI.

Odprawa gotowa — z komisji nic nie będzie, a wojna wojną być musi. W tych trzech albo czterech niedzielach, wywrócę was wsiech Lachów w górę nogami — i podepcę tak, że będziecie pod nogami — na ostatek was Carowi tureckiemu w niewolę podam.

KISIEL.

Losy nasze w Bożej ręce panie Hetmanie — wszakże nie na to zda mi się przywiozłem wam chorągiew i buławę od Króla.

CHMIELNICKI.

Korol korolem nechaj bude, coby karał i ścinał szlachtę, duki, kniazie — abym był wolny

sobie. Zgrzeszy kniaź urezać mu szyję — zgrzeszy kozak, toż samo uczynić — a nechocze korol korolom wolnym buty jak sia mu wydyt.

KISIEL.

Więc z czemże wrócę do króla?

CHMIELNICKI.

Szkoda howoryty — mnoho było czasu traktowaty ze mną, kiedy mnie Potoccy szukali, gonili za Dnieprem, na Dnieprze — był czas po Żółtowodzkiej i Korsuńskiej igraszce — był czas na Pilawach i pod Konstantynowem — był na ostatek i pod Zamościem, i kiedym od Zamościa szedł niedziel sześć do Kijowa — teper już czasu ne masz. Dokazałem już o czemem nigdy nie-mysłał i dokażę dalej com umyslił.

KISIEL.

Losy nasze w Bożej ręce, panie Hetmanie.

CHMIELNICKI.

To też mię Patryarcha w Kijowie na tę wojnę błogosławił, z żonką moją Czaplicką dał mi ślub, z przestępków moich rozgrzeszył i przeczyszczał, lubom się niespowiadał — i kończyć Lachów rozkazał. Jakże meni jeho nesłuchaty, tak welykoho starszoho, hołowy naszej i hostia luboho.

KISIEL.

Ej nie bluźnijcież przynajmniej starej wierze naszej, z tym łotrem w Carogrodzie wyklętym przestając — i nie ściągajcie niebłogosławieństwa Bożego na Ruś naszą świętą i naród nasz ruski.

### CHMIELNICKI.

Ja owszem wszystkim naród ruski wybiję z lackiej niewoli — a com pierwój o szkodę i krzywdy moje wojował, teraz wojować będę o wiarę prawosławną naszą, od której odszczepiłeś się ty Kisielu, kość kości naszych.

### KISIEL.

Czas to pokaże panie Hetmanie, który z nas dwojga lepiej jej służy.

### CHMIELNICKI.

Pomoże mi do tego czerń wszystka, po Lublin, po Kraków, która jej nie odstępuje i ja jej nie odstąpię — bo to prawa ręka nasza — żebyście chłopstwa nie zniósłszy w Kozaki nie uderzyli — będę miał dwakroć, trzykroć stotysięcy swoich — orda wszystka, przytem Nohajscy na Sawrani. Blisko mnie Tuchy, mój brat, moja dusza — jedyny sokół na świecie, gotów uczynić zaraz co ja chcę — wieczna nasza kozacka przyjaźń, której świat nie rozerwie.

### KISIEL.

Ten druh to zyska pewnie na naszych domowych rozterkach. Dla Tatar zdobycz, dla Tatar zyski — dla Moskwy, Tatar i Turka i dalsze korzyści. Już ja WM. Pana nie proszę abys na Boga, na króla pamiętał, ale cię zaklinam, patrz końca spraw takich — zauważ, że jako Polska i Litwa nie wytrzyma pogaństwa bez Zaporozża, tak też i Zaporozże nie obroni się pogaństwu bez polskiego żołnierza. Zmiłujże się jeżeli nie nad



ojczyznę całą, to nad Rusią i Zaporozem, i nie podawaj ich dowolnie w ręce pogańskie. Macie krzywdy, król krzywdy nagrodzi, sprostuje — wszakżeż do tego i broń w ręku macie — tą bronią nie lepiejże pogan wojować, niż...

### CHMIELNICKI.

Szkoda howoryty, to stara wasza gadka — za granicę na wojnę nie pójdę, szabli na Turki i Tatory nie podniosę, dosyć mam na Ukrainie, Podolu i Wołyniu teraz — dość wczasu i dostatku w ziemi i księztwie swoim, po Lwów, Chełm i Halicz, a stanąwszy nad Wisłą powiem dalszym Lachom: sedyte, małczyte Lachy — duków i kniaziów tam zażenę. A będą-li i za Wisłą brykać, znajdę ich i tam pewno — nie zostanie mi w Ukrainie noga żadnego kniazia i szlachetki — a zachocze-li chleb z nami isty, niechajże wojsku zaporożkiemu posłusznym będzie a na króla nie bryka.

HREHORY (*który się już od niejakiego czasu niecierpliwił*).

A może się obrona znajdzie w Rzeczypospolitej.

(KISIEL *daje mu znak aby milczał*.)

### CHMIELNICKI.

Wże się ich nieboimo. Już minęły te czasy kiedy nas siodłali Lachy, naszymi ludźmi chrześciany, dragami naszymi nam silni — teper się ich nieboimo, doznaliśmy pod Pilawcami. Nie owi to Lachowie co przedtem bywali i bijali Turki, Moskwę, Niemcy i Tatory — nie Żółkiewscy, nie

Chodkiewiczowie, Koniecpolscy, Chmieleczy — ale Tchórzewscy, Zajączkowsy, dziecinny w żelazo poubierane. Pomarli od strachu skoro nas ujrzeni i pouciekali, choć Tatar nie było w srodę jak trzy tysiące — kiedyby byli do piątku poczekali i jeden byłby żywo do Lwowa nie uszedł.

KISIEL.

Więc dobrze panie Hetmanie, dokażesz wszystkiego coś unyślił, zagonisz za Wisłę Lachy, króla zniesiesz, ale powiedz proszę, kto cię potem od Tatar obroni, co cię złupić zechcą — od Turka, co dani zechce i zmiany wiary — od Moskwy, która poddaństwa ciężkiego zechce?

CHMIELNICKI.

Jam jest panie Wojewodo lichy, mały człowieczek, ale mi to Boh dał, żem jest jedynowładczą i samodzierżą ruskim. Czerni moja, i stanie jej sto, dwakroć i trzykroć stotysięcy, kilka schocz.

KISIEL.

A Czernią kto rządzić będzie? czy WMość; czy Wyhowski, czy Czarnota, czy Neczaj, czy inny jaki więcej obyczajem i rozumem do czerni zbliżony. Słuchaj mnie panie Hetmanie — już wam nie mówię o Bogu, o królu, o ojczyźnie, już wam niemówię o wierze naszej i Rusi, ale wam o was mówię. Czy myślicie że wam lepiej będzie być hetmanem królewskim i rządzić wielkim krajem po bożemu i w prawie — czy lepiej być jedynowładczą niby, a kłaniać się obcym panom, to carowi w Stambule, to Moskwie, to Tatarom,

to Czerni od pracy odrywanej a wzywanej do wojny i rządu. (*Moment milczenia*) Nie zrywajcie z królem panie Hetmanie, nie zrywajcie z przeszłością waszą, wszakże coś winniście królowi sławnej pamięci Władysławowi — i te łaski com wam przywiózł od króla Kazimierza, też coś warte.

CHMIELNICKI (*półgłosem*).

Korol jak korol, ale wy korolowiata i kniaziata broicie mnoho.

KISIEL.

Przyjąłeś dary od króla, mienisz się wiernym królewskim poddanym, swe i wojska zaporozskiego skargi królowi poddałeś, a czynisz jak wróg królewski. Cóż wam powiem o Kijowie, gdzie we dnie i w nocy krew niewinna się leje, do Dniepru płynie — Lachów a królewskich poddanych, szlachtę, księży, dzieci i kobiety topią, tyrańsko siekają, pod ziemią szukają — a wszakże Neczaj powiada, że takie ma od ciebie rozkazanie.

CHMIELNICKI.

Nie kazałem niewinnych zabijać, ale który do nas przystać nie chce, albo na wiarę naszą chrystytyisia. — Wolno mi tam rządzić, mój Kijów, jam jest panem i wojewodą kijowskim, dał mi to Bóg, i co więcej przez szablę moję — szkoda howoryty.

KISIEL.

My komisarze królewscy przynosim ci punkta, coby wysoko postawiły i kozackie swobody, i godność starej prawosławnej wiary naszej — punktami naszemi gardzisz dla prywaty twojej —

wypuszczasz porę, która ci się już może nie nadarzy raz drugi, a nas komisarzy królewskich jakby w więzieniu trzymasz, odprawy nie dajesz, a tem króla lekce ważysz sobie. A czyżeś to już innego pana znalazł, czy tureckiego cara nad ruskie chrześciany? i czy myślisz że na to obojętnie patrzy starszyzna wasza.

CHMIELNICKI (*na stronie*).

Ne smiłby howoryty jakby czoho z pułkowniki nebuło, czoho i Jermołowicz neznaje. (*Głośno.*) Panie Wojewodo, jam wasz dawny druh, a królewski wierny poddany, dałem tego dowody kiedym się z pod Zamościa wrócił. Jedźcie sobie z Bogiem, póki mnie czerń do czego złego nie przymusi.

KISIEL.

A z czymże pojedziem.

CHMIELNICKI.

Dam wam punkta swoje co wiecie — wola Króla przyjąć, nie przyjąć. Dam list powinny do Króla i pana Kanclerza, dam w upominku mego wałacha siwego, i w kiesce czerwieńców kilkaset.

KISIEL.

I więźniów obiecanych, coś ich tu na to sprowadził. — Potockiego...

CHMIELNICKI.

Nie, tego zatrzymam jeszcze — bo jeżeli mi brat jego pan Starosta Kamieniecki, Bar mój jak słychać zajechał, to tego na pal wbić każę

za miastem w sadzie, a tamtego tamże w mieście, aby tak na siebie patrzeli.

KISIEL.

Grodzickiego.

CHMIELNICKI.

Że przeszkadza kudackim dragonom chrestytysia? — nie, tego nie puszczę.

KISIEL.

To choć Czarnieckiego.

CHMIELNICKI.

Nie — sam nie wiem czego, ale toi meni hirszu druhych sia nespodobaje.

PODKOMORZY.

A panie Hetmanie, wszakże i Turki więźniów na znak przyjaźni dobrej puszczają — i przezemnie samego przed dziewięciu laty, Ibrahim Sultan darował Królowi JMci kilkuset więźniów z Galery seraju swego, a WMość Panie Hetmanie będąc poddanym JKMości i sługą, wziąwszy buławę i chorągiew od pana, nie chcesz sług pańskich i dworzan rękodajnych twemu panu oddać.

HREHORY.

Przecież kudackich traktatem i srogą przysięgą wzięliście.

KISIEL.

Trzymasz ich w ciężkim głodzie i niewoli, że się do Tatar proszą, a wszakto słudzy królewscy — i cóż po tem Król ma trzymać o wierze twojej.

CHMIELNICKI.

Szkoda o tem howoryty. Nechaj Korol nedumaje, Boh mi to dał — puszcę ich, jeżeli żadnej zaczepki na wiosnę z Litwy i od Lachów nebude. Jedźcie pókiście cali.

PODKOMORZY (*cicho do Kisiela*).

Jedźmy panie Wojewodo póki trochę trzeźwy, nie zmiękczysz srogiego tyrana, a sami zginiem. Z tem co się nam jeszcze zostało w szkatule, srebra dodawszy, u Neczaja nabierzem więźniów co zechcem.

KISIEL (*do Chmielnickiego*).

Bez więźniów nie odjedziem, groźb się nie boim, bo bez woli Boskiej włos nam z głowy nie spadnie.

CHMIELNICKI.

Dam kilku małych, a jedźcie z Bogiem — a resztę na komisję dam, byle mi Czaplickiego dano, i byle Wiśniowiecki nie był hetmanem koronnym — bo z nim żyć nie chcę, i na Ukrainę go nie puszcę.

PODKOMORZY.

Pan Wojewoda Ruski regimentu nie ma, i spokojnie siedzi u pana Margrabi na Książu.

CHMIELNICKI.

Nechajże sedyt sobie, a mnie w oczy nie lezie, bo go przegonię jak pod Pilawcami.

KISIEL.

Więc i z tem co można jedziem panie Hetmanie, i do zobaczenia na wiosnę na komisji nad Rusawą.

## CHMIELNICKI.

Tam więźnie stawię i coś armaty. Tylko panie Wojewodo pamiętaj, byle Wiśniowiecki koronnym hetmanem nie był. (*Na stronie*) Dam wam komisję, niechno Han przyjdzie i trawa wyrośnie.

KISIEL (*do Podkomorzego*).

Wojna zdaje się niezawodna, i biada Rzeczypospolitej.

## Scena II.

Na Książu.

TOWARZYSZ i SEMEN *w sali audyencyjonalnej stoją przy oknie — później* GRYZELDA — STARA KSIĘŻNA — WIŚNIOWIECKI — JĘDRZEJ POTOCKI. — WOJTUŚ.

TOWARZYSZ.

Pięknie tu mospaneńku.

SEMEN.

Smutno.

TOWARZYSZ.

Dzień będzie pogodny — patrzajcie, mgła opada na ciemny bór — piękne to wzgórza mospaneńku, a piękniejsze jeszcze te sine góry, co w dali.

SEMEN.

Jak sine Dnieprowe brzegi — hej hej, już mi nie łowić werezuba na sinym Dnieprze, ni gonić suhaka na stepie, ani zajrzeć ukraińskiego dębu co ma lat trzysta — a tu na czużyźnie stare kości położyć, tu w tym kamiennym gma-

chu, co go czort stawił z czystego głazu i wiązał na smołę.

TOWARZYSZ.

Piękny to zamek panów Margrabiów, kto go stawił to stawił mospaneńku.

SEMEN.

I w nim go zaklął — że chodzi jak mara po wielkich izbach i dąsa się na wszystkich.

TOWARZYSZ.

Co tam wasze bredzisz o panu Wojewodzie.

SEMEN.

Nie pierwsze to już nasłanie — a kiedy przed laty przerzucił się w tatarskiego wyrostka, i dał się w niewolą wziąć, a Jezuitom wychować, i czarną sukienką oblec, i opanował księcia Jerzego naszego, że mu i duszę dał, i dziecko dał nie swoje — hej hej, gorzkie to się łyzy wylały jak przyszło z rąk oddać dziecinę biesu przekłętemu, co go na łacinę przerobił.

TOWARZYSZ.

Ej, nie bluźń wasze mospaneńku, przewielebnemu ojcu Nohajusowi, pamięci świętej. — Wszakże to nie jedyna świetna konwersya jego — przeszli tam Zbarazkie i Zasławskie książęta, ba i Ostrogskie mospaneńku, a ruskiej szlachty to i nienaliczyć.

SEMEN.

A potem i dziw wielki, że Ruś i Kozactwo spojrzawszy po nad siebie, i nie widząc swych dawnych panów i z krwi i z wiary, poszukało so-



bie nowego pana, Chmielnickiego Bohdanka. Hej Lachy! i nam i wam to na pochybel te kruki czarne.

TOWARZYSZ.

Milcz wasze na miłość Boga, otóż i Księżna wraca z kaplicy zamkowej, i Stara Księżna przy niej.

(TOWARZYSZ i SEMEN cofają się w głąb) —

GRYZELDA prowadzi STARĄ KSIĘŻNĘ.)

GRYZELDA.

Dużo tu schodów ciotko w zamku panów Margrabiów, usiądź tu i spocznij — dziś coś nie dobrze jesteś.

(STARĄ KSIĘŻNĄ siada.)

STARĄ KSIĘŻNĄ.

Widzenie miałam. Nawiedzić mnie raczył Książę i pan mój — i mówił — Czy prawda Gryzeldo, że go tam z grobu wyrzucili... mów... To wyście to taili przedemną. (*Milczenie*) Więc i klasztor zburzyli i zamek.

GRYZELDA.

Wszystko zburzyli, ciotko droga — i sami widzicie jak się to szczęśliwie stało, żeście się tu z nami nakłonić dali.

STARĄ KSIĘŻNĄ.

Nie — nie widzę ja tego, dziecko drogie — mówił mi tedy Książę, że już mogę bezpiecznie do Zbaraża wrócić — (*milczenie*) i dzisiaj jadę.

GRYZELDA.

Ależ tam wojna, ciotko droga, sroga wojna — Zbaraż zburzony i lada moment znów go Koz-

ctwo wzięść może — z nami zostać. — Wszakże jak tylko wojna pozwoli, wrócim się tam.

STARA KSIĘŻNA.

Nie — nie wart ten żywot mizerny, żeby się z nim tak drożyć — ciebie mi tylko żal opuszczać Gryzeldo — bo zresztą, tam już są wszyscy co byli w sercu.

GRYZELDA.

To się przynajmniej zaradz pana Wojewody. Otóż właśnie i on idzie.

*(Wchodzi WIŚNIOWIECKI zamyślony, za nim JĘDRZEJ POTOCKI.)*

WIŚNIOWIECKI *(nie widzi kobiet).*

Semen, czy odjechali panowie Posłowie do Króla?

SEMEN *(podchodzi).*

Nie jeszcze, ale wnet odjadą, bo już kolebki przygotowane.

WIŚNIOWIECKI.

Szczęśliwej drogi życzę. *(Postrzegłszy kobiety)*  
A... witam cię, szanowna pani — Gryzeldo, dzień dobry.

GRYZELDA.

O, zły dzień, panie — ciotka nas dzisiaj opuszcza, chce do Zbaraża jechać i przelóż jej panie...

WIŚNIOWIECKI.

Do Zbaraża? Jędrzeju, a widziałeś dzisiaj panów posłów.

JĘDRZEJ POTOCKI.

Widziałem. Ksiądz Biskup zmięszany, i zda się, że rachował na skutek poselstwa swego.

WIŚNIOWIECKI.

Ksiądz Biskup pięknie mówi o miłości ojczyzny, i uraz poświęceniu, i fortun poświęceniu, *salvis* wszelako *ecclesiasticis beneficiis*. A pan Starosta?

JĘDRZEJ POTOCKI.

Pan Starosta był spokojny, i zda się, że przestaje na starostwie nowem, co mu król dał.

WIŚNIOWIECKI.

To wieprz, co zjadł tyle z łask dworu, ilem ja z ojcowizny na usługi Rzeczypospolitej stracił. Gryzeldo przepraszam cię, mów dalej.

GRYZELDA.

Ciotka dzisiaj chce do Zbaraża jechać.

WIŚNIOWIECKI.

Do Zbaraża wyjechać można — a dojechać czy można, to jeden Bóg wie.

STARA KSIEŻNA.

To też Bóg poprowadzi wdowę.

GRYZELDA.

I ciotka chce na Zbarażu znowu osiąść, jak dawniej.

WIŚNIOWIECKI.

O, co na to, to trzeba ze trzydzieści tysięcy wojska, i to dobrego. (*Do siebie*) Jeżeli panowie Regimentarze wiedzą co wojna, w Zbarażu staną — tam waga wojny. (*Do Jędrzeja*) Ale macie pono

pisanie od Kalinowskiego młodego, cóż tam pisze o Kanclerzu.

JĘDRZEJ POTOCKI.

Pisze, że pan Kanclerz jest w zupełnem zaufaniu, że WM. Pan pójdiesz na hultaja.

WIŚNIOWIECKI.

Więc się nie domyśla wczorajszej postów odprawy?

JĘDRZEJ POTOCKI.

Owszem, spodziewa się że posłowie z niczem powrócą, lecz że się WM. Pan ruszysz, skoro zasłyszysz brzęk oręża z Wołynia.

WIŚNIOWIECKI.

Więc mnie za ślepego żołnierza ma pan Kanclerz?

JĘDRZEJ POTOCKI.

Nie sędzę — bo dodaje: i jęk nieszczęsnych ofiar...

(*Moment milczenia.*)

WIŚNIOWIECKI (*do Staréj Księżny*).

Istne niepodobieństwo, moja miłościwa pani a droga ciotko, ruszać się w porze takiej. Bóg widzi i wy to wiecie sami, że przy terażniejszej ruinie fortuny mojej, nie jestem w stanie dać WM. Pani dostatecznego *praesidium*, nie już do przesiedzenia w Zbarażu, boby się tu trzeba mocować z całą potęgą Chmielnickiego i Hana, ale i do przejazdu nawet, kiedy hultaj gromadnie kupami chodzi.

STARA KSIĘŻNA.

Z dworem co mam pojadę, panie Wojewodo,

z kilkoro sług starych — i z kosztorem bym poszła, jeźliby inaczej nie można — tam pójdę, bo tam miejsce moje. I nie lękaj się o to mizerne zdrowie moje, panie Wojewodo — wszakże każdy z ziemian pokwapi się z usługą dla wdowy Wiśniowieckiej.

### WIŚNIOWIECKI.

Czy tak tuszysz o imieniu naszym, droga ciotko — o! mylisz się zaiste. Każdy z tych co ich choć najmniej wiatr dworski owionął, rad widzi nasz upadek — i nie od dzisiaj to tak. Nie od Wazów to, a od Jagiełłów idzie ta zawieść krwi swojej — czem był Władysław Korybutowi, tem Zygmunt August Dymitrowi, tem będzie i Jan Kazimierz dla mnie, co ginę ratując ojczyznę... Ale nie — już dosyć ofiar, i ja potrafię tak jak inni żyć dla siebie, dla domu — i z tych resztek co mi hultaj zostawił, odbuduję fortunę dla syna. Nieprawdaż Gryzeldo, żyć będziem dla siebie, z sobą.

### GRYZELDA.

O, nie, Jeremi — marzyłam ja kiedyś o szczęściu takim, ale to nie sądzono widać. Od Pilańskich nieszczęść, twoje dni gorzkie, a nocy bezsenne — włos ci posiwał na młodej głowie, żywot się w tobie wytrawia — a ja to widzę. (*Znak przeczenia od Księcia.*) O darmo to chcesz ukryć przedemną — ja to widzę Jeremi i drzę. (*Pauza*) Są, co i dziś w pokoju żyją tu lub na Szlązku — ale nie tobie Panie pokój, kiedy ojczyzna we krwi

i we łzach. Tam idź, może w bitwach odetchnienie znajdziesz, a ja się za ciebie modlić będę.

WIŚNIOWIECKI.

Więc i ty mnie odganasz od siebie?

SEMEN (*wchodzi.*)

Jest goniec od pana chorążego.

WIŚNIOWIECKI.

Z czem?

SEMEN.

Ma pismo i języka — tam się już biją, a my tu...

WIŚNIOWIECKI.

Milcz! — niech tu przyjdzie.

(*Wchodzi WOJTUŚ, oddaje pismo i cofa się*)

WIŚNIOWIECKI (*do Jędrzeja*).

Czytaj.

JĘDRZEJ POTOCKI (*czyta*).

„Zaczynam to pisanie moje od rzeczy szczęśliwszych, bo o tych krócej będzie. Bracia Litwa lepiej sobie radzą niż nasi — bo kiedy my gnuśnym procederem do Pilawieckiej przychodzimy, Radziwiłł Niebabę zbił, Pińsk wyciął i cicho — a kiedy my uchodzimy z niesławą, a przegrana nasza znowu stugłową hydrę obudza, Radziwiłł stugłową hydrę ztarł i Czarnobyl wziął, i Gródek, i Mohylów, Hładkiego zbił, Mozyr wyciął, Bobrujsk po raz drugi zbuntowany, na straszne jego imie się poddał, Podubicza i Michenka stracił. Otóż i dzisiaj Litwa się lepiej od nas uwija. Wiecie zapewne jak Hołota spędził słabe chorą-

gwie litewskie z zimowych kwater nad Dnieprem i pogonił je nad Prypeć — otóż Gąsiewski z dragonią Olenhauza i piechotą Denhofa tak ich wsparł potężnie, że hołotę siedmio-tysięcznego na wyspie prypeciowej zamknął, wyciął i wytopił. I nam też nie źle szło z początku — pan Kasztelan Kamieniecki uwijał się nie zgorzej, i Pokucie oczyścił, i pod Barem ich przegnał porządnie. Pan Pisarz pod Łuczyńcem siła ich położył. Czarniecki zwawy rotmistrz, niedawno z kozackiej niewoli zbiegły, w Polesiu pod Stepaniem porządnie ich zgromił. To wszystko z ochoczych, a zaciężni szli z Kasztelanem Sandomirskim pod Zasław, gdzieśmy mieli linię naszą po nad Horyń rozciągnąć. I tutaj Suchodolski się spisał, zniósł Taboreńka i Dońca w lasach, co przed Zasławiem, i w tapor wegnał, a nazajutrz za nadejściem sukursu udało nam się i tabor wziąć z wielką szkodą hultaja. I wszystko nam na rękę szło. Nazajutrz Jacek Rozrarszewski zbił Tyszę — pan Kasztelan Kamieniecki ściągając się do jeneralnego obozu, zbił na głowę Krzywonosika młodego pod Ostropolem, a gdy się tamże zaparł i ostrogi zarębał, miasto nie chcące wydać starszyny do byto, i aż dopiero w zamku zawarci zdali się na łaskę. Krzywonosik się wykupił — szkoda. I Przyjemskiemu się udało Zwiahel wziąć, i to ze Zwiahlem co z Ostropolem. -- Dziwna to rzecz jak się Czerń zapamiętałe hultaja trzyma, i jaka to przeszkoda w wojnie, ni języka dostać, ni żywności — lada zamek wyciąć

trzeba, bo się poddać nie chce. Zabraliśmy się tedy wszyscy pod Konstantynów w dobrej ochocie i jeszcze się udało panu Kasztelanowi Kamienieckiemu Korfa z Międzyborza z załogą pana pisarską uwolnić — ale tu koniec sukcesów. Chmielnicki następuje, z nim dobornych pułków kozackich kilkanaście — chłopstwo wszystkie w bunt poszło — Han z ordą stutysięczną, przytem ordy Budziackie, Perekopskie, Nohajskie, Dobruckie, Piatyhorcy, Czerkasowie, Turki rumelskie i sylistryjskie, Wołosza i Multany dały swoich Karafaszów co niemiara — słowem ani ich obejrzeć, ani zliczyć. To wszystko niespodziane, bośmy języka nie mieli — i serca nam upadły, i ręce nam opadły, bo nie widzimy sposobu utrzymać na karkach naszych tej zgrai. Cofnęliśmy się na łeb na szyję tu pod Zbaraż i tu stojem w ciągłych obawach Pilawieckiej nowój. Zresztą co i jak się dzieje, opowie wam podrobnie poślany mój. Pan Wojewoda Podolski, pan Pisarz i my wszyscy zasylamy WM Panu najszczerze afekta i radziłyśmy tu was widzieć — i znowu pomnąć na tak liczne a dotąd nie ustające krzywdy nasze nieśmiemy was wzywać do tej męczeńskiej korony, co nas tu czeka.“

*(Moment milczenia.)*

### WIŚNIOWIECKI.

Chodź tu Wojtuś. (*Wojtuś się zbliża — patrzy na datę listu*) Trzy dni jakieś z Zbaraża.

### WOJTUŚ.

Na kresach jechałem Panie.



WIŚNIOWIECKI.

To szybko — jakież języki macie?

WOJTUŚ.

Języki od zbiegów tylko naszych, a każdy inny. Podjazdy nam się nieudały Panie — Hulewicz z komendą chodził pod Wyszgródek, to jak się zmrokiem spotkał z księżącą Wołoszą, to go wszystko odbiegło myśląc że orda — a Sierakowski całą prawie chorągiew Pigłowskiego utracił na przeprawie, tak z podjazdu drapali.

WIŚNIOWIECKI.

A panowie Regimentarze cóż na to?

WOJTUŚ.

Panowie Regimentarze w niczem się zgodzić nie mogą, a do tego że ich nikt słuchać nie chce — bo rycerstwo zażalone na króla, że wam buławę wziął, co wam ją koło rycerskie we Lwowie dało. A komendy mego Pana, i pana Margrabi i pana Starosty Kałużskiego, zupełnie osobno stoją. I piorun padł na hetmańską chorągiew, i drzewce zdruzgotał. Źle Panie, na was ostatnia nadzieja nasza.

*(Moment milczenia.)*

WIŚNIOWIECKI.

Semen! *(Wchodzi Semen.)* Gotować się do drogi — na Zbaraż jedziem.

SEMEN.

Kiedy Panie?

WIŚNIOWIECKI.

Jużcić dziś — zaraz. Dwór lekki, żywność w sakwach, wozu żadnego. A — wóz jeden pani

Wojewodziny. (*Pokazuje Starą Księżnę — do Gryzeldy*) Ty jedź z nami, w Białym Kamieniu zostaniesz — jeszcze choć dni kilka razem będziem. (*Żona całuje go w rękę*) Kto tam wie ile dni komu... (*Moment milczenia*) Bóg widzi, że z czystem sercem jemu poświęcam urazy moje, i z szczerem sercem pragnę tego za ojczyznę męczeństwa, o którym mi piszą.

*Kurtyna zapada.*

## A K T IV.

### Scena I.

Na Zbarażu w lecie 1649 r.

ŻOŁNIERZE — SEMEN — TOWARZYSZ — TASZYCKI  
— później SOŁOCHA — SZEFER-KASSI-AGA —  
CHMIELNICKI — KONIECPOLSKI — WIŚNIOWIECKI  
— SIENIAWSKI — MUSTAFA-AGA — WYHOWSKI.

Na Belluardzie \*) która zajmuje połowę sceny tylko,  
SEMEN śpi, TOWARZYSZ i kilku żołnierzy, jeden na  
warcie — nadchodzi TASZYCKI.

### GŁOSY.

Witamy szanownego — ot znać że armisty-  
cyum, Firlejczykowie nas odwiedzają — ugościm  
cię, ugościm — dostaniesz kawał zdechłej kobyli-  
ny, byleś go przy swoim ogniu upiekł, bo u nas  
go nie ma. A ten głupiec — jeszcze mu ognia  
za mało po wczorajszym.

### TASZYCKI.

A wiecie panowie, że wczoraj djable prażyli,  
jak nigdy — jużto ja nie z dzisiejszych, a jednak...

---

\*) Belluarda gatunek szańca.

GŁOSY.

A ty smarkaczu, a z jakichże ty — z jutrzejszych — no, co jednak...

TASZYCKI.

Jednak pod wieczór — a djabeł tam<sup>7</sup> wie co-  
by było, gdyby sami nie ustąpili.

TOWARZYSZ.

A wieszże czego ustąpili, mospanieńku?

GŁOS.

Bośmy im sadła za skórę naleli.

TASZYCKI.

Jakto?

TOWARZYSZ.

A cóż, jak zaczęło bardzo dopiekać mospanieńku, Panowie starsi jeli coś między sobą radzić.

GŁOSY *na przemianę.*

Ja słyszałem. — No co? — Oto chcieli na zamek umykać. — Łziesz, łziesz! — Jak ztąd wyjdę to będę łągał, ale tu, i tego co jest dosyć. — I ja słyszałem. — Nie prawda — a może, może. — Boć przecie pan Wojewoda dobył szabli i krzyknął: kto się z miejsca ruszy, mnie podepce albo tu padnie sam! — Tak, tak.

TOWARZYSZ.

A to mospanieńku już raz drugi te rejterady do zamku, gdzie ledwie starszyznę pomieścić, a prostych chyba Bohdankowi oddać.

TASZYCKI.

No, a dalej co.

TOWARZYSZ.

Dalej mospaneńku, pan Wojewoda kazał za-  
trąbić naprzód, i sam naprzód przez wały z księ-  
ciem Dymitrem.

TASZYCKI.

Ej, to więc tego cofnęli się wieczorem.

TOWARZYSZ.

Patrz wasze, zgliszcza to hulaj-horodek —  
a widzisz tę moglię? heu heu! tameśmy wczoraj  
byli rąbiąc.

TASZYCKI.

Już to wyznać trzeba, że go tu pan Bóg  
zesłał. (*Chwila milczenia*) Nasz stary też się uwi-  
jał dobrze.

TOWARZYSZ.

Co to mospaneńku gadać wiele, tu każdy się  
uwija dobrze, kiedy dotąd stoim. Czwarty szturm  
mospaneńku i najsroższy.

GŁOSY.

Czternasty, — na co liczyć małe umizgi Boh-  
dankowe. — O jeżeli ztąd wyjdiesz, tożto łąć  
będziesz. — Tak jak ty o Chocimskiej. — A ty  
o Moskwie. — A cóż, w Moskwie dwa lataśmy  
stali. — Tak jak tu dwa miesiące. — Nie taka  
forsa była. — Ale o Moskwie, stary, pamiętasz  
w Moskwie Bogdanowicza? — A któżby nie pa-  
miętał, co to się tak dzielnie z księciem Konstan-  
tym bronił w kamienicy, że aż kapitulację zy-  
skali. — Ten, ten. — Jest tu gdzie? — Ojciec  
Jan. — Bernardyn. — Niech żyją ojcowie Ber-  
nardyni.

TASZYCKI.

Niech żyje ten, co go we wtorek przed ołtarzem kula ubiła.

TASZYCKI.

Niech żyje ten, co go we wtorek przed ołtarzem kula ubiła.

GŁOSY,

Ha, ha! Ja zawsze wolę Bernardynów niż patrów czarnych. — A nie mów tego, — a pater Buchowiecki jak działa rychtuje. — Prawda, prawda, prawa ręka Przyjemskiego.

TASZYCKI.

Miłe mi towarzystwo wasze, panowie Wiśniowieczyki, wszakże wyznać wam muszę, że nie dla niego tylko przyszedłem do was, szczerze wam serce moje odkryję. Oto wczoraj bardzo nie wiele jadłem, żeby nie powiedzieć że nic nie jadłem wcale, a pocilem się nie źle, do tego ta przekłeta ulewa zmoczyła mię do nitki — a oto wszystko razem, daje mi dzisiaj niezmiernie pożądaną kobyliny wędzonej, więc do obozu waszego ile porządnego zdążyłem. i...

GŁOS.

Proś Semena, on ci da z tej co pan Wojewoda jada.

ŻOŁNIERZ *na straży.*

Pilność!

*(Zrywają się wszyscy i Semen.)*

GŁOSY.

Co tam znów nowego w armistycyum. — To Czerń wraca z trupów grzebania.

(*Nadchodzi kupa Czerni, między niemi SOŁOCHA i zatrzymuje się naprzeciw Belluardy.*)

GŁOSY Z CZERNI.

Czołem panowie Lachowie — a cóż kiedy czynsze na Ukrainie wybierać będziecie? Oczkowe, rogowe, stawszczyzny i roboty na poddanych zalegają.

TASZYCKI (*z Belluardy*).

Czołem panowie chłopci — a macie teraz od roboty folgę, ale wkrótce będziecie pod Dniepr groblę sypali — i czynsze też nie ze wszystkim zalegną, bo tam litewskie wojska zimujące egzekwować będą.

GŁOSY Z CZERNI.

Już też i bydło a konie szaleją nazbyt i rwą się do Wrocławia na jarmark, a wy dziesięciny nie wybieracie.

TASZYCKI.

I dziesięciny nie zalegną, bo Tatarowie miasto bydła, żony i dzieci wasze do Krymu popędzą.

SOŁOCHA.

A rozkoszny Laszek — szkoda ciebie, bo dwunastu miesięcy nie dociągniesz.

TASZYCKI.

Dociągnę, o moja piękna, postronka na którym ty potańcujesz.

SOŁOCHA.

A zgadłeś — mnie obwieszają syneczku, ale ty nie dożyjesz tego. A ha, ha, ha! a to mój stary kum — czołem, czołem.

TOWARZYSZ.

Pfu! czarownica przeklęta.

SOŁOCHA.

A niegrzecznyś kumie, niegrzecznyś, i ludzi nie poznajesz — a dziękowałeś mi przecie jakem cię po Korsuńskiej wyleczyła, i było czego — tożto cię, dziadu stary, na kapustę mołojcy pocięli.

TOWARZYSZ.

Ej dalipan mospaneńku, to lekarka moja — i w trzy dni zdrowy byłem mości panowie, com się miał lizać trzy miesiące — jeszcze raz ci dziękuję babo, i oto masz. (*Dobywa pieniędzy.*)

SOŁOCHA.

Schowaj to kumie, schowaj, i mnie nie dziękuj wcale — brat czart pracował, i brat zapłatę weźmie. (*Do swoich*) Do tego nie strzelajcie darmo, bo jego kula nie weźmie, ale za to przez niego, mam prawo, w dobę za sobą powlec tego, co nad nim mieć będzie panowanie.

GŁOSY Z CZERNI.

Pst, pst, zmykajmy, Ataman jedzie — jak pijany to jeszcze nasiec każe.

SOŁOCHA.

Już się spanoszył braciszek — nechajno złe bude, to werneszsia do mene. Bądźcie zdrowi panowie Lachy.

TASZYCKI.

Bądź zdrowa święta patronko Nizowa.

SEMEN.

To Sołocha, a słyszałeś co mówiła?



TOWARZYSZ.

Ot brednie mospaneńku.

SEMEN.

Nie brednie — Sołocha się nie myła jak czart w niej.

ŻOŁNIERZ *na warcie.*

Pilność!

GŁOSY.

Co znowu, a patrzcie to sam Bohdanko jedzie. — Zdrajca korony, a jak to w armistycyum ufa — gdyby nie to, to wartoby mu ołowianą wpakować pod ten kołpak soboli. — Tyle co go nie widać; jak tu przyjedzie z przechwałkami, odpowiedzieże mu przynajmniej. — A to co za poganin przy nim, w ostrej czapce? — To Murza jakiś.

(*Wchodzą* SZEFER-KASSI-AGA i CHMIELNICKI.)

SZEFER-KASSI-AGA.

Jeszcze ci raz powtarzam, hańskie słowo, albo przez dni trzy poddasz ich Hanowi w niewolą, albo ze swoich jassyrs dasz.

CHMIELNICKI.

Ależ bądźcie spokojni, i trzech dni nie wytrzymają.

SZEFER.

Chłopskie słowo. Coś nam mówił, kiedyś nas tu ściągał? — że nam ich tu gotowych za szyję podasz — albo i wczoraj jeszcze, jakieś im miał ostatni bankiet sprawić. A co, jak ci się nadał bankiet polski?

CHMIELNICKI.

Gdyby nie Wiśniowiecki, jużby oni dawno nasi byli. Słuchajcie Wielki Wezyrze — mnie oni nie uwierzą, ale niechaj ich Han JMość na rozhowor wezwie, Wiśniowieckiego i Koniępcolskiego do obozu.

SZEFER.

O! Ago! Ago! fałsz ci jest ojcem, a zdrada matką ci była.

CHMIELNICKI.

I lubo Bóg widzi że jestem ubogi człowiek, dam wam dziesięć tysięcy talarów.

SZEFER (*uderza go po ramieniu*).

Zawsze ty ze mną zrobisz co zechcesz — więc rób sobie jak ci się zdaje, a nasza rzecz ci pomódz. To ci tylko serdecznie radzę: kończ prędko z tymi, bo jeżeli tamci co z królem tak jak ci bić się będą, to Han cię związanego Królowi odda.

CHMIELNICKI.

Jakoś to bude. (*Zbliża się do Beluardy*) Hej tam! prosiemy księcia Wiśniowieckiego, przyjaciela naszego, choć nie bardzo szczerego.

TASZYCKI.

Pan Wojewoda zatrudniony, ale jeżeli WM. chcesz, to go poprosim aby ci przysłał na konferencyą stangreta swego.

GŁOSY.

Cha cha cha! Ot tobie Bohdanku w kołpaku sobolim czwanić się.

CHMIELNICKI.

Durne Lachy, a czegoście do mnie przysyłali Zacwilichowskiego, Hrehorego i Kisiela, żeby mię prosili o życie.

TASZYCKI.

Kłamiesz Bohdanku, sam prosiłeś tych panów na konferencyę i pojechali — ale żeś pijany był, wrócili z niczem, a teraz już tobie chyba z stangretem pana Wojewody konferować.

CHMIELNICKI.

Durne Lachy, a czegoż Chorąży do hańskiego kanclerza jeździł.

TASZYCKI.

Bo go sam kanclerz o to prosił; zresztą z Hanem Jegomością każdy konferować może — nie prawdaż panowie, bo to choć poganin ale pan.

GŁOSY.

Tak, tak.

CHMIELNICKI.

No, no, kiedy tak to słuchajcie. Oto podjechał sam kanclerz Jego Hańskiej Mości, Szefer-Kassi-Aga.

SEMEN (*który stał na boku zbliża się, kładzie rękę nad oczami i patrzy na Szefer-Kassego — półgłosem*).

Pierwszy raz Bohdanko nie skłamał — tak to Szefer-Kassi-Aga. (*Głośno*) Panowie cicho! (*Zbliżając się w stronę Chmielnickiego*) Jak się macie Bohdanku. Czego chce Szefer-Kassi-Aga?

CHMIELNICKI.

Prosi pana Wojewodę na rozhovor.

SEMEN.

Pan Wojewoda na zamku, ale natychmiast mu doniosę.

*(Obraca się do Kozaka nadwornego, który odchodzi).*

CHMIELNICKI.

A wszakże to ty Semenie stary druha — a czemuż nie przyjdiesz do mnie pułkownikować Kozakom, tożto najwyższe miejsca były dla ciebie, po starej drużbie naszej.

SEMEN.

Myśmy szli każdy swoją drogą Bohdanku, ja na prawo, ty na lewo — hej hej, już nam nie pora się wracać, a iść każdemu przed sobą, póki nas tam nie powołają do zdania liczby.

CHMIELNICKI.

A prawdę macie Semenie — wszakże widzisz do czego mię doprowadzili wrogi przeklęte. Mnie się z pogaństwem wiązać — mnie na króla następować, brata Władysławowego. *(Płacze)* A samże widzisz, że muszę... broniąc się...

SEMEN.

Nie kłam skruchy Bohdanku przedemną, co cię znam z dawien dawna, bo nie ma skruchy w tobie — zawsześ ty kłótniwy był, i rzadko kto z tobą wyżyć mógł. Biada równemu było z tobą, biada wyższemu co cię w rygorze nie trzymał, biada niższemu co ci się płaszczyć nie chciał. Ale to jeszcze dobryś był w wojennej ryzie, a jakeś na gospodarstwo poszedł, hej hej!

CHMIELNICKI.

A jednak nie tak trzymali o mnie i Król nieboszczyk, i Kanclerz.

SEMEN.

To też zbutniałeś od konfidencyi tych, i jałeś się z sąsiady gryźć, nie znając nad sobą ni prawa, ni panów — hej, hej! Zawzięłeś się na Czaplickiego, i lepiej ci było Ukrainę naszą przewrócić, niż zawziętości odstąpić. A teraz się na Lachów zawzięłeś, i lepiej ci Rzeczpospolitą znieść, i króla zgubić, i Ruś świętą zaprzedać, i duszę nieśmiertelną czortu dać, niżli zawziętości odstąpić. Hej, hej, Bohdanku, żal mi cię, bo ty mi przypominasz stare dawne lata kiedy dobrze bywało. Szczęść ci Boże Bohdanku, i niech cię Pan Bóg nie sądzi wedle nieprawości twoich.

CHMIELNICKI.

Już mnie Pan Bóg osądził Semenie, kiedy mi dał Lachów pod nogi — i dopóki mi sił stanie deptać ich będę. Bądź zdrow! (*Odchodzi i wraca się.*) A pilnuj głowy Semenie, bo ty za wiele rzeczy wiesz.

SEMEN (*do siebie*).

Jeszcze ci jej nie dam, nie, żywym oni nie wezmą sokoła białego — a jakby jego nie stało, to weź sobie siwą głowę Bohdanku.

(*Nadchodzą WIŚNIEWIECKI, KONIECPOLSKI, SIENIAWSKI; nieco opodal HREHORY, KISIEL, JEŃDRZEJ POTOCKI i kilku innych.*)

KONIECPOLSKI.

A gdzie są?

SEMEN.

Tylko co odjechali — a Szefer-Kassi-Aga za czas tu będzie. (*Oddala się w głąb.*)

WIŚNIEWIECKI.

To lepiej, że nie widzieli pospiechu naszego.

SIENIAWSKI.

No, panie Wojewodo, jakże tuszycie sobie, czy będzie co z tych konferencyi?

WIŚNIEWIECKI.

Byle z dobrem ojczyzny i bez uszczerbku sławy naszej. Ale wołę ja przybycie Króla, walną bitwę i pakta gdzieś tam nad Rosią.

SIENIAWSKI.

Któżby nie wołał — ah radbym ja w przyjście Króla wierzył.

KONIECPOLSKI.

Więc gdzież się podział Król i wojsko?

SIENIAWSKI.

Dla czego ich dotąd niema? — dotąd i złotych by już doszedł.

WIŚNIEWIECKI.

To pewna, że się długo rychtują — chcą widno w wielkiej potędze wyjść.

SIENIAWSKI.

Daj Boże!

KONIECPOLSKI.

Rzecz to jest w rzeczy samej dziwna, że dotąd o nich i słychu nie ma. Wojtuś się niezawodnie do nich dostał, bo byłby się tu Chmiel przechwalał, że go obwiesił — więc wiedzą o okropności położenia naszego.

SIENIAWSKI.

Tak, dzisiaj jesteście niby to żwawsi po wczorajszej wycieczce, ale co będzie za dni kilka? Ot i dziś jeszcze przejąłem pisma do Niemców Korfowych z obietnicami wielkimi. Kto tam wie co w takim położeniu naszym lada dzień wybuchnąć może.

KONIECPOLSKI.

Przewidzieć trudno, ale wszystkiego złego spodziewać się można — i dla tego kiedy się trafia pora traktowania, traktujmy.

WIŚNIEWIECKI.

Byle z dobrem ojczyzny i bez uszczerbku sławy naszej.

KONIECPOLSKI.

Trudno jednak świetnych kondycyi wymagać w położeniu naszym.

SIENIAWSKI.

Kiedy co chwila lada szturm nowy, lada zdrada, może nas o ostatnią zgubę przyprawić. Zresztą jeść nie ma co, pić nie ma co, ja pierwszy ledwo szablą władnąć mogę.

KONIECPOLSKI.

I moich ludzi połowa ledwie na nogach się trzyma.

WIŚNIEWIECKI.

Ej, na miłość Boga, Panowie, ani do myśli przypuszczajcie kapitulacyi żadnych. I dajmyż na to, że wam i najlepsze warunki dadzą, a któż wam ich dotrzymania zaręczy. Ztąd wyjdziem,

a o miłą nasz tabor napadną — czy tam się lepiej bronić będzie jak tutaj. Na miłość ojczyzny Panowie, my cośmy już tyle dla niej wycierpieli i tyle doznali, że wysoko między bracią czoło nosić będzie kto ztąd wyjdzie — nie za się patrzmy co być może, a przed się na nieprzyjaciela, i w górę na Pana Boga, od którego nam pomoc będzie. Cóż znowu nowego jest, i czyliżto z nas każdy już po dziesięćkroć żywota nie odważył.

SIENIAWSKI.

Wszakże wicie panie Wojewodo, żeśmy zawsze z wami byli.

KONIECPOLSKI.

I nadal z wami będziemy, co wy, to my.

WIŚNIEWIECKI.

Zaprawdę, bez waszej pomocy nie wiele byśmy tu byli dokazali — (*podają sobie ręce*) to też nasz związek do śmierci.

SIENIAWSKI.

Ja Niemców zaspokoję, wywlokę co tam jest resztek w szkatule.

KONIECPOLSKI.

I ja oddaję co mam na żołąd zaległy kwarcianym.

WIŚNIEWIECKI.

Ja już nic nie dam.

GŁOS WARTY.

Pilność!

SIENIAWSKI.

Otóż i hański wezyr. Więc panie Wojewodo



radźcie *de pace et bello*, my za wami, a za nami i panowie Regimentarze.

### WIŚNIOWIECKI.

Traktować z Hanem można — kto wie, może znudzony wytrwałością naszą i długiem legowiskiem w ogłodzonym kraju, zechce zerwać z Kozaki i wziąć z nich łupy i jasyr, ale to rzecz podrzędna. To główna, że nam tu stać trzeba — tu umrzeć, albo tu się Króla, tu braci i zwycięstwa doczekać — wszak zgoda? (*Podają sobie ręce.*) A teraz na bok odejdźmy, aż się otrąbią.

### SZEFER.

Więc Padiszach zezwala na rozhovor?

### MUSTAFA - AGA.

I na zdradę zezwala byle się udała, bo jak się nie uda, to o tem i wiedzieć nie chce — twoja w tem mądrość.

### SZEFER.

Mądrość u Allacha tylko jest, człek jej o tyle ma, o ile mu od niego dano.

### MUSTAFA - AGA.

I każe ci Padiszach wybadać tego Wiśniowieckiego, czy oni się tam poddać myślą, czy nie — bo nowiny przysły niemylnie, że Król polski już ze Lwowa wyszedł i tu idzie.

### SZEFER.

Ważne nowiny.

### MUSTAFA - AGA.

Jeżeli zatem pomiarkujesz, że się nie chcą

poddać, jutro czy się uda zdrada, czy się nie uda, szturm generalny.

SZEFER.

Mądra jest wola Padiszacha, bo źleby wypadło tu połowę wojska zostawić, a z drugą połową iść na tamtych. I Hetman Zaporozki radby był Wyhowskiego wplątał w te rozhowory, żeby go z Lachy skłócić.

MUSTAFA - AGA

To nie nasze sprawy, miej go przy sobie jeżeli chcesz. Co do mnie, już mi obmierzły te tu związki z chłopami — nam panom przeciwnie tej się czerni dotykać.

SZEFER.

Więc Wyhowski niech się tam otrąbi, a sam jedź do Hana i powiedz co się dzieje; po rozhovorze zaraz i ja do stopy jego przybiegnę. (*Sam*) Dziesięć tysięcy talarów moje, a zresztą stanie się, co się stanie. O, i mnie już tęskno do bakczyserajskich topol, i na mnie czeka harem na Uzembaszu wielkim, i miło będzie po trudach tu-tejszych zasiąść w Jurzuf, na szczycie domu mojego, i obok cyprysów wysmukłych i strumyków szemrzących, zapalić tytuń wonny i patrzeć jak zaległ przestrzeń czarny potwór Ajudahu — i na morze patrzeć błękitne, któremu granicą błękitne niebo złotemi gwiazdkami utkane. (*Słychać trąbę i głos.*) Szczęśliwy Islam Gerej Han, przez wezyra swojego Szefer-Kassi-Agę, wzywa ciebie Księcia

Wiśniowieckiego, wojewodę ruskiego, przed wały na rozhovor.

(WYHOWSKI *nadchodzi i staje z boku trochę opodal.*)

WIŚNIOWIECKI.

(*zbliża się do Szefer-Kassego.*)

Czego chcesz?

SZEFER.

Tyżeś to jest tym sławnym i tak wziętym w swej ziemi wojownikiem? Teraz w tej tu małej twierdzy zamkniętym jesteś, i tylko nam przyjsć i wziąć was.

WIŚNIOWIECKI (*żywo*).

Więc przyjdź i weź.

SZEFER.

Jednak Han Jegomość wspaniałym jest, i zbawić was chce, byleście mu, ty i Koniecpolski drugi, należny pokłon oddali.

WIŚNIOWIECKI.

Chcesz widzę Ago doświadczyć, czym ja istotnie Wiśniowiecki — jam to jest i o pokłonach mi nie mów, bom się z rodu nikomu prócz Bogu nie kłaniał. Jeszcze raz pytam się ciebie, czego chcesz?

SZEFER.

Han chce być pośrednikiem między wami.

(*Pokazuje Wyhowskiego.*)

WYHOWSKI.

Jam jest Wyhowski panie Wojewodo, pisarz wojska Zaporozkiego, Królowi i Rzeczypospolitej przychylny i do pokoju skłonny, byleście wy pa-

nowie i szlachta, co tak dbacie o wasze wolności chcieli też i naszą wolność uszanować.

WIŚNIOWIECKI.

Wolność, godność, panie Pisarza Zaporozki — tam gdzie godności nie masz, jakąż tam wolność będzie? Chłopska wolność — paść zboże moje, las mój kraść, a w dobrym razie dom mój zrabować, a mnie z żoną i dziećmi zarznąć, bom nie chłop.

WYHOWSKI (*żywo*).

I jam nie chłop, panie Wojewodo, i tej wolności nie sprzyjam.

WIŚNIOWIECKI.

A kozacka wolność, panie Pisarzu — na morze chodzić, to jest rabować okręta i porty u Turka, sprzymierzeńca Rzeczypospolitej, wbrew prawa narodów — i na to, aby z swej strony Sułtan sprawiedliwie urażon, na nas Tatarów ordynował, a za najlżejszym pretextem, panie Pisarzu, bunt i napad na kraje Rzeczypospolitej, ogień, rabunki i mordy — więc to na to król i Rzeczypospolita wypłacać mają żołd swojemu zaporozkiemu wojsku.

WYHOWSKI.

Tylko nam w naszą Ukrainę nie leźcie panowie, to jakoś to z żołdem będzie.

WIŚNIOWIECKI.

A od kiedyżto Ukraina wasza panie Pisarzu? azaliżem ja i ojcowie moi, nie od kilkuset lat książęta wasi. My i Ostrogscy, Zbarazcy i Koreccy,

i Kisielowie Światodycze, i innych tyle. — I po większej części, pusteśmy mieli ziemie te po tatarskich zagonach, i myśmy je już sami chłopem osadzili. Kto sadił te wielkie slobody w Bracławskiem i Kijowskiem, co dziś w bunt poszły, jeżeli nie pan Krakowski stary, sławny rodzic pana chorążego koronnego. Więc że część ziemi mojej wypuszczę chłopu za czynsz albo robotę, już on mnie ze wszystkiego wywłaszczyć prawo ma? — A żal się Boże prawa takiego.

#### WYHOWSKI.

Jeżeli prawa nie ma, no to rzecz jest, panie Wojewodo — dziś Ukraina nasza.

#### WIŚNIOWIECKI.

Ej, jam tu nie na dysputy przyszedł. Wezryrze hański, coś mnie tu na rozhovor wezwał, po raz trzeci pytam się, czego chcesz? Jeżeli pokoju — a czegoż tam pobratym wasz machiny stroi i armatę toczy, mimo armistycyum zawarte? — jeżeli wojny, na cóż te rozhowory daremne, lubo Bóg widzi, że przystojniejby wam była z nami przyjaźń, jako dobrym junakom także z junakami, niż z tem chłopstwem plugawem.

#### SZEFER.

Han wam dobre kondycye da, poddajcie się tylko.

#### WIŚNIOWIECKI.

A więc po toś tu przyszedł? Zawcześniejście Ago, bo jeszczeście nam nieusiedli na karkach — szablę w rękę mamy całą, i nie wiadomo jeszcze

z kim Pan Bóg będzie. I otwarcie ci powiem  
Ago, że choćbyśmy sto razy gorzej stali niżli dzisiaj  
stoimy, to nie dojdzie do tego póki ja żyw będę —  
choć przyjaźni waszej nie ważym lekce sobie,  
i miłoby nam było bracią was nazwać. A jeżeli  
zda się wam inaczej, idźcie z nami odkrycie, bij-  
my się, a obłudą się nie bawmy.

SZEFER.

To też aby się porozumieć, Han JMość prze-  
zemnie wzywa was jutro na rozhovor do siebie,  
ciebie i Konięcpolskiego.

WIŚNIOWIECKI.

Tu?

SZEFER.

Nie — do obozu prosi.

WIŚNIOWIECKI

*(patrzy mu w oczy. Tatar oczy spuścił).*

Wszakżesz ja hetmanem nie jestem, może  
z regimentarzy którego chce widzieć Han.

SZEFER.

Ciebie — a cóżto wahasz się, czy nie wie-  
rzysz hańskiemu słowu?

WIŚNIOWIECKI.

Mówiłem że regimentu nie mam, więc panom  
Regimentarzom doniosę co się stało, i podług ich  
rozkazu postąpię.

SZEFER *(do siebie)*.

Dumny gjaur, i dobrzeby było w obozie go  
zatrzymać, bo inaczej tu długo stać możem.

Scena II.

Na Zbarażu. Cella ojca Jana.

OJCIEC JAN — STARA KSIEŻNA — WIŚNIOWIECKI.

(*Słuchać huk dział.*)

OJCIEC JAN (*sam*).

Oswoiło się ucho z odgłosem tym — z początku bywało, na huk dział się odzywa dawny człowiek, i serce biło mocniej — dziś mi już nie przeszkadza o Bogu myśleć. Panie, Panie! za lud twój błagam Ciebie, nie podawaj nas w ręce nieprzyjaciół. Ciężkie są nasze winy przed Tobą — obrażają bez miary Ojca płoche dzieci, ależ i silna chłosta twoja Panie — męczą nas, zarzynają jak bydło, pędzą w ciężką niewolę daleko, daleko — naigrawają się z nas nieprzyjaciele nasi. Panie, chłostaj nas, biczuj nas, ale ratuj kraj — niech on nie cierpi za winy nasze. Wszakżeż i oni Panie już dawno przebrali miarę nieprawości, i podnoszą dumno czoło bluźniąc sprawiedliwości twojej. Panie coś jest strasznym dla hardych, a pokornym kazałeś ufać w siebie, zmiłuj się nad nami! Panie, Panie! za lud twój błagam ciebie, nie podawaj nas w ręce nieprzyjaciół. (*Moment milczenia — huk dział się zmniejsza — słychać stukanie do drzwi.*) *Intra mi filii.* (*Wchodzi STARA KSIEŻNA.*) A, to ty Pani jesteś.

STARA KSIEŻNA.

Chciałam was ojciec odwiedzić przed godziną modlitwy.

OJCIEC JAN.

Dziś silniejszy niż kiedy bój się zdaje.

STARA KSIEŻNA.

Nadaremnie się siłą oni — Bóg z nami — nie oni nie dokażą przeciwko mocy jego. Alboż i to nie palec Boży, ojciec, że zbieg jakiś przestrzegł dziś rano pana Wojewodę, żeby nie jechał do ich tam obozu, bo go zatrzymać chcą a tu napaść.

*(Huk dział ustaje.)*

OJCIEC JAN.

I w rzeczy samej potężnie nastąpić musieli — ale coś już ustaje huk dział. Tak, jeszcze raz palec Boży — rzekł Pan bałwanom morskim, nie iść wam dalej, i cofnęły się rycząc w głębiny.

STARA KSIEŻNA.

Panie, Panie! długoż mię tu jeszcze trzymać będziesz. Dziś więcej niż kiedy to czuję, jak próżno zalegam tu miejsce — ludziom rycerskim zawadą. Już mi ni rannego opatrzyć, ni słabego nawiedzić, a tylko niegodne modły nieść za pomysłność korony polskiej. — Panie, Panie! wezwijże mię co prędzej do chwały twojej. *(Zegar bije 4tą.)* Czas na modlitwę — bądź mi zdrów ojciec *(Odchodzi.)*

OJCIEC JAN *(sam).*

Tak, spokojność w jednym Bogu jest. Oto niewiasta słaba, latami zwątlona, że ufa w Panu,



i w najokropniejszej chwili ani strach, ani obawa nawet nie przystąpią do niej. (*Stukanie do drzwi.*) *Intra mi filii.*

(*Wchodzi WIŚNIOWIECKI w zbroi, hełm zdejmuje i stawia na stole, sam siada zmęczony.*)

WIŚNIOWIECKI.

Jeszcze raz odegnaliśmy ich... Widać że Król nadchodzi ojcie, bo i Han i Chmielnicki zaraz po bitwie z czołem wojska odeszli.

OJCIEC JAN.

Więc odetchniem czas jakiś.

WIŚNIOWIECKI.

To co zostało i Czerni i Kozactwa i ordy, obsacza nas jak dawniej. Chciałem nastąpić na nich — kazałem, i nikt się z miejsca nie ruszył — chciałem ich zmusić, ale jak dzielność wlać w drugich, kiedy jej samemu nie staje.

OJCIEC JAN.

Chyba żartujesz ze mnie, Panie.

WIŚNIOWIECKI.

Nie, ojcie — już to od dosyć dawna czuję, że mi coś tak jak gdyby życie ustępowało — lekarzy się radziłem, ale oni nie rozumieją tego — duchownego lekarza mi trzeba, bo w duszy choroba. Od Pilawieckiej mnie tu ołowianemi kroplami spadają wszystkie klęski ojczyzny — tu krzywdy moje, i te tu wysilenia się nasze, co jednym na zdrowie padły, że zapadli obłożnie, innym na myśl i wolą, że zdziecinnieli prawie, i są mi posłuszni jak dzieci bakalarzowi — chcąc

niechcąc w duszę mi poszły. Zda się że zdrów jestem w sobie i myśl mam jasną jak zawsze, i dzielny nibyto jestem w polu, a czuję że się żywot wytrawia we mnie. Jeszczeżto jako tako było póki czułem że na mnie cała waga wypadków tych, ale dziś kiedy się brzemię to na Króla i na tamte wojsko przewala, czuję że mi dusza drętwieje, Boję się ojczy, ufności w sobie nie mam — czuję że mnie dziecko wywrócić może. Boję się, radź mi ojczy, bo inaczej zginiemy tutaj.

OJCIEC JAN,

Spokojności ci trzeba synu.

WIŚNIOWIECKI.

A gdzież ja tu spokojność znajdę?

OJCIEC JAN.

Spokojność nie tu albo tam, nie na tej albo owej grudce ziemi — spokojność w Bogu jest — więc pojednaj się z Panem, ukorz się, wyznaj mu winy twoje z głębi serca — zajrzyj tam do brze. Wy ludzie świata w ciągłym fałszu życie; — pochlebcy, przyjaciele, stronnicy wasi dają wam żądze wasze za cnoty; nieprzyjaciele i cnoty wam za złe mają — i jakże tam prawdy dojść? — Ale okiem sumienia zajrzyj w siebie.

WIŚNIOWIECKI.

Ja człek wojenny jestem ojczy, a w tym zawodzie nie widzę ja u siebie rzeczy, za którebym się zawstydził przed Bogiem.

OJCIEC JAN.

I świętych pańskich wielu wojownikami było,

a jednak z Panem szli. Ale ty Jeremi Wiśniowiecki panem byłeś wielkiej części ludu tego, co dziś przeciw nam. A byłże bez krzywdy lud ten, a byłż mu zawsze i wszędzie święta sprawiedliwość wymierzona? Za gubernatorów twoich przed Bogiem odpowiedzialny jesteś, jeżliś we dnie i w nocy nie wglądał w czynności — za każdy moment odpowiedzialny jesteś, w którym pasterzu niedbały nie myślałeś o trzodzie ci powierzonej. Jesteś obywatelem ojczyzny, jej winienesz ostatni grosz twój, ostatnią kroplę krwi twojej, a chętnie się z jakichś tam ofiar dla niej. Dąsasz się, że cię ominęły jakieś tam stopnie wasze i emulujesz, a powinność twoja prostym żołnierzem stanąć na obronę kraju. Wodzem wojska jesteś, wojujesz, sądzisz, karzesz, ale każda kropla krwi niepotrzebnie wylanej na ciebie spada, za każdy rozkaz wydany w gniewie przed Bogiem odpowiedzialny jesteś. Chłopstwo zburzone, zbestwione we krwi się naszej kąpie, ale ty Hetmanie, kiedy w zapalczywości swojej rozkażesz wyciąć wieś lub miasto, tysiąckroć bratobójcą jesteś, bo i najostaniejszy z tej mizernej czerni, którą ty dumny gardzisz, jest bratem twoim. Jeremi Wiśniowiecki, potomku rodu mnie drogiego, póki czas ukłęknij, ukorz się przed Panem, i wyznaj przed nim winy twoje z głębi serca.

#### WIŚNIOWIECKI.

Prowadź mnie ojczyzno, prowadź — jak dziecko ojcu, poddaję się tobie (*Kłęka*).

*Kurtyna zapada.*

## AKT V.

### Scena I. i jedyna.

Pod Zborowem.

ŻOŁNIERZE — RZEMYK WOLSKI — KORYCKI —  
PODKOMORZY — później SZEFER-KASSI-AGA —  
KANCLERZ — KISIEL — ZASŁAWSKI — POTOCKI —  
CHMIELNICKI — WYHOWSKI — KRÓL  
JAN KAZIMIERZ.

*(Żołnierski posterunek.)*

GŁOSY *między żołnierzami.*

Pst, Rzemyk widzisz jak się tam patrzą —  
pewno znów ten Tatarzyn przyjedzie.

RZEMYK.

Jakem Rzemyk tak nas szelmy sprzedadzą.  
Korycki koronny zdrajca jak zawsze — a tenże  
tu darmo jeździ i po turecku gada.

GŁOS.

At, bajesz, to Podkomorzy Lwowski.

RZEMYK.

Albo co że Podkomorzy, albożto i panowie  
Regimentarze pod Pilawcami nie zdradzili.

KORYCKI (*do żołnierzy*).

Stać! (*Do Podkomorzego*.) Albo już kończcie te traktacye, albo je zerwijcie do kata — żołnierz się za siebie ogląda, a i tak jużemy pokawili sprawę.

PODKOMORZY.

Tak, tak, ciężki to był poniedziałek, a cięższa jeszcze noc poniedziałkowa.

KORYCKI.

Coś się tak jak na Pilawce zbierało.

PODKOMORZY.

Gdyby nie rezolucya królewska.

KORYCKI.

Tak, jeździł po nocy z pochodniami.

PODKOMORZY.

Więc może i w poniedziałek nie dzielnie stawał.

KORYCKI.

Bił się tak żołnierz prosty, i tego mu właśnie nie chwale.

PODKOMORZY.

Widzę WM. Pan zapomnieć nie możesz Królowi bury poniedziałkowej.

KORYCKI.

A zaiste i sam WM. Pan zauważ, boś to widział. Ja regiment cały z pośrodku ordy wyprowadzam powoli i w porządku, i pochwał się spodziewam...

PODKOMORZY.

A tu bura. A wiesz WM. Pan zkąd bura?

KORYCKI.

Jakżebym wiedział.

PODKOMORZY.

Bo źle stoisz u dworu.

KORYCKI.

Ja i nie bywam wcale u dworu, bo cóżbym tam robić miał.

PODKOMORZY.

Ej, to nie to. Król Jmć piechoty Wejherowi nie dał, a dał Szwedowi swemu jak wiecie.

KORYCKI.

W tem właśnie chyba największa.

PODKOMORZY.

I Król wie że sarkają na to — a żeś WM. Pan był prawą ręką Wejhera, więc jesteś w złej estymie u dworu. (*Zadziwienie w Koryckim.*) Ale waść nigdy dworakiem nie będziesz.

KORYCKI.

A ja to WM. Panu powiem po dawnej zażyłości, że i Król JMć u mnie w niewielkiej estymie stoi. Cóż my to rozumnego robim od początku — zrezolwować się nie mogę, czy czekać na pospolite ruszenie, czy nie czekać i czas drogi na wahanii się tracim. Wreszcie ruszamy się ze Lwowa na odsiecz Zbarańczykom, i na raku leziem dwadzieścia i jeden dni — porządków wszelakich pilnujem, sam JKMość każdego uczy, jak stanąć i z konia się ułożyć, i na skinienie poskoczyć, i drzewo kształtnie złożyć — włoskie błazeństwa niegodne królewskiego maje-

statu — a tu języka nie masz i jak na oślep  
wprzód idziem. Król sam podjazdy wysyła, pod-  
jazdy się pokręca niedaleko i wracają z czem po-  
szły, z niczem. — Żal się Boże takiego wojowania.

### PODKOMORZY.

WM. Pan do Króla urazę masz.

### KORYCKI.

Albo i w sam dzień poniedziałkowy — pod-  
jazdy posyłają, a Bohdanko w Dębniaku siedzi  
i rachuje każdego co się przez groblę przepra-  
wia. No więc napadli na nas z tyłu, w przepra-  
wie — źle zapewne, ale radzić coś trzeba. Wozy  
z grobli zruć w błoto, drogę oczyść i przepraw  
się w tę lub ową stronę — wszakże im dosyć  
czasu dałem, i powoli dosyć cofałem się na wojsko.

### PODKOMORZY.

To też i sukursa później przyszły, i zaraz  
z początku dzielnie młodzianie nasi wpadli na  
Tatary.

### KORYCKI.

Jak w samotrzask — alboż to z pożytkiem  
Rzeczypospolitej, że Balwin Ossoliński, albo Ty-  
szkiewicz, \* albo tam inny jaki szczygieł wleciał  
pojedynczo między Tatary i dał im gardło — na  
prawdę, to tam jeden Sapięha co dobrze szedł.  
Bez rozkazów staliśmy prawie do wieczora, a Król  
się tam samotrzeć z Tatarem ugania, a teraz co —  
cośmy mieli iść na odsiecz Zbarazkim, samiśmy  
w oblężeniu. Dotąd się ladajako bijem, a co da-

lej będzie przy takich komendach i traktacyach naszych, Bóg jeden wie.

#### PODKOMORZY.

To pewna, że nie w świetnem położeniu jesteśmy, i tem bardziej mnie niepokoi, że tu dotąd Szefera-Kassi-Agi nie widzę.

#### KORYCKI.

Tak, radźcie teraz panowie statyści, boście to wy tego piwa nawarzyli. Statystów to co nie-miara mamy — i WM. Pan statystą jesteś, mimo to żeś oberwał pałaszem w poniedziałek — i pan Wojewoda Braclawski statysta, i pan Kanclerz statysta — a żołnierzy to jak najmniej mamy, chyba pan Wojewoda Podolski i Denhoff, a Wejher trzeci — ale tych nie słuchają.

#### PODKOMORZY.

Coś się WM. Pan od tej bury za wszystkie czasy rozgadał — dawniej bywało i dwóch słów dopytać się trudno, a dzisiaj jak z ambony prawisz. (*Z roztargnieniem.*) Statysta — tak obojga próbowałem, ale więcej statystą jestem — mam nawet w polityce jakie takie doświadczenie a właśnie mi się wydało, że to wczorajsze Tatar ustąpienie, znaczy, że chcą paktami kończyć — może się myłę. (*Żywo.*) Tak tak, Szefer-Kassi-Aga jedzie.

#### SZEFER-KASSI-AGA (*wchodzi*).

Cóż to, nie widzę tu ni Kanclerza, ani nawet Kisiela.

#### PODKOMORZY.

Tych panów nie ma tu, bo sądzili z wczor-



rajszego napadu waszego, że traktacye zerwane, ale kiedyście przybyli, to im dam znać.

*(Odwraca się i mówi z Koryckim, który odchodzi.)*

SZEFER.

Han nie wie o tem, to hołota napadła. No, powinniście być kontenci ze mnie, panie Podkomorzy, wiozę wam koniec dzieła.

PODKOMORZY.

To też i wdzięczność nasza będzie taka jak się deklarowało — więc cóż?

SZEFER.

Naprzód haracz, który sobie w Kamieńcu każdego roku odbierzem.

PODKOMORZY.

O haraczu nie wspominajcie nawet — żołąd, pensya.

SZEFER.

O wyraz nam nie idzie.

PODKOMORZY.

Cóż dalej?

SZEFER.

Czambułów żadnych brać i zagonów robić nie będziem — tak?

PODKOMORZY.

Tak.

SZEFER.

A król wzajem na intencyą Hana, Zaporozkiemu wojsku odpuści — to się znaczy pakta od niego przyjmie.

PODKOMORZY.

Tak, tak stanęło było — a też pakta?

SZEFER.

Tak jako układ był.

(*Podaje mu papier — Podkomorzy czyta.*)

PODKOMORZY (*czytając*).

Dawne przywileje wojska Zaporozkiego nowym dyplomatem zatwierdzone będą. — Dobrze. — Komput rejestrowych w grodzie Kijowskim czterdzieści tysięcy.

SZEFER.

Więcej macie sług niż wam trzeba.

PODKOMORZY.

Tak, to za waszą protekcyą — ale pamiętajcie, że młodzi wilczkowie póty ssą kozę, póki młodzi, a jak urosną, to swoją mamkę rozszarpia. — Zaciągi Kozaków z królewszczyzn tylko, bez przyjmowania poddanych szlacheckich; wolno wszakże każdemu z tychże przenieść się do dóbr królewskich, dopóki registr komputowy zakończony nie będzie. — Hm, a kiedyż to zakończony będzie?

SZEFER.

To wasza rzecz.

PODKOMORZY.

Hyberny i stanowiska wojskowe w tych tam województwach, na Kozaków tylko a nie na inne wojska Rzeczypospolitej. — Hm, to jest, że Hetman Zaporozki *de facto* w posiadaniu tamtego kraju zostaje.

SZEFER.

Gdybyście na Kudaku pakta pisali, toby inaczej było.

PODKOMORZY.

Tak, tak, za protekcyą waszą. Wszakżeż Hanowi JMości jako panującemu wiedziećby należało, że rebellia może być bez przyczyny, ale nie powinna być bez kary. — Przywileje dawne cerkwi ruskiej. — Dobrze, dobrze. — Urzędy w Województwach: Kijowskiem, Braclawskiem i Czernichowskiem tylko szlachcie *ritus graeci* starej wiary. — Tak, tak, pan Wojewoda gniewać się nie będzie, ale wrzaski będą.

SZEFER.

Jeszcze sekretny artykuł.

PODKOMORZY.

A widzę, widzę — i o sobie nie zapomniał Bohdanko. — Czechryńskie starostwo dla Hetmana Zaporozkiego. — Jest hetman będzie i starosta. To siedzenie Metropolity w senacie — hm, hm, będzie wrzasku wiele. Tak, wszystko jak powiedziano było — a deprekacya.

SZEFER.

Hetman z starszyzną upadną do nóg Królowi.

PODKOMORZY.

Więc sobie tymczasem rękę podać mogę.  
(*Podają sobie ręce — na stronie*) Biedny Hrehory, jeżeli żyw, to go zobaczymy jeszcze.

(*Na to nadjeżdżają: KANCLERZ, KISIEL, ZASŁAWSKI, POTOCKI REWERA i wielu panów.*)

KANCLERZ.

Więc widzę przyjaciółmi sobie jesteście —  
znak dobry.

PODKOMORZY.

Mam szczęście do Muzułmanów. I Ibrahim  
cesarz świętej pamięci...

KANCLERZ (*sięga ręką po papiery*).

Pokaż WMPan. (*Podkomorzy oddaje mu pa-  
piery, Kanclerz czyta, oddaje Kisielowi, i tak je kilku  
porządkiem przezierają.*) Zawszem ja to mówił, że  
jako przymrozkiem nocnym wody szkłem się stają  
a za słonecznym upałem znowu topnieją, tak re-  
belia zawziętością nadętą, za blaskiem majestatu  
pańskiego zmiękczeje, i do weneracyi Pana ustra-  
szona nakłoni się. (*Do jednego z przybocznych  
półgłosem.*) Bież WMość przestrzeż Króla co się  
dzieje, i proś go aby tu zjechać raczył.

ZASŁAWSKI.

Szkoda że już nie masz na ziemi Strażnika  
biednego, żeby się z nami ucieszył z sukcesów  
tych.

(*Podkomorzy rozmawia na boku z Szefer-Agą.*)

POTOCKI (*przejrzawszy papier*).

Śmiechu warte reuera — więc potośmy tu  
przyszli. Zważ WMPan, że to Bohdankowi Ukrainę  
oddajem.

KANCLERZ.

Prawda, ale i czasy WMPan zważ — na  
Karola Angielskiego patrz, idącego na rusztowa-  
nie za sprawą gminu — na Mazaniela w Nea-

politańskim królestwie — na pospólstwo w Paryżu buntujące się — na Rakocego w Węgrzech, a powiesz że z tego tu naszego tanio wychodzimy.

#### POTOCKI.

A wszakżeż to WMPan sam życzyłeś sobie na tem pospólstwie się oprzeć, dla królewskiej władzy ugruntowania. Żal się Boże revera.

#### KANCLERZ.

Panie Wojewodo, każdy człek w zdaniu mylić się może, i byle z czystego przekonania radził, czystym jest. Wszakżeż nie sędzę ja, żeby w Rzeczypospolitej już nic do poprawy nie było, i żeby władza królewska silnie stać miała na naszej prywacie, szlacheckiej swawoli i pospolitem ruszeniu.

#### KISIEL.

I nie sędź już WMPan panie Wojewodo, żeby i Ukraina straconą była. Być to nie może żeby Chmielnicki nie widział dokąd zaszedł, i na niego i na starszyznę silne wpływy mieć można.

#### POTOCKI.

Daj to Boże panie Wojewodo, wasza to robota będzie, bo komuż wojewodą kijowskim być — chociaż revera więcej ja na Litwę rachuję i na Radziwiłła, niż na dobre chęci Chmielnickiego.

#### KANCLERZ.

A właśnie od Radziwiłła dobre nowiny dziś mamy.

#### GŁOSY.

Co, co, z Krzeczowskim — a Podubajło co?

KANCLERZ.

Pisze Radziwiłł do Króla, (*oddaje do przejrzienia list*) że kiedy na dywizję Niewiarowicza z Mirskim i Gąsiewskim za ciężko było dźwigać całego Krzeczowskiego, i już pod Gąsiewskim konia rohatyną zabito, i Litwa do Rzeczycy cofać się chciała, nadbiegł Pawłowicz z Komorowskim, co na Mozyr ordynowani byli, przywrócili bitwę.

POTOCKI (*po przeczytaniu*).

Revera, że wszystkim się udało — sprawa nieszczęść wszystkich Krzeczowski, wzięty z taborem.

GŁOSY.

Żywcem?

KANCLERZ.

Ciężko ranny, żył godzin kilka — a Litwie litującej się, odpowiadał bijąc łbem o ścianę.

GŁOSY.

Zakamieniała bestya — a Podubajło?

KANCLERZ.

Podubajło rozbity w rozsypkę poszedł.

SZEFER.

I nasze nowiny zgodne.

POTOCKI (*do Podkomorzego*).

Więc to revera Radziwiłł napędził Tatar do zgody?

PODKOMORZY.

I na Zbarazczyków się oglądali. — Mówił mi właśnie Szefer-Kassi-Aga, że w ich narodzie jest gadka, że pod Zborowem uciekało dziesięciu

Polaków przed jednym Tatarem, a pod Zbarażem dziesięciu Tatarów przed jednym Polakiem — nie pochlebne to dla nas.

POTOCKI (*żywo*).

Tam Jędrzej mój.

KISIEL (*przeczytawszy*).

Pięknieto pisze pan Hetman Polny, w krótkości mówi o azardach swoich i odwadze wojska, a wszystko łasce Bożej i szczęściu królewskiemu przypisuje.

PODKOMORZY (*do Potockiego*).

A to po prostu mówiąc, Kiszce za życia chce wydrzeć wielką buławę.

POTOCKI.

Revera, Król nie pozwoli na to.

GŁOSY.

Otóż i Chmielnicki jedzie z starszyzną, a jak daleko z konia zsiada — pokorny teraz.

(*Nadchodzi CHMIELNICKI, WYHOWSKI i inni, niosąc kotłaki w rękach — Chmielnicki skruszony, nisko się kłania Kanclerzowi.*)

CHMIELNICKI (*cicho do Szefera*).

Ago, zerwij tu z niemi, wszakże Hanowi dać mam pięćkroć sto tysięcy talarów bitych — zerwij z nimi, oni tu i trzech dni nie wytrzymają.

SZEFER.

Han ci nie wierzy Ago, takeś i o Zbarazkich mówił — a tu i Litwa was oczesała, i Zbaraż za nami, i pospolite ruszenie lada dzień nadejść może. Nie zerwę, a ty się ukorz jak należy.

CHMIELNICKI.

O! gdyby Tuchy był żył, nie tak by się to było skończyło.

KISIEL (*do Chmielnickiego*).

I cóż, Hetmanie Zaporozki, krwi chrześcijańskiej przelałeś co niemiara, a takie same pakta dawałem ci w Perejaślawiu.

CHMIELNICKI.

Żałuję panie Wojewodo, ciężko żałuję za winy moje — wszakżem to ja z młodości królom panom wiernie w wojsku służył, więzienia i rany w boju ponosił — a oskarżony później fałszywie z nienawiści nieprzyjaciół moich, jakoby konspiracyje miał czynić, rad nie rad musiałem się zrezolwować na wojnę. A teraz cię upraszamy panie Wojewodo, abys pokorne prośby nasze o życie i łaskę zaniósł przed majestat pański.

GŁOSY.

Król! Król!

(*Wchodzi buńczuczny z buńczukiem, za nim KRÓL JAN KAZIMIERZ i DWÓR.*)

KANCLERZ (*do Króla*).

Stało się, że wielkie imie i szczęśliwa gwiazda WKMości położyły nareszcie koniec wojnie trapiącej Rzeczpospolitę. Oto Han Krymski Islam Gierej, pomny dobrodziejstw sławnej pamięci niegdy Władysława IV, wielkiego Króla naszego a brata WKMości, przysyła WKMości wezyra swego z punktami pokoju, przez który chce być jak dawniej wiernym sprzymierzeńcem Rzeczpospolitej.



### KRÓL.

Przyszedłem tu z WMPanami, ja król wasz rycersko za ojczyznę stawać, i orężem dobijać się pokoju — a więc miłem jest mi to posłannictwo Krymskiego Hana, i uprzejmie witam posłańca, który mi tę różczkę oliwną przynosi.

### KISIEL.

A oto Hetman i starszyzna wojska Zaporozkiego, ciężko obraziwszy majestat WKMości, przychodzi do stóp jego, prosząc o życie i łaskę.

*(Król surowo patrzy — Chmielnicki z starszyzną padają do nóg królowi.)*

### CHMIELNICKI *(westchnąwszy)*.

Dawno już życzyłem sobie upaść do nóg WKMości, pana mego miłościwego. *(Płacze.)* Za występki nasze u nóg pańskich dopraszamy się odpuszczenia i niepamięci onych. Sądzymy się, że nie godniśmy klemencyi WKMości, jednak mamy nadzieję, że namiestnikiem Boskim na ziemi będąc, bardziej do miłosierdzia niżeli do ukarania występków naszych skłonisz się. *(Płacze.)* Sam Bóg skruszone serca przyjmuje.

### KRÓL *(który stopniami złagodniał)*.

Bogu was sądzić będzie za tyle krwi przelanej. Ja wierzę w skrucę waszą, i wierzę że stateczną wiernością ku Rzeczypospolitej, nagrodzicie choć w części popełnione przeciwko niej zbrodnie — a nie daj Boże abym się na was zawieść miał. W imie Zbawiciela puszczam w niepamięć winy wasze.

WYHOWSKI.

Niech żyje król Jan Kazimierz! godny brat sławnej pamięci ojca i dobrodzieja naszego Władysława IV, obrońcy prawowiernej cerkwi!

GŁOSY.

*(ze strony Kozaków jako i Szlachty i Panów).*

Niech żyje Król! Niech żyje ojciec korony — ojciec Rusi — niech żyje!

KRÓL *(półgłosem do Kanclerza).*

Więc wyślej WMPan kogo nie tracąc i minuty, do mizernych Zbarazczyków z tem, że już wolni są.

KISIEL *(półgłosem do Chmielnickiego).*

Słyszysz, to związek Rusi z koroną — i biada ci, Hetmanie Zaporozki, jeśli go jeszcze raz zerwiesz!

*Kurtyna zapada.*

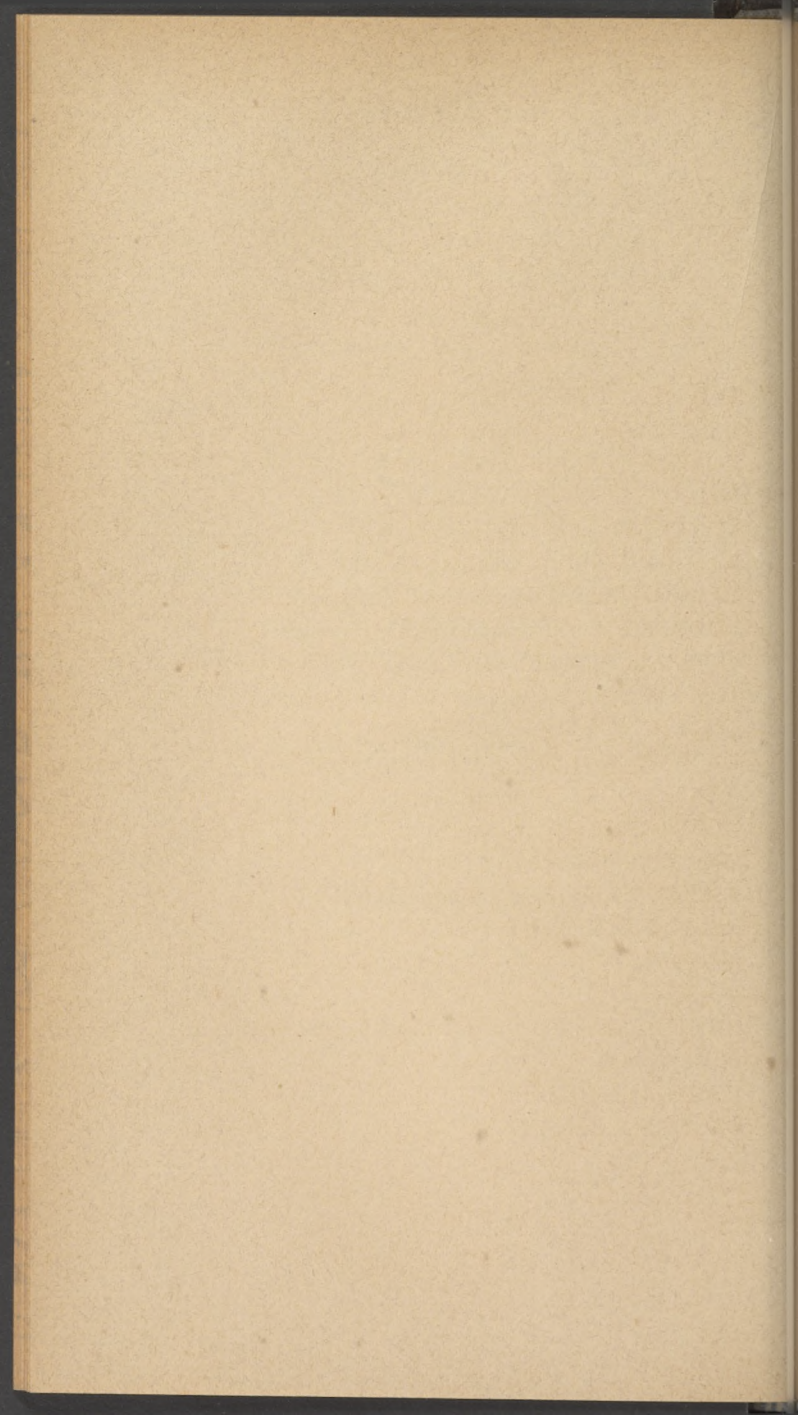
KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

# JEREMI WIŚNIOWIECKI.

SCENY DRAMATYCZNE Z XVII WIEKU.

---

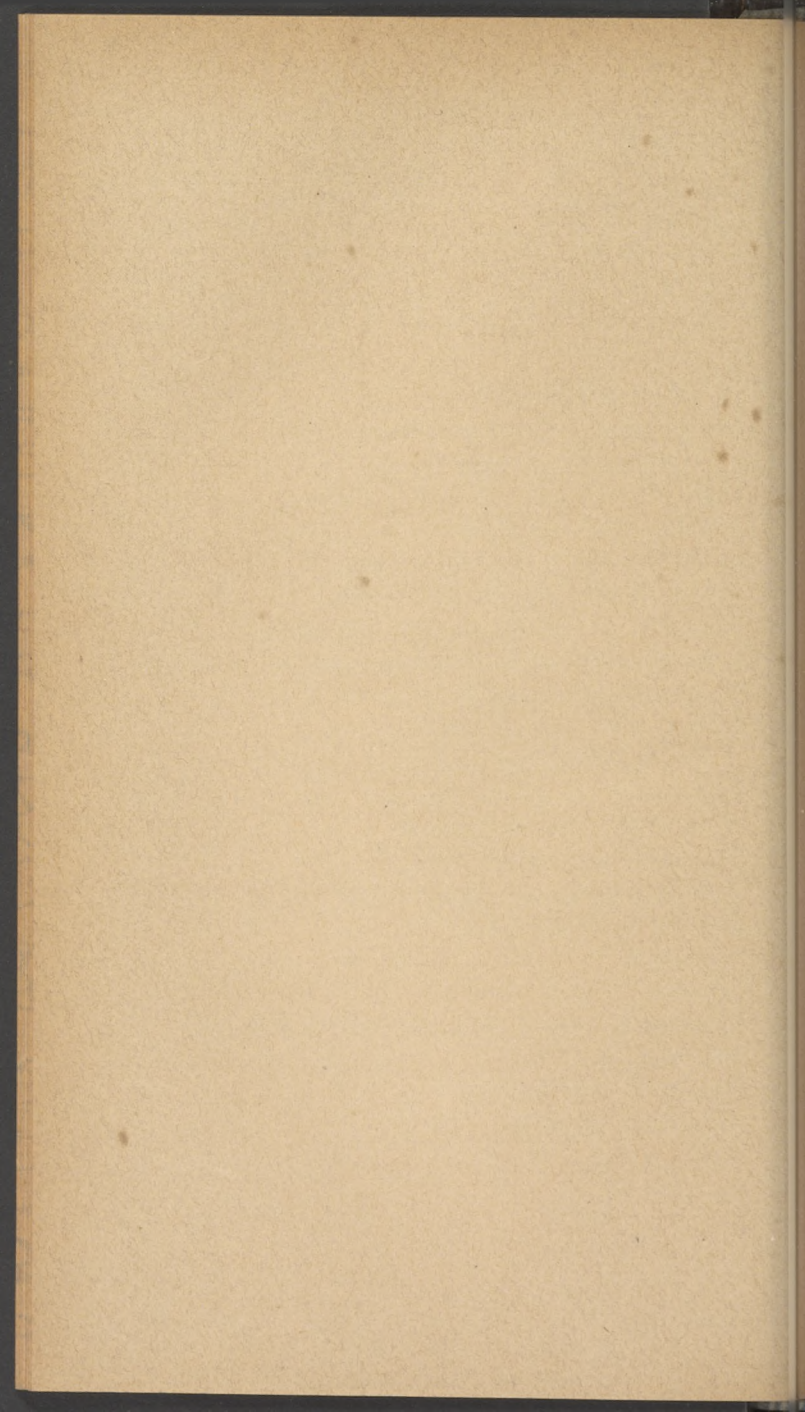
CZEŚĆ II.



## O S O B Y.

---

- JAN KAZIMIERZ, Król.  
WIŚNIOWIECKI, Wojewoda Ruski.  
KONIECPOLSKI, Chorąży koronny.  
POTOCKI Revera, Wojewoda Podolski.  
KISIEL, Wojewoda Kijowski.  
Ks. ZASŁAWSKI, Koniuszy koronny.  
MIASKOWSKI, Podkomorzy Lwowski.  
KORYCKI, Pułkownik chorągwi Ordynackiej.  
SEMEN, Dowódzca Kozaków nadwornych Wiśniowieckiego.  
TOWARZYSZ, z chorągwi Wiśniowieckiego.  
TASZYCKI, z chorągwi Firleja.  
RZEMYK WOLSKI, z chorągwi Ordynackiej.  
CHMIELNICKI, Hetman Zaporozki.  
WYHOWSKI, Pisarz Zaporozki.  
DJACZEK, przy Chmielnickim.  
SZEFER-KASSI-AGA, Wezyr Hański.  
KSIĄDZ JAN, Bernardyn.  
KANONIK.  
DOKTOR.  
GRYZELDA, z Zamoyskich, żona Wiśniowieckiego.  
ŻOŁNIERZE.  
POSPOLITE RUSZENIE.  
GŁOSY NA SEJMIE.
-



# AKT I.

## Scena I.

W Kijowie u Hetmana 1650 roku.

CHMIELNICKI — DJACZEK — później WYHOWSKI —  
KISIEL.

CHMIELNICKI.

No, i cóż Djaczku przeklęty?

DJACZEK.

Nu, nu.

CHMIELNICKI.

I cóż tam ludzie gadają?

DJACZEK.

Nu, nu, ot naród gada — nu, nu, na pakta  
Zborowskie gada.

CHMIELNICKI.

To dobrze, to dobrze, Djaczku przeklęty.

DJACZEK.

Nu, nu, i żeście ich panowie starszyna, nu,  
nu, na powrót Lachom oddali — na męki.

CHMIELNICKI.

I to dobrze, Djaczku przeklęty.

DJACZEK.

Nu, nu, i żeście im pogłównie zaśpiewali.

CHMIELNICKI (*zrywając się*).

Durny naród. Cóż to oni chcieli żeby ich Tatar darmo wybijał z niewoli lackiej — durny naród. To chybaś im nie mówił maszkaro, iżem ja ze szkatuły własnej wyliczył Hanowi pięćkroć sto tysięcy talarów bitych.

DJACZEK.

Nu, nu, to oni mówią, że kiedyście mogli dać tyle, to mogliście dać i więcej — nu, nu.

CHMIELNICKI.

Durny naród — ale płacą?

DJACZEK.

Nu, nu, Kozacy exekwują dobrze — nu, nu. (*Uśmiecha się.*) Chi chi! — Nu, nu. Ale tylko im pozwólcie nu, nu, poigrać z Lachami co powracali, to nu, nu będzie zgoda.

CHMIELNICKI (*mrucząc*).

Poigrać, poigrać — a kto z wojskiem lackiem poigra? Tożto pod Zbarażem nie lekko było — i z Litwą. (*Do Djaczka.*) A po pułkach byłeś?

DJACZEK.

Nu, nu.

CHMIELNICKI.

No i cóż Kozacy i panowie starszyzna?

DJACZEK.

Nu, nu, każda bestya jak się naje, nu, nu, a napije, to chce spać.



CHMIELNICKI.

Tak, tak, wiem ja to, wiem. A to Tatarom Moskwa w głowie — a Turek z Wenetami się bawi. Oj panowanie, panowanie. — To raz ci wszystko jak z płatka idzie, a drugi raz jak z kamienia wszystko.

DJACZEK.

Toż z Lachem przecie pakta macie, nu, nu.

CHMIELNICKI.

Pakta, pakta — majątki panom oddać, a zganiają tam co można do mnie.

DJACZEK.

Nu, nu, i bydło i pasieki, wszystko — nu, nu, żaden Laszek i kota nie zastanie za piecem.

CHMIELNICKI.

Choć się to zostanie w najgorszym razie.

DJACZEK.

Nu, nu, a byłem w Mliawie.

CHMIELNICKI.

I cóż?

DJACZEK.

Za Potasze do Wołoch dają dwakroć sto tysięcy talarów bitych.

CHMIELMICKI (*zrywa się*).

Tak pakta — majątki panom oddać, i Mliaw Koniecpolskiemu i Wiśniowieckiemu dwieście wsi, a ten mi tu Kisiel na karku siedzi z egzekucją.

DJACZEK.

To go odprawię, nu, nu.

CHMIELNICKI.

A kto z wojskiem lackiem poigra, barania głowo.

DJACZEK.

Nu, nu, to mu gruszki na wierzbie pokażcie.

CHMIELNICKI.

Ba, już minął czas — do czasu wierzył.

DJACZEK.

Nu, nu, uwierzy.

CHMIELNICKI.

At głupis — a tu ten mi na karku siedzi, a może i co z pułkowniki albo starym metropolitą praktykuje.

DJACZEK.

Nu, nu, u Neczaja byłem.

CHMIELNICKI.

I cóż?

DJACZEK.

Tam u niego dużo gości jest — nu, nu, wszystkie opryszki co się w kompucie nie mieszczą — nu, nu, a wrzeszczą że aż strach.

CHMIELNICKI.

No i cóż?

DJACZEK.

Nu, nu, i poradziłem Neczajowi żeby na ich czele stanął. (*Chmielnicki zrywa się.*) Nu, nu, i do was napisał grożąc.

CHMIELNICKI.

Bunt, bunt! — A ty, maszkaro! chcesz żebym ci ten bezecny łeb z karku zdjął. (*Przechodzi się —*

*pó pauzie.*) Ha — tu, toby mi tu nie źle było, i Kisiel by mi zmięknął i starszyzna by się mnie trzymała.

DJACZEK.

Nu, nu, a z Neczajem to sobie jakoś rady damy — nu, nu, jak się prześpi.

CHMIELNICKI.

Gdzie list?

DJACZEK (*pokazuje mu koniec z zanadrza*).

Nu, nu.

CHMIELNICKI.

Ot spojrzeć, małpa — (*sztuka mu w głowę*) a w tej małpiej głowie więcej oleju, jak u dzieściu duków i senatorów.

DJACZEK.

Nu, nu, chi chi chi chi!

CHMIELNICKI.

Dam czerwońce, Djaczku przeklęty, dam.

DJACZEK.

Nu, nu, serce — nu, nu, dobrodzieju. (*Całuje go w ręce z wielką uniżonością.*)

CHMIELNICKI.

Podajno mi gorzałki, biesów synku. (*Djaczek przynosi gorzałki w srebrnym puharze — pokazując puhar.*) Ot pani moja; ja Ukrainie panuję, ja Lachom twardo panuję, a ona nademną panem, ma panowanie... Ale nie — weź precz, chcę na trzeźwo z Kisielom się spotkać. Weź, sam się upij — dzisiaj cię potrzebować nie będę.

DJACZEK.

Chi, chi! nu, nu. (*Całuje go w ręce.*)

CHMIELNICKI.

A list niech mi oddadzą jak będę w rozhorze z Kisiem.

WYHOWSKI (*wychodząc*).

Czołem panie Hetmanie.

CHMIELNICKI.

Czołem.

WYHOWSKI.

Z Turek nowiny przyszły.

CHMIELNICKI.

I cóż?

WYHOWSKI.

Pisze Dzudziało, że już w Stambule stanął.

CHMIELNICKI.

Więcej nie?

WYHOWSKI.

Nic... Ale z Moskwy nowiny ważne.

CHMIELNICKI.

No.

WYHOWSKI.

Kazał cię Car uwiadomić, że już ma wysłać posłów do Króla — Trubeckiego i Puszkina.

CHMIELNICKI.

No.

WYHOWSKI.

Którzy jadą traktat Polanowski zrywać i wojnę wypowiadać.

CHMIELNICKI (*chodząc — na stronie*).

A teraz byle mi Dziedziało dopisał, drżycie Lachy.

WYHOWSKI.

No to na teraz dobrze, ztanieją nam panowie, i coś jeszcze do paktów Zborowskich wytargujem — ale dalej?

CHMIELNICKI.

Co dalej?

WYHOWSKI.

Wypada nam zerwać te nasze z Carem przyjaźni i pójść na Moskwę — bo Król każe, Tatarzy poproszą, a starszyzna nasza nie chce paktów Zborowskich zerwania.

CHMIELNICKI.

Starszyzna zechce to co ja każe, panie Pisarzu, bo starszyzna wie dobrze, że kto mnie nie usłucha niedba widno o głowę swoje.

WYHOWSKI (*na stronie*).

Oj gdyby choć raz była zgoda w starszyźnie, dośćby ci już było panowania tyranie przekłętą. (*Głośno.*) Ja mówię co jest, Hetmanie — rada nie zdrada.

CHMIELNICKI.

To też wam nikt nie mówi o związkach z Moskwą — i owszem tak jako chce starszyzna, tak i my chcemy pakta Zborowskie do skutku przywieźć — a że się na wojnę zanosi, a jak dobrze mówicie, Król każe a Tatarzy poproszą, więc się nam trzeba na Moskwę uzbroić, i zaraz rozkazy wydajcie żeby pułki w gotowości były.

DJACZEK (*wchodząc pijany*).

Pst... pst... posłowie! posłowie! — a prościeno ich Panowie, żeby nam pozwolili z Lachami poigrać.

CHMIELNICKI (*ostro*).

A nie pójdziesz ty mi zaraz spać, mazgaju.

DJACZEK.

Nu, nu, pójdę, pójdę — czego się gniewać.  
(*Chmielnicki go za drugie drzwi wypycha.*)

KISIEL (*wchodząc*).

Witam was, Zaporozki Hetmanie, w naszej ruskiej stolicy — witam was, panie Pisarzu. (*Witają się.*) Radem podwójnie przybyciu waszemu, Hetmanie, bo już czas zaprawdę doprowadzić do końca pakta Zborowskie.

CHMIELNICKI.

Wszak wiecie sami, panie Wojewodo, jak ja gorąco pragnę tego.

KISIEL.

Tak przynajmniej sądziłem z początku, ale teraz słuchajcie, panie Hetmanie: Król szczerze ufa że WMPan jemu wierny i życzliwy poddany jesteś — mnie jakoś z WMPanem w dawnej zażyłości będącego, na to województwo, osadza, i komisarzem z instrumentem do WMPana wysyła, w pewnej nadziei, że szczerze doprowadzisz do skutku świeżo zaprzysiężone pakta.

CHMIELNICKI.

Łatwo powiedzieć.

KISIEL.

Przyjeżdżam, a za mną szlachta nieboracy

z dóbr rugowani. WMPan klniesz się, przyrzekasz wszystko do skutku doprowadzić, byle komput kozaackich pułków zakończyć.

CHMIELNICKI.

A wszakżesz trzeba było wiedzieć, które dobra szlacheckie a które królewskie.

KISIEL.

Dobrze, więc szlachcie radzisz aby na miesiąc na Wołyń odjechali — i zapłakawszy odjechali nazad, zaledwie się który mógł dotknąć granic fortuny swojej. Czekam Październik cały — tak?

CHMIELNICKI.

Tak.

KISIEL.

I pół Listopada mija, i znowu przychodzę do WMPana.

CHMIELNICKI.

Tak, i wprowadzam cię do Kijowa abys jako Wojewoda zajął stolicę swoją — a szlachtę do do dóbr wprowadzam i posłuszeństwo im przykazuje. Czyż chcecie więcej?

KISIEL.

A ledwo szlachta do dóbr wkroczyła, chłopstwo znowu do buntu, i zabija ich gdzie może — a wy na to nic, panie Hetmanie. Tu do Kijowa ich nie wpuszczają z rozkazu twego, na przedmieściach się tułają niebożęta, tam drogość nadzwyczajna, co kto jeszcze miał, do reszty się wyiskrzył — toż to pakta Zborowskie?

CHMIELNICKI.

A cóż ja na to poradzę, że chłopstwo panów mieć nie chce.

KISIEL.

Słuchajno panie Hetmanie, oto jest list od Metropolity najprzewielebniejszego, i jeżeli on gło-wa kościoła naszego nie zmiękczy serca twego, odjadę, bo już żadnej nadziei w wierze twojej mieć nie będę.

CHMIELNICKI (*na stronie*).

A co nie mówiłem, że tam uderzy zdrajca przekłety. (*Oddaje list Wyhowskiemu.*)

WYHOWSKI (*czyta*).

„Jużem się ja dosyć wysłużył WMPanie Hetmanie, dziś jużem stary i pracować nie mogę, i warto żebyś też WMPan dla mnie coś zrobić chciał. Oto upraszam WMPana zakończ też Waszeć ten interes, abys imieniu swemu u Króla i Rzeczypospolitej zjednał wieczną obligacyę i od Boga błogosławieństwo otrzymać mógł nad twemi dziatkami. Uśmierz krwi rozlanie i lzy wygnañ-ców zatamuj, bo te płyną na duszę twoją z oczu ludzkich. Przedtem mieli się jak drudzy, opły-wali w fortunie a teraz kawałka chleba nie mają, a to przecież nasi współbracia, bo teje wiary błahoczestywej co ty i ja panie Hetmanie — w urąganiu i łzach dni swoje prowadzą, drudzy z głodu poumierali, wielu chłopstwo pomordowało — na to Bóg patrzy i pomstą odgraża.

Sylwester Kossów.“

CHMIELNICKI.

Ze mnie, panie Wojewodo, żadnej zwłoki nie



macie, ale ten interes jest ciężki, że się równa z grubym i wysokim dębem, który nim wzrost wieku trzeba było czekać.

KISIEL.

Czegoż WMPan chcesz, już komput rejestrowych skończony.

CHMIELNICKI.

To bo to żeście mnie panowie Polacy pod Zborowem do niesłusznych rzeczy przymusili, decydowawszy aby tylko czterdzieści tysięcy komput Kozaków był — a tak wielką liczbę ludzi gdzie podziać, która z desperacyi albo na Polaków, albo na mnie się rzuci.

KISIEL.

Każda wojna ogon za sobą ciągnie, a szczególnie domowa — to pewna, że i opryszków jest dosyć i innych wielu co niechętnie od swawoli do pracy przejść zechcą, ale na to silną rękę WM. Pan masz panie Hetmanie, kiedy chcesz.

CHMIELNICKI.

Tożto do stu tysięcy w kompucie się nie mieści. (*Skrobie się w głowę.*) Ot prawdę rzekłszy, gdzie największa do pokoju zawada, Wiśniowiecki i Koniecpolski — bo mieć tak potężnych panów w Ukrainie, to trzeba wojnę prowadzić. I nie lepiejzeby było raz na zawsze te ich ogromne w Ukrainie dobra onym odebrać i Kozactwem osadzić, to i wojny nie będzie, i deportacyi nie będzie.

KISIEL.

To znowu nowe pakta, panie Hetmanie, a nie

Zborowskie — tymczasem się Zborowskich trzymamy.

CHMIELNICKI.

To też ja nie obstaję przy zdaniu mojem.  
(*Wchodzi Kozak z pismem.*) Co to?

KISIEL.

To od Neczaja z piórkem przysłali, więc pilno.

(*Oddaje pismo i odchodzi — Chmielnicki oddaje pismo Wyhowskiemu.*)

WYHOWSKI (*czyta*).

„Zebrało się tu do mnie coś tak jak ze czterdzieści tysięcy mołojców coś ich w kompucie niepomieścił panie Hetmanie — zasłużonych sobie porzucasz panie Hetmanie, na okrucieństwo Lachów wydajesz tych, którzy cię bronili, i których przysięgłeś nieodstępować. Imie pokoju jest to zdrada, a pod płaszczykiem pomiarkowania kryje się pomsta i oszukanie, abyś dyzarmowany i straciwszy wiernych sobie żołnierzy, prędzej mógł zginąć, to będziemy takiego szukać, który wierniej i z lepszym staraniem kozackie imie zaszczycać będzie.

Neczaj.“

(*Wyhowski oddaje list Kisielowi, który go przepatruje w milczeniu.*)

CHMIELNICKI.

Coś to podobno na mojem staję, panie Wojewodo. (*Pauza.*) Co będzie to będzie panie Wojewodo, ja w każdym razie z wami, i pakta Zborowskie do skutku doprowadzę; a naprzód przestrzeżcie Króla, że wiem z pewnością, że z Moskwy po-

słowie będą Puszkin i Trubecki z wypowiedzeniem wojny. Dzisiaj przy sobie Magistratowi kijowskiemu wierne poddaństwo Królowi w ręce wasze poprzysiądz każę. O zabicie Hołuba inkwizycya zrobiona, zabójce złapani i jutro ich tu obwiesić każę. Czy na ten raz dosyć? i czy teraz wierzyście żem wierny królewski poddany, panie Wojewodo?

KISIEL (*bierze go za rękę*).

Wiernie to wszystko Królowi przedstawię, panie Hetmanie.

WYHOWSKI (*na stronie*).

Albo on łże, albo się starszyszny boi.

## Scena II.

Na Zbarażu w roku 1650.

GRYZELDA — WIŚNIOWIECKI — *później* KONIEC-  
POLSKI — PODKOMORZY.

WIŚNIOWIECKI i GRYZELDA *w komnacie siedzą ubrani czarno — moment milczenia.*

GRYZELDA (*nad krosnami*).

Biedna ciotka, jeszcze lat parę mogła pożyć z nami.

WIŚNIOWIECKI (*z roztargnieniem*).

Tak, biedna, biedna — czego biedna? — tak — dwa pogrzebyśmy mieli.

GRYZELDA.

Szkoda ci przyjaciela, mężu.

WIŚNIOWIECKI.

Tak, pan Pisarz nie długo pożył po Zbarazkiej — ja widno dłużej pociągnę. (*Pauza.*)

GRYZELDA.

Szkoda, dobry był żołnierz.

WIŚNIOWIECKI.

A teraz na co żołnierzy? Czego ty ich żałujesz Gryzeldo — pokój tam mają, pokój... i nie Zborowski. (*Pauza.*)

GRYZELDA.

Jeremi, ty się tem gryziesz ustawnie — staraj się choć na chwilę zapomnieć.

WIŚNIOWIECKI.

Prawda, Gryzeldo, prawda — Bóg mnie za to karać będzie. On mi anioła dał w tobie — on nam dziecię dał miłą — a ja tak jakbym nie czuł tego.

SEMEN (*wchodzi*).

Pan Chorąży tylko co z Warszawy przyjechał. (*Odchodzi.*)

(*Wchodzi KONIECPOLSKI — przywitania ciche i pauza.*)

WIŚNIOWIECKI.

Coraz nas tu mniej na tym świecie, panie Chorąży.

KONIECPOLSKI (*ściska go za rękę*).

Więc też ci co zostali garną się do siebie, panie Wojewodo, i oto przyjechałem do was. (*Pauza.*)

GRYZELDA.

Więc z Warszawy jedziecie — jakże się tam ma siostra moja?

KONIECPOLSKI.

Zdrowa jest i ukłony ci zasyla, Pani. Ale, pelno ci nowin wiozę z Warszawy, panie Wojewodo.

WIŚNIOWIECKI.

Czy nie nowe jakie dobrodziejstwa, pierwszy senator korony polskiej i hetman Bohdanko Chmielnicki, zlać raczył na tę Rzeczpospolitę.

KONIECPOLSKI.

A właśnie zgadłeś, zdaje się, że się ustatkował na końcu, i przysłał wreszcie komput i rejestra Zaporozkiego wojska do aprobaty królewskiej.

WIŚNIOWIECKI.

A tożę hanowi przeciw Czerkasom bez wiedzy Króla sukursa dał — a przyboczne tatarskie gwardye.

KONIECPOLSKI.

W niepamięć poszło tak jak i innych wiele.

WIŚNIOWIECKI.

No, wyznam szczerze, że i takiegom się końca nie spodziewał w kłopotach naszych.

KONIECPOLSKI.

Ale ba, właśnie zda się, że wychodzimy z kłopotów.

WIŚNIOWIECKI.

Cóż Moskwa?

KONIECPOLSKI.

A cóż, jak się Mustafa - Aga w Warszawie odgrażać zaczął — jak Denhoff z Krymu powró-

cił i Bieczyński z deklaracją hańską, że i hetmanów uwolni i sto tysięcy ordy na Moskwę da.

WIŚNIOWIECKI.

Więc czegoż Kanclerz chciał więcej?

KONIECPOLSKI.

Kanclerz przypomniał Zygmuntofską na Moskwę wojnę, kiedy się był Han też związał z nami, a potem z wojskiem nieczynnie stał, oczekując kto górą będzie — i naganiali też niektórzy ligę z pogany na chrześcian — i oglądał się Kanclerz na niepewny pokój w Ukrainie.

WIŚNIOWIECKI.

Tak — nadto ogląda się Kanclerz.

KONIECPOLSKI.

Więc nam Moskwa ztaniała i Polanowski się traktat ponowiło.

WIŚNIOWIECKI.

I znowu Chmielnicki górą.

KONIECPOLSKI.

Dla czego?

WIŚNIOWIECKI.

Bo się był fatalnie wplątał chytrnością swoją, — tu z Moskwą przyjaźń, a tam z Tatarem liga, że byłoby mu przyszło zerwać jedno lub drugie i skóry za to nadstawić, to go Kanclerz wyplątał teraz — i znowu będzie teraz z wszystkiemi w zgodzie, i Moskwę na nas i Tatar fomentował i Turka.

KONIECPOLSKI.

Zdaje się, że się już upamiętał przecie i że chce nie żartem pokój Zborowski utrzymać.

### WIŚNIEWIECKI.

Gdzie jest pokój Zborowski, gdzie? czterdzieści tysięcy rejestrowych jest, i to jest, że hetmanom w Ukrainę wchodzić nie wolno — ale gdzie prawa szlacheckie pod Zborowem zaprzysiężone? gdzie tej ojczyzny jedność? Prawa szlacheckie: — oto i ja wysłałem starego Sana do Dymitrowych majątków, w Niemierowie zastał kozackie rządy, jakiegoś Kujka hajduka, co go znać nie chcieli, a tylko mu pług wołów i miarkę słoju przysłali — snadź by z głodu nie umarł.

### KONIECPOLSKI.

Te to urągania najciężej znieść.

### WIŚNIEWIECKI.

Albo cóż zyskała i szlachta co się do Chmielnickiego udali? — na wagę złota otrzymane uniwersały, co sprawiły bunt, i czterdzieści tysięcy rejestrowych na karku.

### KONIECPOLSKI.

Właśnie też Chmielnicki zobowiązał się w ład sprawić to.

### WIŚNIEWIECKI.

Darmo się to wam marzy po głowach — ale tu już nie o to rzecz. Ponieśliśmy strat wiele dla ojczyzny, więc że się jeszcze wyzujem z dóbr naszych ukraińskich, i że je Król kozactwem osadzi...

### KONIECPOLSKI.

Bóg widzi, i wy to wiecie, panie Wojewodo, zem gotów i na to.

WIŚNIEWIECKI.

Wiem, i dla tego wam mówię o tem — ale jeżeli prawa nasze szlacheckie poświęćmy dla jedności ojczyzny, to radziłyśmy też wierzyć, że i Bohdanko Chmielnicki będzie tej ojczyzny werniejszym poddanym, a temu nie wierzę ja.

KONIECPOLSKI.

Wszakże zda się ku temu idzie. (*Do Gryzeldy.*) At, my cię tu nudzim, Pani, z Moskwą, Tatarem i Kozactwem naszym — tą razą nie wezmą ci męża ztąd.

WIŚNIEWIECKI.

Zestarzała mi się żona moja, od niedawna, zmężniała, nie boi się Tatar dla mnie — ba, radaby mnie na Tatar wysłać sama — nieprawdaż? (*Uderza ją po ramieniu.*) Zestarzała się — zmężniała — i mogłaby już dziecięciu ojcem być, jakby się podobało Zygmuntowi Korybutowi zajrzeć mi w oczy.

GRYZELDA.

Jeremi, Jeremi! (*Pauza.*)

WIŚNIEWIECKI.

Ale, Dymitra żenim.

GRYZELDA.

Tak jest, żenim Dymitra — ale z kim?

KONIECPOLSKI.

Zgadnę od razu — z dumną Gospodarówną — czy tak?

GRYZELDA.

Zkądże wiecie?



KONIECPOLSKI.

Od samej Promotowskiej, Radziwiłłowej siostry.

GRYZELDA.

I pisze nam Dymitr, że gładka i miła nad podziw.

KONIECPOLSKI.

Ród dobry.

WIŚNIOWIECKI.

I bogato się żeni Dymitr — będzie nam przy kim osiąść na łaskawym chlebie, nam drugim Wiśniowieckim. (*Pauza.*) — Ale rywala mamy, Tymoszka Chmielnickiego — (*śmiech*) bez żartu.

GRYZELDA.

Nie wspominajże o tem, proszę.

SEMEN (*wchodzi*).

Pan Podkomorzy Lwowski, z Kijowa wraca.

(*Odchodzi*.)

KONIECPOLSKI.

Otóż znów usłyszymy Kisielowskie tryumfy.

(*Wchodzi Podkomorzy.*)

WIŚNIOWIECKI.

Witamy was, panie Podkomorzy. (*Przywitania.*)  
No, i cóż — wszakże wam powinszować fortunnych sukcesów w negocyacyach waszych.

PODKOMORZY.

Fortunnych w rzeczy samej, bo o włos mały co się niefortunnie bardzo dla nas nie obróciły.  
Zdrajca koronny.

KONIECPOLSKI.

Co?

WIŚNIOWIECKI.

Kto zdrajca?

PODKOMORZY.

Widzę że WM. Panom pierwszy wieść niosę.  
Tak — Bohdanko Chmielnicki podał Ukrainę  
Carowi tureckiemu.

WIŚNIOWIECKI.

Co? kiedy?

KONIECPOLSKI.

To być nie może — ja wprost z Warsza-  
wy jadę.

PODKOMORZY.

Tak i ja mówiłem, to być nie może — tak  
i pan Wojewoda mówił, jak nam znać dano, że  
Osman Aga Czauss już jest u niego w Czehrynie  
z buławą i inwestyturą carską na księstwo Ukrainy.

KONIECPOLSKI.

Jakto — tylko co pokój Zborowski przy-  
wiódłszy do skutku i świeżo zaprzysięgłszy?

WIŚNIOWIECKI.

I cóż pan Wojewoda na to?

PODKOMORZY.

A tu właśnie pan Wojewoda tylko co pisał  
do Króla, assekurując się za niego — to też mało  
nie umarł z desperacyi.

WIŚNIOWIECKI.

I cóż?

PODKOMORZY.

Chociaż medykus mówił, że to podagra w pier-  
si poszła — a że się z miejsca ruszyć nie mógł,

więc mnie z panem Hrehorym do niego posłał, żeby to sobie wybił z głowy. Ale ba — cóż my tu zastajem w Czehrynie! Chmiel pijany i Osmana Agę, człeka trzeźwego upoił także, za zdrowie Cesarza tureckiego wychylając.

### KONIECPOLSKI.

Jakże wam jednak w oczy zajrzał?

### PODKOMORZY.

Tem że nas i od razu spotkał, bestya, że od Cesarza tureckiego protekcyę przyjął, chlubiąc się jak czem dobrem. Więc się perswazye zaczęły — mówił mu pan Hrehory o wolności i o wierze błahoczestywej, których klejnotów zapewne Turczyn konserwować nie zechce — o zgubie Rzeczypospolitej i królewskiego majestatu ruinie. Jam dodał, że miło teraz Turkom między Kozakami jeździć i onych siły lustrować, obiecując dać protekcyę, póki nie ugruntują się jako w Węgrzech za Solimana cesarza — a potem Kozaków wyciąwszy, Bisurmanami osadzą krainy.

### KONIECPOLSKI.

I cóż on na to?

### PODKOMORZY.

A rozjuszyła się bestya — i wrzeszczeć zaczął, że nie tylko Ukrainę, ale i Polskę całą i Rzym, i Papieża zawojowawszy, Turkom odda.

### WIŚNIOWIECKI.

Jeszcze nie doszło do tego.

### PODKOMORZY.

Byli też przy nas i różnych panów delego-

wani z podarunkami dla niego, o powrócenie dóbr pańskich, więc i ich i nas jako szpiegów pod wartę wziąć, i po prostu powiesić kazał.

WIŚNIOWIECKI.

A to rzecz niesłychana.

KONIECPOLSKI.

Nowe *jus gentium*.

PODKOMORZY.

I serio się około nas zawinał Djaczek tam jego, prawa ręka do szelmostw, gdy szczęściem nadbiegł Wyhowski i apellacyę od pijanego do trzeźwego założył — a Djaczka to aż nahajką odgonić musiał, tak się była pijawka przysssała do nas.

KONIECPOLSKI.

Cóż nazajutrz?

PODKOMORZY.

Wyznał przecie, że z gniewu był oszalał — ale nie zrobił bestya o cośmy go prosili, żeby Czausa zatrzymał i dał wiedzieć Królowi czy go przyjąć, i jak go odprawić — owszem na złość odprawował go przy nas, i wrzeszcząc na głos wszystkim: że od Hetmana i Księcia Zaporozkiego, i od wojska kozackiego wszystkiego, Cesarz turecki za najwyższego pana i protektora przyjmuje się, obowiązuje się, iż odtąd wszyscy my i rzeczy nasze w mocy i władzy Porty Ottomańskiej zostawać zawsze będziemy.— Zdaje się jasno dość?

WIŚNIOWIECKI.

Otóż pokój Zborowski do skutku przywiódł.

KONIECPOLSKI.

Cudzem dobrem szafuje — Ukrainę, której nie jest panem, poddaje.

PODKOMORZY.

Dobry promotor wiary ruskiej — woli być bisurmanem niż uniatem.

KONIECPOLSKI.

I cóż nam począć, panie Wojewodo?

WIŚNIOWIECKI.

To mnie dziwi tylko, że go Porta przyjęła tak — wszakże on jutro gotów i Moskwie się znowu poddać.

PODKOMORZY.

Zda się, sekretnym punktem zobowiązał się, bestya, Kamieniec ubiedz i Carowi tureckiemu w zakład wierności dać.

WIŚNIOWIECKI.

O! jeszcze to i do tego nie doszło.

PODKOMORZY.

To też przyrzekł nie myśląc o Kamieńcu.

WIŚNIOWIECKI.

Jakże on tam z Tatarem stoi?

PODKOMORZY.

Zda się, dla nas Han ostygł trochę, jakeśmy się paktem związali z Moskwą, a na niego rachuje, zda się, że z niemi na Moskwę pójdzie.

WIŚNIOWIECKI.

Więc dobrze, niechaj idzie.

PODKOMORZY.

Ale ba, on nie pójdzie — za ściśle z Moskwą ma stosunki.

WIŚNIOWIECKI.

Więc z ordą zerwie.

PODKOMORZY.

Chłopisko przemądre, da sobie jakoś rady. Dzisiaj pułki zgromadził i gotuje się niby na Moskwę iść, z Nuraddynem, co na Sawrani z dwudziestu tysięcy ordą stoi.

KONIECPOLSKI.

Więc dobrze.

PODKOMORZY.

A tu hetmana drażni ażeby nań nastąpił — tam Hana przekonać się stara, że znów w niebezpieczeństwie od Lachów — a co najważniejsza, że nam Biczynski pisze, że ogromne pieniądze w Krymie sypie. Ot, jaki Tatarzyn jest ostryżny, a prawie pewny jestem, że go oszuka przecie.

WIŚNIOWIECKI.

Tatarzyn wojny z Moskwą chce, bo i starą zawziętość ma, i łupy potrzebuje.

PODKOMORZY.

A jak mu Bohdanko łupy na Podolu pokaże.

WIŚNIOWIECKI.

Toż tam pan Hetman stoi.

PODKOMORZY.

Albo u Wołoszy — a wściekała się bestya niezmiernie, że Hospodar Tymoszkowi odkosza dał.

WIŚNIOWIECKI.

To mu pan Hetman z tyłu w Ukrainę wlezie.

PODKOMORZY.

A Zborowskie pakta?

WIŚNIOWIECKI.

Więc przeciw nam te pakta — a jemu je rwać wolno?

PODKOMORZY.

Nim się my namyślim, nim się stany zgromadzą, to on już wróci z Wołoch, a potem na sejm posłów z przeprosinami przyśle, i nowych gwarancyi traktatu Zborowskiego żądać będzie. Przemądre chłopisko, i zna nas doskonale.

KONIECPOLSKI.

Więc dopókiż tego będzie?

WIŚNIOWIECKI.

Póki nie zrozumiemy dobrze, że dopóki Bohdanko na czele, to albo nam zginąć zupełnie, albo Kozaków całą siłą Rzeczypospolitej zgnębić.

PODKOMORZY.

Takto i ja te rzeczy dziś widzę, chociaż pan Wojewoda Kijowski inaczej widzi dotąd.

KONIECPOLSKI.

I cóż nam począć przecie?

*(Moment milczenia.)*

GRYZELDA.

Więc na sejm jedźcie — i ty Jeremi rąk nie opuszczaj.

WIŚNIOWIECKI.

Więc na sejm jedźmy — tak, prawdę mówisz Gryzeldo, nie godzi się rąk opuszczać — ojczyzna ginie wyraźnie. Nuże Panowie! jeszcze raz jeden i sił ostatnich dobądźmy — na sejm.

*Kurtyna zapada.*



## AKT II.

### Scena I.

Sejm w zimie 1650 roku.

PODKOMORZY — KANONIK — GŁOSY na sejmie —  
POTOCKI — ZASŁAWSKI — WIŚNIOWIECKI — KRÓL.

*(W izbie senatorskiej KRÓL, SENATOROWIE i POSŁOWIE, z brzoza PODKOMORZY i KANONIK. Izba znużona, przy stoliku rachują wota.)*

PODKOMORZY (*półgłosem*).

Nie skończymy tego dzisiaj. (*Patrzy na zegar.*)  
Czwarta zrana — już też i dzień wigilii Bożego  
Narodzenia — dwadzieścia siedm godzin z rzędu  
tu siedzim.

KANONIK.

Ależbo przyznasz WM. Pan, że okoliczność  
ważna — wszak to o dobro Kościoła idzie.

PODKOMORZY.

Tak, i o całość ojezyny — ale co dwadzie-  
ścia siedm godzin, to dwadzieścia siedm godzin.  
I samże WM. Pan patrzaj, już prawie śpią wszyscy.

KANONIK.

*Vigilant in vigilia* — cha cha cha! Ale kóż tam jeszcze wpisany do głosu.

PODKOMORZY.

Jeszcze podobno i pan Wojewoda Ruski chciał mówić.

KANONIK.

Żaden orator — mówi przed nami — jakby do chorągwi hussarskiej mówił.

GŁOS.

Prosimy jeszcze o pakta kozackiej deputacyi.

Czytanie:

„Punkt 1szy. Aby traktatu Zborowskiego artykuły świeżą przysięgą zatwierdzone były od senatorów celniejszych, to jest: od Prymasa, Arcybiskupów i Hetmanów. — 2gi. Żeby książę Wiśniowiecki, pan Koniecpolski, chorąży, Kalinowski, oboźny i Lubomirski, starosta Sądecki, jako mający wielkie na Ukrainie dobra, sami osobami swemi tam mieszkali, nie sprowadzając chorągwi. — 3ci. Unicka wiara aby na Ukrainie, Rusi i Litwie nie powstała. — 4ty. Ażeby wreszcie Król Jegomość prostocie darował urazy, a jako ojciec łaskawie miał one w swojej protekcyi, nie dając w opressyą panom.“

*(Ustanawiają się rozmowy grupami.)*

POTOCKI.

Śmiechu warte re vera — i wieleżto jeszcze razy każą nam zaprzysięgać traktat, który gwałcą co moment.

ZASŁAWSKI.

Wszakże z pokorą przyszli, panie Wojewodo.

POTOCKI.

Wilcza pokora revera, niedawno z Wołoch powrócili z swatowin, zniszczywszy mieczem i ogniem sprzymierzeńca Rzeczypospolitej, i że się też Pan Krakowski nie ruszył w pomoc.

GŁOS.

Król Jegomość nie kazał cudzego prosa oganiać.

POTOCKI.

Śmiechu warte revera, te ich mądrości.

KONIECPOLSKI (*do Wiśniowieckiego*).

Nie złego im się chce, panie Wojewodo.

WIŚNIEWIECKI.

Tak — co nas w Zbarażu we sto tysięcy wojska dostać nie mogli, to nas teraz po prostu i bezbronnych mieć chcą.

GŁOS.

To mybyśmy raczej powód mieli prosić, aby tam braci naszych w Ukrainie Król Jegomość, jako ojciec, w łaskawą protekcją wziąć chciał i nie pozwolił prostocie mordować ich za lada powodem.

GŁOSY.

Tak — tak.

GŁOS (*co czytał*).

A co się tyczy zniesienia unji, oto jest artykuł listu pana Wojewody Kijowskiego. (*Czyta.*) „Że wschodni i zachodni Kościół niech będzie jedna owczarnia, bo obudwóch Chrystus Pan jest

głową, od Apostołów idzie sukcesya, Doktorowie święci i nauka jedna, a jeden bez drugiego nie może trwać. Że w ceremoniach i manierach różnią się podług różnicy języków, mniejsza o to kiedy jednakowe mają fundamenta i początki od Chrystusa Pana — a na cóż pruć sukienkę Chrystusową nieposzytą, nazywając unitami i dyzunitami, na co dzielić Kościół, który Bóg złączył. Ten fundament założywszy i ugruntowawszy, nie będzie różnicy w słowach, nie będzie też dyffidencji między ludźmi, ustanie emulacya, ustąpi wojna...“

#### GŁOSY.

A to znowu coś nowego — otóż mi kaznodzieje nauki kozackiej — już też i miarękę przebrał pan Wojewoda Kijowski. A Wereszczaka protegowany Kisiela i szpieg kozacki przy Królu, gdzie się to podział — czy prawda, że przy nim znaleziono listy z doniesieniami do zakonników ruskich? Czy prawda, że w Malborgu z więzienia umknął?

*(Ruch między grupami.)*

#### KANONIK *(do Podkomorzego półgłosem).*

Tak, tak, to prawda, chociaż rzecz niesłychana. Ale zauważ też WM. Pan, proszę, w jakim się to fatalnem położeniu Kościół znajduje — tam się za unią ująć musi, a tu znowu nowych ofiar żądać gotowi od beneficjentów.

#### PODKOMORZY.

I będą, będą.

KANONIK.

Ale samże WM. Pan zauważ, proszę, po świeżych tylu i tak wielkich uchybieniach... — a tu i po śmierci Kanclerza, mimo wyraźną kolej, kwestye były, aby Król pieczęć wielką któremu z laików dał.

PODKOMORZY.

Wszakże nie doszło do tego.

KANONIK.

Ale to sobie same duchowieństwo winne — jak im tam zaśpiewają o niebezpieczeństwach ojczyzny, to i sami dawać gotowi. Jakże też *brachium seculare* nie ma brać — to też bierze.

PODKOMORZY.

Ale tego tam wszystkim zarzucić nie możecie.

GŁOS (*co czytał*).

I odwołuje się dalej pan Wojewoda Kijowski na tych co z nim pospołu około pokoju Zborowskiego pracowali, że słownie zniesienie unii przyrzekli, nie inkludując to w instrument publiczny pokoju, aby to dobrodziejstwo było zgodnej ojczyzny darem, a nie wymuszonym przez wojnę warunkiem.

GŁOSY.

Tak, tak było — a choćby tak i było, jakie prawo mieli Panowie traktujący wdawać się w sprawy duchowne.

GŁOS (*co czytał*).

Pisze dalej pan Wojewoda Kijowski: Jeżel tego warte trzydzieści cerkwi unijackich, żeby

kilkaset cerkwi unijackich, żeby kilkaset cerkwi błahoczystywych zniszczyć i spustoszyć, a przez to miliony dusz chrześcijańskich krew onych lejając wygubić? — jeżeliż ta mała latorośl odszczepiona od greckiej wiary, do rzymskiej nie przyrosła, będzie słusznym fundamentem tak ciężkiej wojny? — lepiej radzić teraz o bezpieczeństwie zdrowia i życia, a potem uspokoiwszy ojczyznę, dogadzając woli duchowieństwa, złożyć na to synod, którymby ta różnica zmiarkować się mogła.

#### GŁOSY.

Czy już? dość tych bluźnierstw. Wszakżeż tu pan Wojewoda tylko o ukraińskich trzydziestu cerkwiach mówi, a pobratym Bohdanko po Ruś i Litwę sięga. Jako kozieł nigdy nie będzie baranem, tak szymatyk nie będzie katolikiem szczerym obrońcą. Pan Wojewoda z chłopami buntownikami w jednej wierze będąc, wolności szlacheckich bronić nie może.

#### PODKOMORZY.

To tylko powiem na pana Wojewody usprawiedliwienie, że i u Kozaków w równej jest animadwersyi.

#### KRÓL.

Wszakżeż WM. Panowie i jam katolik dobry, ale, na miłość bożką, nie rozraniajcie kwestyi tej a starajcie się owszem dobrać sposobu, aby nie odbiegając pokoju, uśmierzyć rozjuszone chłopstwo. Wszakżeż i sami wiecie: nieprzyjaciel ma wojsko gotowe i ochocze, nasz żołnierz o zatrzymane za-

sługi markotny, a w skarbie pieniędzy nie masz — moderunków, amunicyi, prochu, reparacyi, artyleryi nie masz — prowiantów i wielu innych potrzeb niedostatek.

### WIŚNIOWIECKI.

Proszę o głos. Tak jest, miłościwy Panie, nie mamy czem wojować, a jednak wojować trzeba, bo już nas ciężkie doświadczenie nauczyło, ile to rachować możemy na ten pokój z Kozaki. I już to WM. Panowie i sami widzicie teraz o co tu rzecz idzie — że tu nie o krzywdy Kozactwa albo Bohdanka Chmielnickiego krzywdy idzie, ani o ucisk chłopstwa ruskiego, albo greckiej wiary ucisk — ale wprost o to idzie, czy ma ta Rzeczpospolita stać jako dawniej w jedności, wolności i sławie, z królem, panami i szlachtą i ludem pracowitym? czy też się zmienić ma ta ojczyzna nasza, i albo się rozpaść w kawały na łup sąsiadom, albo też w ciężkie panowanie chłopstwa pójść.

### GŁOSY.

Tak, tak — żal się Boże niewoli takiej, tatarska niewola lepsza — wszakżeż na Ukrainie i dziś tak się dzieje.

### WIŚNIOWIECKI.

Więc wybór macie, czy dobrowolnie oddać szyję w jarzmo, czy raz jeszcze spróbować, czy jest też jeszcze życie w tej Rzeczypospolitej.

### GŁOSY.

A ktoby tam sobie niewoli chciał.

### WIŚNIOWIECKI.

Więc zbrójdmy się — a naprzód już tu było wiele mówiono o pospolitem ruszeniu — pospolitem nie gardźmy, już to że się i z niego wiele wybrać da, a i reszta użyć się może, bo w wojnie jest dziur wiele, które zatkać trzeba, a żal się Boże na to dobrego żołnierza odrywać. — Więc niech Król wici wyda, a pójdziem wszyscy. Tak?

GŁOSY.

Tak, tak — wszyscy pójdziemy.

### WIŚNIOWIECKI.

Ale nie w pospolitem ruszeniu siła, WM. Panowie, zaciągów trzeba aby pięćdziesiąt tysięcy było — broni i amunicyi trzeba, bo nic nie mamy — pieniędzy trzeba — a więc silny podatek nałożyć i złożyć takowy.

GŁOSY.

Jak? przy takiej ojczyzny ruinie. Wszakże to WM. Pan i sam z kretešem zniszczony jesteś, Panie Wojewodo — i podatki dać i na koń siodać, z jednego wołu dwie skóry drzeć.

*(Głuchy szmer i dyskusye.)*

### WIŚNIOWIECKI.

A czy też z WM. Panów który chociaż raz w życiu pomyślał, co to jest stracić ojczyznę.

*(Moment głębokiego milczenia.)*

A więc na koń wsiądziem i pieniędzy ojczyźnie żałować nie będziem. Tak?

GŁOSY.

Tak, tak — to wstyd i mówić o tem. Idźmy na wota.



WIŚNIEWIECKI.

Nie, WM. Panowie, ojczyzna po nas jednomyślności żąda — kto ze mną trzyma, ten ze mną wstaje. (*Podnosi się.*)

KONIECPOLSKI.

Ja wstaję.

POTOCKI.

Revera i ja wstaję.

GŁOSY.

I ja wstaję — wstaję — wstajem wszyscy.

(*Wszyscy podnoszą się z krzesel.*)

WIŚNIEWIECKI.

A więc gotowi jesteśmy miłośnicy Królu — i da Bóg choć raz przecie z jaką taką siłą zajrzem w oczy nieprzyjaciołom ojczyzny.

Scena II.

Pod Beresteczkiem obóz, 30 Lipca 1651 roku.

TOWARZYSZ — SEMEN — TASZYCKI — POSPOLITAK — później KORYCKI — KRÓL z PANAMI — KISIEL — POTOCKI — KONIECPOLSKI — PODKOMORZY — WIŚNIEWIECKI — WOJTUSZ — ZASŁAWSKI — RZEMYK — SZEFER.

(*Wóz z prowizjami i beczkami — na boku posterunek żołnierski.*)

TOWARZYSZ.

A to duszy zbawienie, mospanieńku, kieliszczek wódki w taką mgłę przekłątą.

SEMEN.

Hej, hej, nie darmo to mgła taka — pfu, (*spluwa*) a to już słońko i z południa byćby powinno.

TOWARZYSZ.

I po diabła nam, mospaneńku, od samego ranka stać każą — to też się jaki taki wymyka do baryłeczki.

SEMEN.

A patrzno Wasze, tożto Taszycki idzie.

TOWARZYSZ.

Dalipan, zwietrzył wędlinę.

TASZYCKI.

Witajcie Zbaraczyki — hej, babo, kieliszczek z przekąską.

TOWARZYSZ.

Gdzieżeś to, mospaneńku, WM. Pan bywał?

TASZYCKI.

Z panem Lanckorońskim chodziliśmy po Podolu — jak Neczaj wpadł.

TOWARZYSZ.

I cóżeście tam mądrego zrobili, mospaneńku?

TASZYCKI.

Nic — wpadliśmy do Kraśnego i Neczajaliśmy zabili.

SEMEN.

To zginął — hej, hej, stary druh — a jak zginął?

TASZYCKI.

☞☞ Bajbura go postrzelił młody w ramię — a ja-

kem wszedł do izby, to już leżał bez duszy pod kilimem.

SEMEN.

Tak dobrze, po kozacku — hej, hej, kiedyś to na mnie kolej przyjdzie.

TASZYCKI.

A przy nim kto? zgadnijcie. Nasza baba z Zbaraża, Sołocha. — Snać modliła się djabłu, by nieboszczykową duszę prosto raczył do piekła wziąć.

TOWARZYSZ.

Moja baba?

TASZYCKI.

Kazałem ją w loch zamknąć dla języka i do-  
tąd nie rozumiem, w lochu okna żadnego, drzwi  
zamknięte, klucz u mnie, a babę którąś djabeł  
wyniósł.

TOWARZYSZ.

Jużciż niekórędy, tylko dziurką od klucza,  
mospaneńku.

SEMEN.

No, już teraz i Bohdankowi noga się powi-  
nie, kiedy Neczaja stracił — zła mu wróżba.

TOWARZYSZ.

No, i cóż więcej, mospaneńku?

TASZYCKI.

Z Czarnieckim poszliśmy pod Winnicę z pod-  
jazdem pod Bohuna, potem się do nas i inni  
pościągali.

TOWARZYSZ.

I cóż?

TASZYCKI.

Różnie tam bywało, czasem my górą, czasem oni — a raz to tak źle było, że gdyby był przy-  
padkiem nie nadszedł Dymitr Wiśniowiecki. —

TOWARZYSZ.

I cóż więcej?

TASZYCKI.

I w Kamieńcu biliśmy się gorąco — ale łzę,  
bom w Kamieńcu nie był wcale. Hej, babo! kie-  
liszeczek jeszcze z wędzonką — i masz Neczajo-  
wego tyńfa.

TOWARZYSZ.

Coś Waśc dziś rezonujesz, i czegoś mospa-  
neńku nie w swoim sosie jesteś.

TASZYCKI.

Ot, markotno mi czegoś dzisiaj, i myślałem  
że to przejdzie, kiedy was, Zbaraczyki, obaczę.  
Ale nie — i baba mi się śniła przekłęta. — Ba,  
gdyby to podolska dziewczka — ale te ukraińskie  
brzydkie baby. (*Pije kieliszek wódki.*) Ale otóż mi  
Pan Bóg i pociechę przysyła — jakem szlachcie  
herbu Strzemię, to pospolitak jakiś. (*Do pospoli-  
taka.*) Czołem.

POSPOLITAK.

A, czołem, panie żołnierz.

TASZYCKI.

A, taż to Waśc jesteś z pospolitego, prawda?

POSPOLITAK.

Tak, tak — chociaż nie pomnę...

TASZYCKI.

Aj, z pod tego...

POSPOLITAK.

Z pod Wschowy — tak, tak.

TASZYCKI.

Ale jak się wieś zowie, tom już wiecznie zapomniał.

POSPOLITAK.

Wojtaszkowo.

TASZYCKI.

A, prawda.

POSPOLITAK.

Tak, tak.

TASZYCKI.

Gdzie Waś kawalkatorem byłeś, co ci i z nóg widno, trochę krzywych.

POSPOLITAK.

Tak, tak, kalikatorem.

TASZYCKI.

A widzisz — a jak się ma organista, nalewa zawsze?

POSPOLITAK.

O, widać żeś to Waszmość u nas bywał — tak, tak.

TASZYCKI,

A księża gospodyni, jak tam?

POSPOLITAK.

Pani Maciejowa? — zdrowa.

TASZYCKI.

Otóż powiem Waści, zem rad, że tu Waści

znajomego spotkałem, bom się chciał spytać właśnie, czy to prawda, że w koronie całej i w płocie kija nie masz — tak to wszystko pospolite wybrało ciągnąc na wojnę.

POSPOLITAK.

Ej, nie wierz Waszmość temu, to tak wymyślają na pospolite, nibyto my innej broni nie mamy jak kije. (*Chce dobyć rapira, nie może.*) Twardo chodzi — tak tak, to już los mój taki, i miechy u nas przy organach nieśtychanie twardo chodzą — (*jeszcze chce dobyć, ale darmo*) ale pan Klecha co przy mnie w ordynku stoi, obiecał mi dopomódz jak tylko się nieprzyjaciel pokaże. (*Jeszcze raz chce dobyć.*)

TASZYCKI.

Daj Wasze pokój a z kija nie żartuj, bo to nie przelewki, kiedy kto w polu człeka kijem praży.

POSPOLITAK.

A, tak, tak, i to prawda.

TASZYCKI.

A odwagi też Waści w sobie czujesz wiele?

POSPOLITAK.

Cóż — jak się człek bywało z Batonem o Marychnę przy kieliszku powadzi — tak, tak.

TASZYCKI.

Ale tak na ludzi, coś ich w życiu nie widział nigdy.

POSPOLITAK.

Tak, tak — to co innego.

(*Słychać huk dział.*)

SEMEN.

Oho, już Przyjemski zaczyna — na miejsce.  
(*Baba przynosi Pospolitakowi kieliszek, ten dobywa monetę do zapłacenia.*)

TASZYCKI.

No, zapłać Waś co żywo — dobrze, a teraz zmykaj.

(*Odsuwa go od kieliszka — Pospolitak odbiega, a potem się wraca, a tymczasem baba z kieliszkiem schowawszy pieniądze, odeszła.*)

POSPOLITAK.

Tak, tak — bo pomyślałem sobie, że kiedy było czas zapłacić, to było czas wypić.

TASZYCKI (*znowu go odgania*).

A zmykajże co żywo — nuż kto drugi przy Klesze stanie, kto ci tam rapiera dobiedzie.

POSPOLITAK.

Tak, tak — a prawda. (*Odchodzą.*)

KORYCKI (*nadchodząc*).

Czołem, a gdzie pan Wojewoda.

SEMEN.

Na lewem skrzydle swoim.

KORYCKI.

Biegnij Wasze do niego i powiedz, że tu Król zaraz będzie, i że Król chce, by hussarya kopije w ziemię zatknęli, i z muszkietem na linię wystąpili, tak jak wczoraj.

SEMEN.

Ale Panie, cóż husarz bez kopii wart?

KORYCKI,

Jedź Waś do milion djabłów! (*Semen odjeżdża.*) Otóż i masz, głupie rozkazy wozić, każdy na cię tak jak na gapę patrzy. Żal się Boże komendy takiej. (*Chodzi z założonemi rękami w tył — nadchodzi chorągiew Koryckiego, którą on na boku ustawia — słysząc coraz silniejsze bicie dział.*) Ho, ho, coś się gorąco zaczyna — no, tą razą i miło spojrzeć za siebie, wszędzie chorągwie pełne. (*Nadchodzi KRÓL z PANAMI — Król lustruje chorągiew.*)

KISIEL (*do Potockiego*).

A więc i jam tu, panie Wojewodo.

POTOCKI.

A czyżto WMPan sądziłeś że to ja wątpił o tem revera. Jam waszą politykę jako mógł opugnować, i kiedyśmy się z niej raz przecie otrząsnęli, sami widzicie revera z jaką tu siłą stoim.

KISIEL.

Daj Boże, daj Boże tylko końca dobrego — jeszczeżto nie wygrana nasza.

KONIECPOLSKI.

A przynajmniej że stawać mozem z znaczną siłą.

KRÓL (*wracając do grupy Panów, patrzy na zegarek*).

Druga z południa, późno — zdaje się, że już dziś nie pora.

KONIECPOLSKI.

Ej, miłościwy Panie.

POTOCKI.

Revera, alboż to mało było trudności mi-



łościwy Panie, wojsko całe przygotować do boju, żebyśmy go znów ściągać mieli.

KRÓL.

Bóg widzi, że nie na mnie krew cała już przelana, i co się jeszcze przelać ma. Wszakżeż i niedawno jeszcze i z mieczem już dobytym nadaremnie doń posyłałem Machnickiego, ofiarując mu spuścić ten miecz na dół, i zdać się na perswazyą Metropolity.

POTOCKI.

Więc na nich krew przelana, miłościwy Panie.

KISIEL.

Wszakże tak i pod Zborowem było, miłościwy Panie — doświadczywszy że nas przemódz nie mogą, pokój zrobili.

POTOCKI.

Żal się Boże re vera pokoju takiego.

*(W grupach niespokojność.)*

KRÓL.

Tak, zdaje się już późno dziś.

PODKOMORZY *(do Koryckiego)*.

Byle ztąd nie wynikło co Rzeczypospolitej.

WIŚNIEWIECKI *(nadchodząc)*.

Wszystko gotowe, miłościwy Panie, tylko rozkazu czekamy.

KRÓL.

Łatwo to panie Wojewodo powiedzieć idźmy — ale tu zważać trzeba, jakie się tu losy na szali ważą.

WIŚNIEWIECKI.

Naprzód iść trzeba, miłościwy Panie, bo jak broń Boże wojsko spostrzeże to wahanie się nasze, i samo się wahać zacznie — to Pilawiecka będzie.

KRÓL (*żywo*).

Ja się nie waham, nie waham — wszakżeż jam tu jest po to, WMPanowie, abym zwyciężył lub zginął z wami. Więc idźmy, idźmy, kiedy WMPanowie odpowiedzialność taką na siebie przyjąć chcecie.

WIŚNIEWIECKI.

I jeszcze o jedną łaskę prosić tu chciałem WKMości.

KRÓL.

Bóg widzi, że co można będzie, to chętnie zrobię, panie Wojewodo — wszakżeż sami widzicie jak rzadkie są beneficya, i jak wielkie potrzeby kraju.

WIŚNIEWIECKI.

Chcę prosić WKMości, abys mi tu pozwolić raczył z chorągwią moją naprzód iść.

KRÓL.

O chętnie, chętnie panie Wojewodo, i ordynackich wam dodam, i tych panów co z wami iść zechcą, i tych województw kilka (*wzruszenie między Panami*) — chętnie. Il est fâcheux Mr. le Marquis, que vous n'entendiez pas notre langue. — Vous eussiez compris la réponse du Prince.

FRANCUZ.

Et je ne doute pas Sire, que ce ne soit celle  
d'un preux chevalier et féal serviteur.

KRÓL.

Więc naprzód, panie Wojewodo.

KONIECPOLSKI (*idąc*).

Bóg z nami i nasza wygrana.

POTOCKI.

Ja tu przy Królu revera, a ty Jędrzeju idź.

KORYCKI.

Uwaga, WMPanowie, kupy się trzymać a na-  
przód iść — śmiało, bo pan Wojewoda z nami,  
i djabła zjedzą jeżeli ich dzisiaj nie zbijem, jak  
pod Rosołowcami.

WOJTUŚ (*idąc za Koniempolskim*).

Za matkę, za ojca, za braci!

WIŚNIOWIECKI.

A otóż i słońce nam zaświeciło, miłościwy  
Królu — wróżba dobra. (*Odchodzą.*)

KISIEL.

Daj Boże! daj Boże!

(*Patrzy wciąż w stronę gdzie poszli. — Moment milczenia.*)

ZASŁAWSKI (*do Kisiela*).

My z Królem, panie Wojewodo.

KISIEL.

Tak jest, panie Wojewodo Krakowski! (*roz-  
targniony*) i dzieje czy tak, czy owak, stanowczo  
zapiszą dzień dzisiejszy.

KRÓL.

Za kurzawą nie widać nic... w dolinę we-

szli... (*Wszczyła się w tej stronie silny huk dział.*)  
Panno Najświętsza na Jasnej Górze, cudami słyszająca, patronko tej korony, nie wypuszczaj nas z opieki swojej. Panno Najświętsza Żyrowiecka, coś mi serca dodać raczyła, kiedyś niedawno krzyżem leżał przed cudownym obrazem twoim, zmiłuj się nad nami! Panno Najświętsza Sokalska, tu obrazem swoim cudownym w obozie naszym przytomna, uczyni cud wielki!

(*Moment milczenia — huk dział w tej stronie ustaje.*)

KISIEL (*do Potockiego*).

Co znaczy to, panie Wojewodo?

POTOCKI.

Czyjaś wygrana reuera, ale czy nasza?

KRÓL (*coraz niespokojniejszy*).

Bóg widzi, żebym ja tam wolał być jak tu. (*Rzemyk przybiega zadyszany, a dostrzegłszy Panów, chce na bok*). Tu Waszmość chodź, mosanie Towarzysz. Zkąd Waszmość?

ZASŁAWSKI.

A to z mojej chorągwi towarzysz, miłościwy Panie.

KRÓL.

Więc z bitwy — no, gadaj Wasze, na miłość Boską.

RZEMYK.

W koło nas otoczyli, Najjaśniejszy Panie — cała hańska potęga, jak obłok — i wszystkich w pień wycięli, lub w wodzie potopili.

KRÓL (*półgłosem bardzo zaalterowany*).

I jam też mógł pozwolić na to, aby dla junakeryi jakiejś tyle wojska poświęcić.

(*Odchodzi naprzód.*)

POTOCKI.

A pan Wojewoda?

RZEMYK.

Na oczy swoje widziałem, jako Tatarzyn do niego strzelił, a potem go ściał — bo stałem długo przebywszy rudę, i widziałem że nikogo żywcem nie wypuszczono.

GŁOS (*z tytu.*)

A ciebie czemu nie zabito?

POTOCKI.

Milczeć! hum. Jakoś uszedł?

RZEMYK.

Zaraz uderzyłem w rudę — ale strzelono za mną kilkanaście razy.

GŁOS (*z tytu.*)

Z przeproszeniem WMPana panie Wojewodo, że się ozwać odważam, ale w tej relacyi Rzemyka i połowy prawdy nie masz.

POTOCKI.

Albo co?

GŁOS.

Wzdyż to oba my z Rawy i naturę jego znam dobrze — że on wicher oddawna i rad klimkiem się bawi.

POTOCKI.

I mnie się też wydaje, WMPanowie, że się

ten kawaler zaciągając do wojska revera, z fantazyą swoją nie porachował, i podobniej mu było, by w domu kury sadził a kanie od kurcząt odganiał, bo to być nie może revera, by się im pan Wojewoda Ruski tak prędko pożreć dał. Waść kłamiesz!

RZEMYK.

Bogu przysięgam, żem to wszystko na własne oczy widział.

GŁOS.

I w szkołacheśmy go zwali generał Nugator, panie Wojewodo, i ojciec jego taki, i wszyscy Wolscy w Rawie, Ruskim nie przymawiając.

GŁOS (z boku).

Ej, otóż i z doliny wychodzą nasi, pędząc ordeę przed sobą. Tak, tak!

WOJTUŚ (przybiega).

Wygrana nasza! miłościwy Panie. Pan Wojewoda donieść ci każe, że Han z pola uchodzi i już tabor tatarski rozerwany, i pan Wojewoda o sukurs gwałtem prosi.

KRÓL.

Panie! tobie chwała przed wszystkim — więc nam naprzód, WMPanowie.

POTOCKI (a za nim i inni).

Naprzód, miłościwy Panie — naprzód siłami całemi.

KRÓL (do Rzemyka odchodząc).

A ty mi precz z oczu, tchórzku i kłamco bezczelny.

WOJTUŚ (*odchodząc do Potockiego*).

I teraz na mnie krwi dosyć panie Wojewodo —  
ta, to za tamtą co wtedy.

(*Odchodzą wszyscy. — Odległe bicie z dział ciągle jak od  
początku. — Prowadzą rannych, dalej niosą na płaszczu  
TASZYCKIEGO przykrytego, którego twarz mocno blada;  
nadchodzi POSPOLITAK kulejąc.*)

POSPOLITAK.

Aj, aj — nie, już dalej to nie pójdę o swojej  
mocy — tak jakbyście i nie wiedzieli, że mi to  
w łydźce zastrzegła strzała tatarska — tak, tak,  
to jeszcze szczęście że ją pan Klecha wyciągnął  
zgrabnie, bobym się jej był pewnie nie dotknął  
sam. (*Do Taszyckiego.*) Dobrze Waści, którego  
ciurowie niosą jakby pana jakiego. — Tak, tak.

TASZYCKI.

Bo to widzisz kolego, nie mam czem iść.

(*Rozkrywa się.*)

POSPOLITAK.

Wielki Boże! dwie nogi urwane aż po brzuch  
sam — toćto Waszmość nieboszczyk jesteś. Tak,  
tak — a taki młody.

TASZYCKI.

Młody, młody — a dwunastum miesięcy nie  
dociągnął. Ale słuchaj kolego, ciebie egzekuto-  
rem testamentowym robię.

POSPOLITAK.

Testamentowym — tak, tak.

TASZYCKI (*daje mu kieskę*).

To węź, mnie się już nie przyda — a za to

bys mi nagrobek wystawił u ojców Bernardynów we Lwowie, i z napisem: — Tu leży Jan Taszycki, szlachcic herbu Strzemię — Poślisko się urwało, Strzemię hop o ziemię. — Zrobisz?

POSPOLITAK.

Zrobię, dalipan. (*Ociera oczy.*) Tak, tak — a tażto Waszmość do tego i poetą jesteś.

TASZYCKI (*się przewala konając*).

Hej! — bądźcie mi zdrowi koledzy!

(*Odchodzą wszyscy. — Nadchodzi KRÓL z PANAMI.*)

KRÓL.

Więc jeszcze raz Bogu złożmy dzięki za tak wielkie zwycięstwo. (*Przyprowadzają więźniów, a na czele Szefer-Kassi-Aga.*) To co za więzień?

KONIECPOLSKI (*przedstawiając więźnia*).

To Szefer-Kassi-Aga, niegdyś wezyr hański.

KRÓL.

Gdzie Han?

SZEFER.

Han Islan-Geraj teraz na drodze do Krzemieńca jest.

KRÓL.

A pobratym wasz Bohdanko Chmielnicki?

SZEFER.

Z nim i Bohdanko Chmielnicki, zdrajca przekłety, co nas w tę wojnę wprowadził udawając Hanowi, jakoby poumierali już Zbarazcy wojownicy, a w koronie całej starcy tylko a dzieciukowie zostali. Allah! Allah! i taka widać była



wola twoja — ale go nie wypuści Han, aż nam zapłaci wszystkie daremne koszta nasze.

KRÓL.

Więc nam tu jeszcze kozackiego obozu dobyć, WMPanowie, a potem na Ukrainę iść.

GŁOSY.

Pan Wojewoda Ruski! — Niech żyje pan Wojewoda Ruski!

KRÓL (*rozczulony podając mu obie ręce*).

Witaj nam bohaterze dnia tego — i żal mi, panie Wojewodo, żem się tak długo na was poznać nie umiał.

### Scena III. i ostatnia.

W Pawłowocy, w jesieni 1651 roku.

*Pokój sypialny — łóżko, na którem leży Wiśniowiecki.*

WIŚNIOWIECKI — DOKTOR — TOWARZYSZ — SEMEN — później GRYZELDA — POTOCKI — ŻOŁNIERZE — OJCIEC JAN.

DOKTOR (*wraca od łóżka*).

Zasnął snem twardym. (*Do Towarzysza.*) I cóż tam Wasze z obozu niesiesz?

TOWARZYSZ.

A cóż, mospaneńku — już panowie posłowie ruszyli do Białej cerkwi.

DOKTOR.

A Radziwiłł i Litwa?

TOWARZYSZ.

W Kijowie, mówią, trzyma się jak należy.

DOKTOR.

Więc posłowie zakończą pokój, i kwita będzie z Kozaki — za Zborowskie pakta, Białocerkiewskie pakta będą — tak jak ucieczka ich tam z obozu Beresteckiego, za Pilawiecką ucieczkę naszą.

TOWARZYSZ.

Wymiana dobra, mospaneńku — za złoto, srebro, i splendory tam nasze, rzemień i gunię wzięść.

DOKTOR.

A tabor i konie i armata przecież. Ale co to tam była za wrzawa wczorajsza w obozie?

TOWARZYSZ.

Ej, to tam babę czarownicę powiesili.

SEMEN (*który dotąd siedział z wzrokiem wlepionym w chorego — żywo.*)

Kogo?

TOWARZYSZ.

A naszą babę, Sołochę, Korycki złapał i obwiesił.

SEMEN.

Kiedy?

TOWARZYSZ.

Ot w sam raz dobę temu.

SEMEN.

A terazże rozumiesz kogo ona powlecze za sobą? I bodajesz pierwiej był przepadł, i ty, za

którym czort się weisnął do nas — i ja gawron stary, com cię nauroczonego w dom wprowadził. Hej, hej! ojciec ty mój — hej, dziecię ty moje — i tożem to ja tego doczekać się miał, żebyś cię przeżył.

DOKTOR.

Ej, oszalałeś Wasze — jeszcze raz ci powtarzam, że żadnego niebezpieczeństwa nie masz — to febris tylko.

SEMEN.

A czemuż się we mnie serce kraje i krew po żyłach ścina. Hej, hej! więc już się zamknie orle oko twoje — i dłoń nie ściśnie bułata — i koń twój białonogi daremnie zarży za panem — a ja sierota poniosę w ziemię młode kości twoje. Hej, hej, nie dosyćże mi tego było!

DOKTOR (*który się zbliżył do Wiśniowieckiego i dotknął mu ręki*).

I znaków magii żadnych nie masz. Cicho — zdaje się że się budzi.

WIŚNIOWIECKI (*ciagle jak w delirjum*).

Niemirów — że Niemirów w pień wyciąć kazałem. — A cóżem ja winien temu, kiedy się poddać nie chcieli. — Z zapalczywości? — nie — toć jam się długo ważył w sobie — nie — Pan mi to nie poczyna za winę.

DOKTOR (*do Towarzysza*).

O królu mówi.

WIŚNIOWIECKI (*poziwa*).

Ha, ha. (*Przeciera oczy*.) Co to? — a — to

Zygmunt Korybut. — Tak — berło i korona —  
wątle kruche berło, cierniowa korona — jak  
zwykle u nas w rodzie. — A więc mi dzisiaj  
umrzeć?

DOKTOR (*do Towarzysza*).

Delirium.

WIŚNIOWIECKI.

Żalże mi życia teraz — żal zwycięstw mo-  
ich — późno przychodzisz — jam ciebie na Zba-  
rażu czekał — żony mi żal. — Mów Zygmun-  
cie — mam prawo, kiedy już umrzeć mam — mów —  
co dom mój? i kto ojczyznę dalej dźwigać będzie?

DOKTOR.

Pst — cichości jak największej trzeba —  
a może i odgadł trochę stary, i w tem jest coś  
magii.

WIŚNIOWIECKI.

Szwed? (*Chwyta się za serce.*) Boli — boli. —  
Najświętsza Panna błogosławi — i — jest czło-  
wiek — Czarniecki — Czarniecki. — Michał? —  
I haracz — haracz. — O... (*Chwyta się za głowę.*)  
Sobieski? Ten młody — Jan — Chocim, dobrze. —  
Wiedeń — i patrzy chrześcijaństwo całe. — Hej —  
nierząd, upadek — i zasnęli. — O... Przebu-  
dzenie — rwą — szarpia — boli! — boli! —  
Nie chcę więcej Zygmun-  
cie. — Co? i człowieka  
nie mają. — A dalej co? I mówić nie chcesz. —  
O — wiem. — (*Pauza.*) Nie żal mi życia teraz.

GŁOSY (*za drzwiami*).

Wrócili posłowie. — Wiwat! wivat pakta  
Białocerkiewskie!

*(Semen się zbliża do Wiśniowieckiego.)*

DOKTOR.

Css — na Miłość Boga — co chcesz?

SEMEN.

Chcę by ducha słodziej wyzionał. Panie! słyszysz — pakta Zborowskie zniesione.

WIŚNIOWIECKI.

Nie przeszkadzajcie mi. — A przecie Panie — żeś się zmiłował nademną.

GRYZELDA *(we drzwiach)*.

Umiera! umiera! — Ja wam powiadam że umiera. — Puszczajcie!

*(Wchodzi i kłęka przy nim — Wiśniowiecki kładzie jej rękę na głowie; daje znak Semenowi żeby się zbliżył i pokazuje mu żonę.)*

SEMEN.

Więc mi nie wolno za tobą pójść!

*(Wiśniowiecki błogostawi Gryzeldę.)*

GRYZELDA.

I dziecię błogostaw, Jeremi.

WIŚNIOWIECKI.

Król — biedny król — biedna ojczyzna!

*(Chwyta Gryzeldę za rękę i kona.)*

DOKTOR.

Niespodziewanie skończył.

*(Otwiera drzwi, wchodzi WODZOWIE, PANOWIE i RYCERSTWO w cichości. — KONIECPOLSKI ściska go za drugą rękę.)*

POTOCKI.

A więc tak młodo poległeś, ty wielki miło-

śniku ojczyzny! I któż teraz reuera, losy jej ciężkie udźwignie!

*(Zbliżają się wszyscy do ciała.)*

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

A ten kto w żelaznej zbroi?

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Czarnecki rotmistrz — żołnierz dobry.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

A ten pan?

DRUGI ŻOŁNIERZ.

To Kasztelanie Krakowski, pan Starosta Jaworowski Sobieski Jan.

OJCIEC JAN *(wchodzi)*.

Pan powołał do siebie duszę jednego z braci naszych — klękniemy i módlmy się.

*(Klękają wszyscy. — Kurtyna zapada.)*

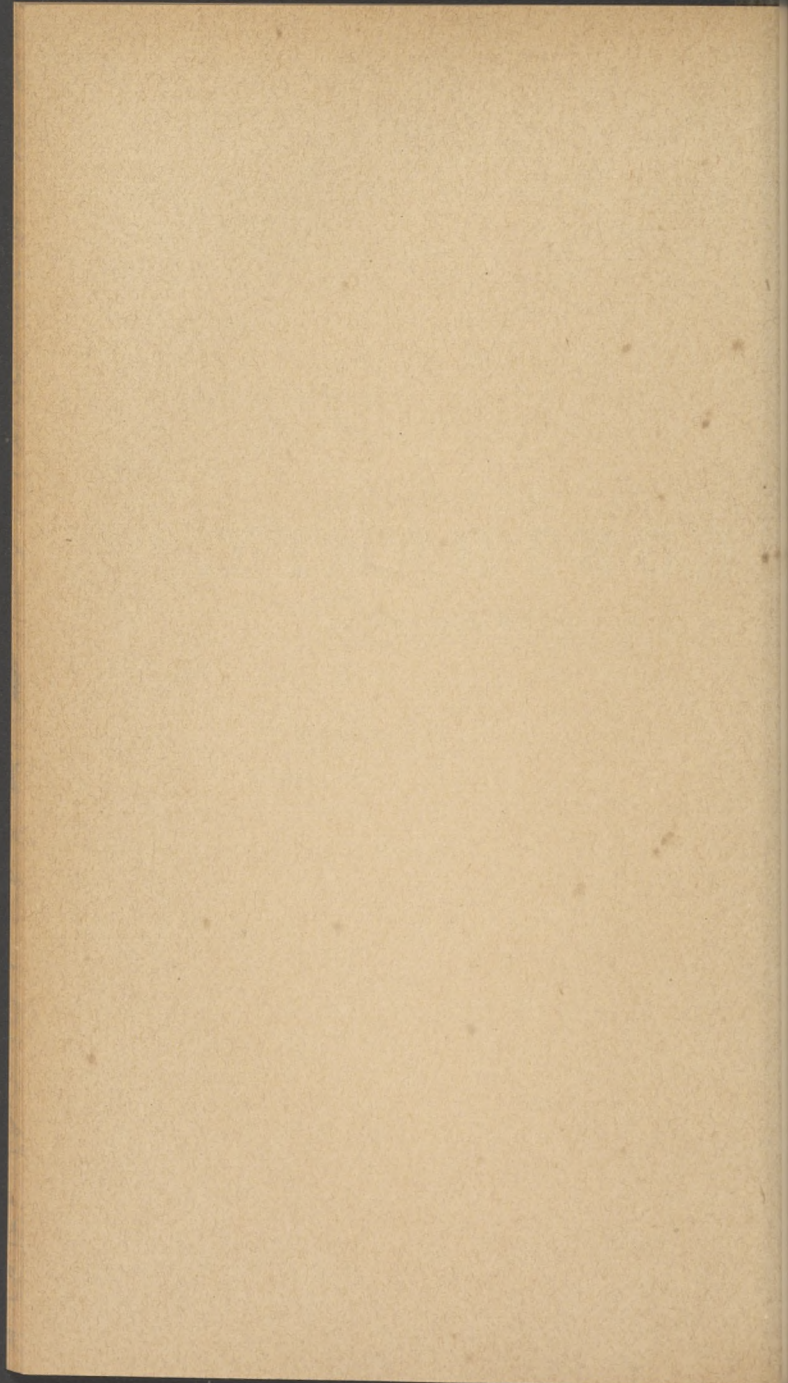
KONIEC.

# KONTRAKTY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

— Bo siła u nas jest złego,  
A siła też i dobrego.

*Rej z Nagłowic.*





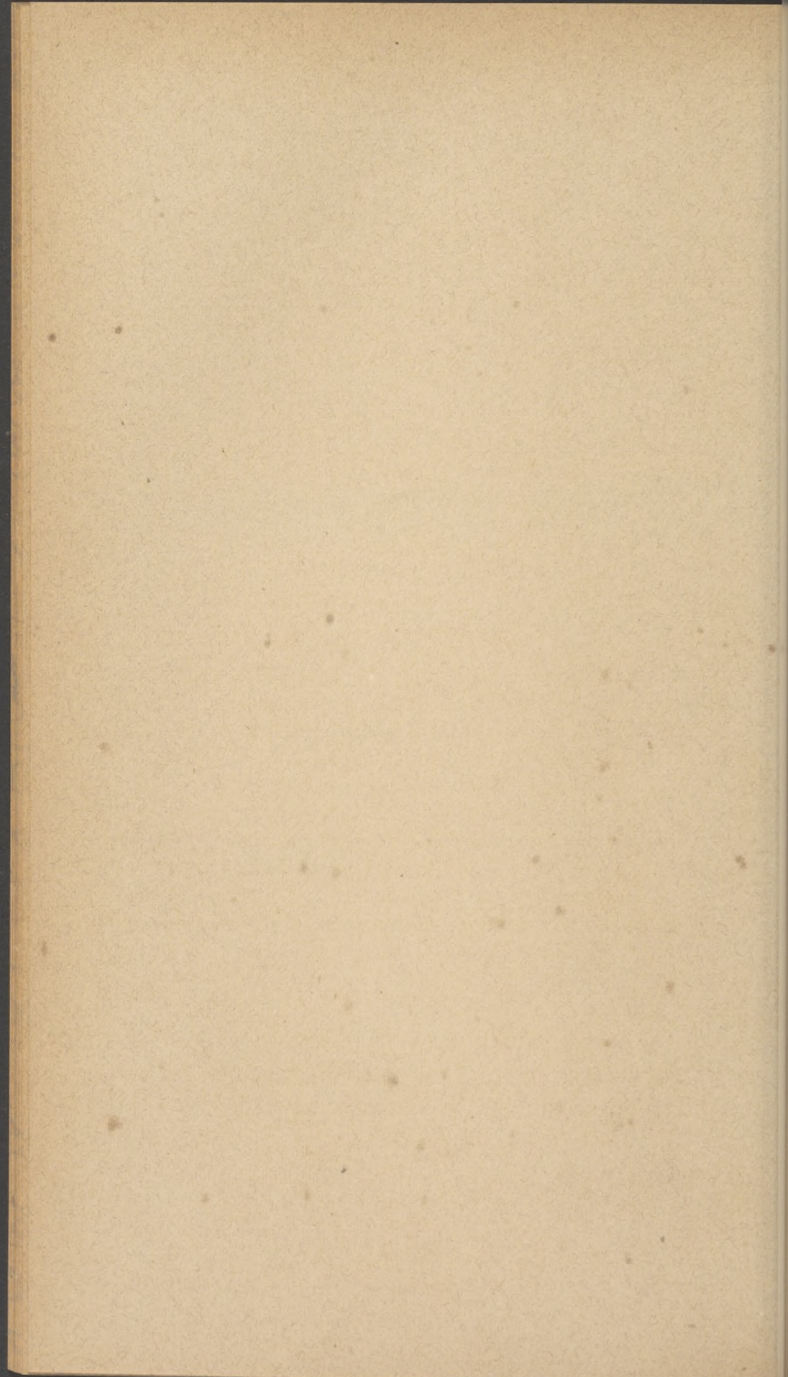
J. W.

FRANCISZKOWI DANKIEWICZOWI

TEŻ CZYTANĄ MU SZTUKĘ

POŚWIĘCA

AUTOR.



# A K T I.

w Dubnie.

Scena I. — Reduta.

O s o b y.

LEON OBLĘDZKI — MARYA — KASZTELANOWA,  
ciotka Maryi — ZAWISKI, stary kawaler — MATKA  
Z CÓRECZKĄ — DWÓCH KAWALERÓW — GALE-  
RYA BALOWA — wchodzą później PUŁKOWNISIO —  
SŁUŻĄCY.

*Słychać przytłumioną muzykę — środek sali zajmują męż-  
czyźni — około których przesuwają się czasem para walcu-  
jąca — z lewej strony teatru siedzą kobiety — w rogu siedzi  
Marya, za nią stoi Leon — Mama z córeczką (Koczkodany)  
oddzielają ich od reszty towarzystwa.*

MARYA.

O! widzę że od czasu jakeśmy się nie wi-  
dzieli, zaszły zmiany w pańskim trybie życia.  
A dziennik, cośmy go w Żabińcach czytawali, spi?

LEON.

Spi, od Żabiniec.

MARYA.

A Parafraza Danta, czy zawsze na tem samem miejscu?

LEON.

Mało co dalej.

MARYA.

I nie dziw; bo jak mówię, zaszły ważne zmiany w pańskim życiu.

Pan Leon do czwartej zrana *gra*, do południa śpi, potem *gra*, potem na obiad do księcia, potem *gra*, potem na redutę *na momencik*, a potem znowu *gra* do czwartej.

Ale czy się nie mylę? wczoraj podobno do szóstej?

Dopierośmy wczoraj z cicią przyjechały, a już wiem wszystko.

1szy KAWALER

Voulez-vous...

MARYA.

Vous voyez que je n'en peux plus.

MAMA (*do córuni z akcentem*).

Voilà Monsieur qui demande, cela n'est pas poli de refuser.

(*Kawaler córunię z niechęcią uprowadza.*)

MARYA.

Wszak prawda, że wiem wszystko? Pan Leon, wczoraj miał dzień wielki, pasował siedem razy bez wahania się, i wygrał pięćset dukatów! Passa niesłychana, odwaga szlachetna! I pan Leon byłby na długo bohaterem, królem djabełka, gdyby

go był dziś nie zdetronizował pan Hadziewicz, który...

1szy KAWALER

(odprowadza niezgrabną Pannę — do Leona).

Pan Leon widzę nie tańczy?

MARYA.

Czy na nas kolej?

1szy KAWALER.

Nie, tylko chciałem panu Leonowi przerwać medytacyę, bo pewnie coś medytuje na naszą zgubę. Czy pani wie co dziś zrobił? ot przed samą redutą? (z akcją.) Byliśmy u pana Michała, siedzimy koło stołu, w banku 200 peców, pan Leon nie gra. Księżę, który był w szczęściu, przechodzi raz, dwa, ale, że mu ktoś chciał wszystko zabrać, bastuje. Pan Leon zbliża się do nas i prosi o talję; my ciekawi co to będzie, pozwalamy. Prezes nie pozwala ciągnąć ze strony. Wielki hałas! W tem, pan Leon dobywa 20 peców (*było nas dziesięciu*) wkupuje się, pół banku po abcugu paf-paf-ple. Reszta banku znów. Nie przeszło trzy abcugi, wychodzi, pamiętam piątka... i zabiera wszystko.

MARYA.

A do tego, proszę pana, jaki skromny! Oto pół godziny ze mną gada, i gdyby nie pan, dotąd nie byłabym wiedziała. Jak to? to dziś znowu pan Hadziewicz w dole, a pan Leon zwycięzca?

1szy KAWALER.

Hadziewicz przegrał ze...

LEON.

Zda mi się, że księżniczka szuka swego partnera. Nie wiesz, kto z nią tańczy?

1szy KAWALER.

A juści ja! (*odbiega spiesznie*).

LEON.

Byłby gadał do jutra. Od pani wszystko prócz ironii! Niech pani tylko raczy wejrzeć w moje położenie. Czy mogłem niegrać? wszyscy grają, każdy inny grałby na mojem miejscu.

MARYA.

Każdy inny, ale nie pan Leon... Zresztą, nie każdy, pan Franciszek nie gra.

LEON.

Dziś grał.

MARYA.

Musi czasem, ale pewnie nie heroicznie.

LEON.

Znowu ironia!... na Boga! Pani nie wiesz jak boli!... Zresztą pani wiesz sama, co ja, o tej przeklętej grze i o tym całym trybie życia, myślę.

MARYA.

Myślę... a robię...

LEON..

I nie będzie to wielki heroizm, że odtąd karty w rękę...

MARYA (*prędko*).

A! i owszem. Byłby to śliczny heroizm! Jakżeż, prawdziwa ofiara! Jakby powiedział, który

z djabełkowych kolegów: la dame de pique pour la dame de coeur... ale ja nieśmiem przyjąć tej ofiary.

Panie Leonie, mówmy serio. Mam dla pana prawdziwą przyjaźń, a dowód, że nie będąc ciekawą...

LEON.

A! tak...

MARYA.

A tak! Nie będąc ciekawą, dowiadywałam się co pan robisz? Pan wiesz sam, żebym tego dla nikogo w świecie nie zrobiła.

Otóż ja lubię, aby ci, dla których mam przyjaźń, kochali się między sobą i... a właśnie za tygodni kilka, wraca tu z zagranicy mój pierwszy i najlepszy przyjaciel.

Pan nie znasz mego ojca? radabym że byś go poznał.

MAMA

*(która przez cały czas rozmowy starała się podstuchiwać odchodząc z córką).*

Chodźmy ztąd, Cecylko, bo się pięknych rzeczy nasłuchamy, ty niemasz milionów, i pamiętaj, że ci niewolno z kawalerem sam na sam po go-dzinach konwersować.

MARYA.

Straszne to muszą być rzeczy, kiedy ich do-słyszeć nie możemy. Miałabym chętkę prezentować pana tej damie, której nie znam, jako konkurenta do panny Cecylii, toby się zaraz złagodziła.

Mój ojciec jest człowiek stary, który ma silne

przesady... przed kilku miesiącami i pan miałeś te przesady... przeciwko graczom; i nie radabym żeby go doszła pańska sława w tym zawodzie.

LEON.

Zawsze pani byłaś aniołem, dziś mi jesteś aniołem stróżem, zapewne to modlitwy mojej matki w niebie...

(*Nadchodzi*) KASZTELANOWA.

Cóż ty tu robisz tak długo, Maryniu? Wale już dawno skończony. Jakież ważne narady z panem Leonem.

(*Mówi ciszej, Leon się trochę usuwa.*)

Moje życie, zapominasz żeśmy nie w mieście, ale w miasteczku, nie w Paryżu ani nawet w Wiedniu, ale w Dubnie. Tu każdy tylko patrzy co kto robi, a czego nie robi tylko słucha, co kto mówi, a czego nie mówi, odsunęłaś się od nas i tu siedzisz w kącie z panem Leonem, już się kilka razy pani Malińska pytała, gdzie jesteś, i w tem niby przypadkiem cię spostrzegła. Nawet już były mowy o kokieteryi panien, któreby rade mieć u nóg wszystkich, nawet tych, co nie są dla nich partyą.

MARYA.

Moja Ciotunieczko, jeszcze mam dwa słowa do powiedzenia panu Leonowi, a potem go odeślę, i będzie się starał razem o wszystkie trzy panny Malińskie. Prawda, panie Leonie?

LEON.

O wszystkie trzy, za dwa słowa.



KASZTELANOWA.

O, tak, żartujcie sobie, to najlepiej umiecie. A jednakby pan Leon powinien istotnie pomyśleć, że panna Anna i dobra i ładna i bogata, i dwie młodsze także nie brzydkie.

LEON.

Jeszcze moja godzina nie wybiła.

KASZTELANOWA.

Ale już druga wybiła, więc kończcie prędko co macie do mówienia i jedźmy spać.

*(Siada na miejscu opuszczonem przez Mamę i mówi z sąsiadką co na lewo.)*

MARYA.

Panny na wydaniu to plaga towarzystwa.

LEON.

A konkurenci? a raczej wyżyły na posag?... Widzi pani jak na nią czule patrzy książę Leopold.

MARYA.

Mniejsza o niego. Czy pan dawno znasz pana Pułkownika?

LEON.

Pułkownisia? niedawno.

MARYA.

I pan z nim masz ścisłą zażyłość?

LEON.

Stoimy razem, dawny przyjaciel mego ojca, i aż się rozplakał jak mię pierwszy raz zobaczył. Od tego czasu zawsze ze mną. Oddał mi ważne usługi w interesach, a ja z mojej strony radbym ile możliwości wywdzięczyć mu się za przyjaźń,

i wynagrodzić niesprawiedliwość losu, który się z nim srodze obszedł.

MARYA.

Czy zrujnowany?

LEON.

Stracił wiek i majątek w usługach krajowych, a teraz mu się ledwie jakie parę kroć sto tysięcy zostało.

MARYA.

Słuchaj pan! pan Pułkownik, dawniej nic nie miał; dzisiaj ma, i żyje jak pan milionowy. Mój ojciec, który o nikim lekko źle nie mówi — a zna go od młodości — pod błogosławieństwem zakazał memu bratu, jakiegokolwiek bądź z nim stosunku. Czemuż tu niema mego ojca! On by pana oświecił, bo wiem, że ma dowody, a ja się boję tego człowieka, ja czuję że...

LEON.

Ależ czy się pani nie mylisz? Poufały przyjaciel Prezesa, więc musi być człowiekiem honoru.

MARYA.

Ludzie co grają, nie wybierają przyjaciół. Mówię panu, że *tu* czuję, że z jego ręki odbierzesz straszną ranę...

KASZTELANOWA.

Maryniu serio jedźmy, bo mię już głowa okropnie boli.

MARYA.

Jedźmy! Biedna ciocia! (*całuje ją w czoło.*)

KASZTELANOWA.

Spodziewam się, że sesya skończona. (*Wstają.*)  
Zawisiu, powóz!

PUŁKOWNIK

(*przechodzi przez salę do 2go kawalera.*)

Nie widziałeś Leona? Gdzieś mi Leonek  
zginął.

2gi KAWALER.

Tu go znajdziesz, przy pannie Maryi. Po-  
bożny człowiek.

1szy KAWALER.

Heureux au jeu, heureux en amour.

2gi KAWALER.

Ot, w kącie gadają z sobą od godziny. Ado-  
rator ordynaryusz, stary Zawiski aż schnie z za-  
wiści, a weksle księcia Leopolda, za które jeszcze  
wczoraj Alperin dawał 50 za 100, jutro i dzie-  
sięciu nie będą warte.

1szy KAWALER.

Toujours des calembourgs.

PUŁKOWNIK (*zbliża się do Maryi.*)

Pani tak mało tańczyła.

MARYA.

Owszem, dużo.

PUŁKOWNIK.

Zmęczona?

MARYA.

Bardzo zmęczona. (*Odwraca się do Zawi-  
skiego, który wrócił i kiwnieniem głowy daje znak  
że powóz zaszedł. Damy z Zawiskim odchodzą*) (do

*Leona.*) Niech pan Leon pamięta, że to wszystko pewna, com mu mówiła.

ZAWISKI.

Ale i mybyśmy radzi wiedzieć, co to pani panu Leonowi tak długo mówiła.

MARYA.

Materyały do szkiców pana Leona, i pan tam jesteś.

ZAWISKI.

Ja? spodziewam się...

MARYA.

Nic się pan nie spodziewaj, podobniuteńki...

*(Po odejściu dam, wszyscy się powoli rozchodzą.)*

PULKOWNIK *(do Leona)*.

Już dwóch posłańców od Prezesa. Wszakżeś im winien rewanż.

LEON.

Idę. *(Odchodząc na stronie.)* To dziwna. Nie, ale to być nie może. Ona się myli.

PULKOWNIK *(sam)*.

Ta, ta, ta, ta. Paniczyk mi się wymyka. Jak to jednak dobrze rzeczy nie zwlekać, bo kto wie, coby to było jutro. Znają się widać dawno i dobrze. A jaka bestya skryta! żeby to mi był słówko o niej powiedział... tobym mu był dał antidotum... rzecz jakoś wystawił... bo kto to wie, czy ten stary kutwa córuni wszystkiego nie powiedział? A go-tów hultaj! bo to się djable głupiec gniewał za tę szkatułkę, wielkie rzeczy, prosta pożyczka!...

i czy córunia przed paniczykiem nie wypaplała? kiedy się znają, jak łyse konie na jarmarku.

LEON (*wraca zamysłony*).

Ja myślałem, żeś to ty moim powozem pojechał, bo go niema; a szwajcar mi powiedział, że nim pojechał ten pan, co to gra w karty.

PUŁKOWNIK.

Jak to gra w karty? Jak to gra w karty? I ty grasz w karty, i ja gram w karty, każdy gra w karty. Ale to pewnie, ten bestya szuler Hadziewicz! Otóż to widzisz, co to takich ludzi przypuszczać do konfidencyi!... Słowo daję, że ci się to kiedyś z butami na łóżku położy, a tymczasem wziął nam powóz, trzeba kazać...

LEON.

Kazałem, żeby mi dali wiedzieć, jak tylko przyjdzie. (*Kładzie się na sofie.*) Powiedz mi, Pułkownisiu, znasz ty starego brygadiera?

PUŁKOWNIK.

O, znam!

LEON.

Co to za człowiek?

PUŁKOWNIK.

Człowiek? to ryba nie człowiek.

LEON.

Jednakże...

PUŁKOWNIK.

Naprzód tchórz, i uznany za takiego. Jeśli chcesz, to ci to powie książę Janusz, on z nim służył.

LEON.

Czy jest tu Książę w Dubnie?

PUŁKOWNIK.

Nie, już odjechał. Ale jak kiedy do niego pojedziemy, to ci to opowie z detalami. Bo choć to teraz z nim żyją, jak się to zpanoszyło, ale mi to Książę tyle razy powiadał, że mi i przed tobą nie zaprzeczy.

LEON.

A miałeś ty z nim jakie stosunki?

PUŁKOWNIK.

O, i dobre, słowo daję, dobre, bo kiedym do tego lichwiarzyka jeździł, w interesie tego biednego *Wilczyńskiego*, którego on chciał zarznąć, wyraźnie zarznąć, tom mu to wszystko w oczy powiedział. To też mię kocha, co kocha to kocha... ale to moje nieszczęście, że jak rzecz idzie o honor, to się już wstrzymać nie mogę.

LOKAJ (*wchodzi*).

Powóz zaszedł.

(*Leon pomięszany wychodzi naprzód*)

PUŁKOWNIK (*sam*).

Ptaszek nie wyspiewał, a teraz: śpiewaj, śpiewaj skowroneczku, już też i ja orzę (*odchodzi*).

Scena II. — U Prezesa.

O s o b y.

PREZES — CICHOCKI, rezydent Prezesa — PAN FRANCISZEK — LEON — PUŁKOWNISIO, HADZIEWICZ, KUBA, szulery — Kilku grających Książąt, Pánów i młodzieży — Galerya — wchodzi później SŁUŻĄCY Prezesa.

*(Z przodu sceny od prawej strony dwa stoliki od kart razem złożone — naokoło grający siedzą, za nimi stoją, za nimi galerya — po lewej stronie sofka — z tyłu dwa stoliki mistowe — przy jednym z nich gra pan Franciszek — po lewej stronie stołu djabełkowego siedzi pan Kuba, przy nim siedzą Pułkownik i Leon, którzy w początku sceny wchodzą.)*

GŁOSY.

A, pan Leon, mistrz Leon, on obudzi śpiącego djabła. Sodalis Marianus! Czekamy, czekamy!

PREZES,

A, przecieżeś przyszedł.

PUŁKOWNIK.

Pan Hadziewicz z łaski swojej zabrał nam powóz.

HADZIEWICZ.

Pana Leona powóz; a przepraszam pana Leona, widząc człowieka Pułkownika, myślałem, że powóz Pułkownika, a że się on dość memi powozami najeździł...

LEON.

Nic się złego nie stało.

HADZIEWICZ.

Ja ciągnę, 10 peców. Kto bierze? — Nikt.  
pan Leon nie bierze?

LEON.

Dobrze.

HADZIEWICZ (*ciągnie i przegrywa*).  
I razu z nim przejść nie mogę, pfu!

PREZES.

Jakto? ledwie wszedł do pokoju!

(*Gra tymczasem idzie dalej, i wyrazy sześć, dziesięć, biorę,  
nie biorę i t. d. przerywają to, co następuje*).

GŁOSY.

A więc, panowie, co wziął Maliński za dwa szpakowate konie, no, 80 dukatów; dobrze, naręczny spleczony. A wiecie, panowie, co ceni za karego ogierka? Weźmie co zechce.

HADZIEWICZ.

Ale niech mi kto powie, co to jest, że córek żadną miarą zbyć nie może! — Już je drugi rok na kontrakty wyprowadza, a nikt ani spyta.

GŁOS.

„Trzy piękne córki było nas u matki.“

HADZIEWICZ.

A chyba, że dla tego, że trzy.

GŁOS.

Średnia kolankowata.

HADZIEWICZ.

Ale wiecie, że ta co z Kasztelanową, podobno Marysia. *Ser git*. Krepka dziewczyna, a jakie...



LEON.

Panie Hadziewicz, ja znam pannę Maryę.

HADZIEWICZ.

Jak to? i nie znajdujesz...

LEON.

Nie znajduję, żeby można o kobiecie mówić jak o krowie, przynajmniej przy znajomych.

GŁOS (z boku).

„Vivat Polonus! unus defensor Mariae.“

HADZIEWICZ.

No, ja serio znajdowałem, ale kiedy nie chcesz. A stary ci znajomy?

LEON.

Nie.

GŁOSY.

Huż na starego! Dajcie tu kutwę, lichwiarza.

Hola, Panowie! (pokazując na jednego z młodych) wujaszek Dobrodziej.

MŁODY.

Kto moich długów nie płaci, ten mi nie wujaszek, ja pierwszy trąbię, huż na łapigrosza!

GŁOSY.

Huż! huż!

PULKOWNIK (na stronie).

Niechże was wszystkich ucałuję, krwi złota!

JEDEN Z GRAJĄCYCH (do Prezesa).

Decidément nous sommes canaille en diable.

PREZES.

Cóż Książę chcesz? Drzwi im nie zamknę.

(*Głośno.*) Panowie! galerya, przeszkadzacie grze, oto pan Adam rozbiera się...

GŁOS.

Jakto, do koszuli?

PREZES.

I trzeba całą pulę obliczać. (*Obliczają pulę.*)  
No, pan Leon może tymczasem ciągnąć.

LEON.

Dwa pece?

GŁOSY.

Cóż, ty kpisz?

HADZIEWICZ.

Dajcie pokój, puszczaćcie go bez guwernera, może wygrać, a przegrać nie może.

LEON.

Dziesięć peców.

GŁOSY.

Ja biorę pięć, ja trzy, resztę pula.

(*Leon ciągnie i za kilka abcugami wygrywa.*)

HADZIEWICZ.

Samiście chcieli, dobre macie instynkta, no, teraz ciągnij dla mnie.

LEON.

(*Ciągnie, znowu wygrywa i oddaje karty, na stronie.*)

Nie chcę więcej, (*wstaje i rozlega się na sofie*),  
dłużej nie wytrzymam, ten Falstaff, co ją po imieniu nazywa, jej imię w tych plugawych ustach, te wrzaski, co mi wypędzają z ucha szczątki dźwięków jej głosu; nie, dłużej nie wytrzymam.

(*Tymczasem następujący po Leonie ciągnie i odrazu przegrywa.*)

HADZIEWICZ.

Szalony instynkt.

LEON (*na stronie*).

I jeszcze to szalone szczęście, co mię tak bez przerwy prześladowuje, pod sam jego przyjazd. Ale cóż ja z nim mam mieć wspólnego? zdaje się, że bez kwestyi niecnota, inaczej byłby Prezes nie pozwolił, i Prezes i Księżę, i tylu innych zacnych ludzi. Ojciec Maryi niecnota.

KUBA.

Piętnaście peców.

PUŁKOWNIK.

Służę panu. (*Kuba przechodzi i oddaje talię.*) Jak to, tylko raz? Drugi raz pozwolisz pan zapewne, żebym wziął na dwa razy, kiedy od razu uciekasz.

KUBA.

I na trzy, jeśli wola pańska.

PUŁKOWNIK.

Zobaczemy.

HADZIEWICZ (*na stronie*).

Tam do diabła! coś tu jest, wszak on wie, że Kuba zawsze raz pierwszy przechodzi; a stawiał.

LEON (*na stronie*).

Grać nie będę, dłużej grać nie mogę, byle się nie spostrzegli, że to jej wpływ, i byle się odegrali.

PUŁKOWNIK.

(*Na stronie, obejrzawszy się na scenę.*)

A to on tam do jutra za mną będzie siedział.

LEON (*na stronie*).

Tak dobrze będzie, od razu (*wstaje, do Pułkownika*). Weź, proszę, moją wygranę dzisiejszą obrachuj i dawniejsze, z tego wszystkiego zostaw mi sto peców, a resztą graj, aż przegrasz.

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Domyśla się, ale nie, to go Pan Bóg natchnął. (*Głośno.*) Ażem osłupiał, czyś oszalał? Ale rozumiem, chcesz zmienić rękę, i to się czasem robi.

LEON.

No, rozumiej jak chcesz, ale graj śmiało, a jak przegrasz, to ci podziękuję.

(*Przy stoliku, przy którym pan Franciszek, wist się skończył i grający rozbiegają się na nowo.*)

Panowie mnie przyjmą za czwartego.

GRAJĄCY.

Dobrze.

GŁOSY (*u stolika djabetkowego*).

A to co, dezercya, zdrada?

LEON.

Pan Pułkownik gra za mnie, on panom da rewanż.

JEDEN z GRACZY.

Nie rozumiem — szansa za nim.

DRUGI.

Czyż Księżę nie pamięta, że pan Kuba od dał talię, więc dobra szansa Leona teraz przejdzie na Pułkownika.

PIERWSZY.

C'est habile.

*(Leon zbliża się do pana Franciszka, który wstał i ręce i nogi od niechcenia wyciąga.)*

P. FRANCISZEK.

Cóż, pan już od djabełka?

LEON.

I serio, choć trochę późno, dość tego dobrego, a na expiracyę masz pan u mnie sto peców do składki.

P. FRANCISZEK *(dobywa pugilares i notuje)*.

Rzadko mi się to zdarza — a jednak prędzej później — wiedziałem, że ich pan porzucisz.

*(Siadają do wista.)*

HADZIEWICZ *(przegrywa i wstaje)*.

Ażebym też dzisiaj choć na śmiech przeszedł. *(Bierze pod rękę jednego z młodych.)* I ty sobie przerwij szansę, bo przegrywasz.

*(Siadają na sofie — Pułkownik zajęty liczeniem pieniędzy, tego ruchu nie widzi.)*

Widzisz, Leon ma zdatność, ale potrzebuje dużo, dużo nauki. Jeszcze pan lekko rzeczy bierze, jak się kompletnie zrujnuje — tak, za rok, dopiero dobrze grać będzie, nawet bardzo dobrze, będzie mógł grać i za granicą, u wód.

MŁODY.

W rouge et noire.

HADZIEWICZ.

E, co to warto, jakąż masz szansę przeciwko krupierowi? To lod. Ale z panami, nasi, Anglicy, Rosyanie, to ogień, jeszcze jak młodzi, a odgry-

wają się, a na krede, tylko nie bardzo, nie na długo.

MŁODY.

A u nas?

HADZIEWICZ.

U nas, to nie to co było. Hm, jak to było w Tulczynie, to się można było prędko dorobić nie złego kawałka chleba, a dzisiaj, jak wygrasz dwa, trzy tysiące dukatów, i to trudno bez pomocy.

MŁODY.

A ...

HADZIEWICZ.

No, ale, zatośmy w większej estymie u ludzi. Potoccy nas trochę jak famulusów traktowali. No, a dzisiaj, dobrze ciągnąć djabełka, i jak który z waszecia, Kom yl fo, to karyera.

Ot patrz, np. Miziewicz, co on by miał z tych trzynastu chłopów, co mu ojciec zostawił, a dziś pan, brat za brat z Księciem, Prezesem, i ze wszystkimi panami, a z szlachtą, na szlachtę łaskaw, panny za nim szaleją, bo o nim tylko słyhać, i dziś, jutro — zobaczysz, z jakim się on posagiem ożeni.

MŁODY.

A, pewnie.

HADZIEWICZ.

Albo Lisianski, co dziesięć lat chodził po posesyach, aż mu przyszła szczęśliwa myśl, zostać panem od razu.

MŁODY.

A jak przegra?

HADZIEWICZ.

A jak przegra? To już ci się nie utopi, są sposoby. Kredyt, czasem przyjaciel ci rękę poda, aż się szansa poprawi, zresztą dopomóż szansie. Albo i Pułkownik, różnie to z nim bywało, a dziś pan całą gębą, pan z panów.

*(Patrzy w stronę Pułkownika, który przegrawszy, dobywa z pod siebie pęk kart, zrećźnie niemi przykrywa talię i takową niby z gniewem oddaje Kubie).*

Widzisz. *(Chwyta młodego za rękę.)*

MŁODY.

Wartoby ich przestrzedz.

HADZIEWICZ.

A tak, właśnieby mi uwierzyli, dobrze tak durniom, otóż macie. Pułkownisio! Pułkownisio! a Pułkownisio, lepszy ode mnie, bo ja, chyba z Frycem, i to rzadko.

A, nie mówiłem, że się z Kubą znają, jak tyse konie, warto zbliżka zobaczyć. *(Zbliżają się.)*

PUŁKOWNIK.

Dobra pula, odemnie samego 100 peców. *(Do Kubie.)* Co pan wystawia? Dwa pece.

KUBA.

Choćby 50 dla pana.

PUŁKOWNIK.

Może pół puli.

KUBA.

Pół puli dla pana, ale pan podobno nie na swoje, wolę z pulą.

PUŁKOWNIK

*(próbuje w talji, czarna czy czerwona).*

Gdyby na moje, tobym wziął, ale i tak już przegrany.

LEON.

Bierz! bierz śmiało.

PUŁKOWNIK.

Nie, boję się, graj pan z pulą.

KUBA.

No, pół puli, to pan widzę, taki zuch. (*Ciągnie i wygrywa.*)

PUŁKOWNIK.

Za pozwoleniem, teraz wezmę, ale pan uciekniesz.

KUBA.

Spróbuj pan, może nie ucieknę.

PUŁKOWNIK.

A może, może, na dwa razy.

KUBA.

Może i na trzy, ale pan nie na siebie gra. (*Głośniej*). Czy pan Obłędzki pozwala?

LEON.

Bierz! Bierz.

PUŁKOWNIK.

Wartoby pana grzeczności nauczyć. Na trzy razy, a jak pan uciekniesz, to 20 peców sztrofu, zgoda.

KUBA.

Zgoda. (*Ciągnie i wygrywa.*)

PUŁKOWNIK

(*probuje w tali, czarna czy czerwona.*)

Nie mam instynktu, spuszcza pana, bez sztrofu.



KUBA.

Nie, pojedziemy dalej. (*Ciągnie i wygrywa.*)

PUŁKOWNIK.

Leonie! Leonie! chodźno, chodźno koniecznie. (*Leon przychodzi.*) Oto, idzie o to, czy brać na trzeci raz, czy nie brać? Winniśmy... (*przecinając pulę*) 160, 320, to 480, a sto do puli, 580, to już jest 80 wyżej nad wygranę, idzie o to, czy brać teraz 640, czy nie brać.

LEON.

A, oczywiście, że nie brać, i tak źle, żeś te 80 wzwyz zaryzykował, ale już się stało.

KUBA.

Za pozwoleniem panów, wcale o to nie idzie, tylko o to, czy ja panów spuszczę z trzeciego razu, czy nie spuszczę.

LEON (*zmięszany*).

Jak to! wzięłeś na trzy razy.

PUŁKOWNIK.

Tak, ale kiedy nie chcesz, to może insi rozbiorą, zresztą pula, nikt nie bierze? (*Cicho.*)

LEON.

Pocóżes mię tu wołał? (*do Kuby*) Ja nie mogę kwestyonować tego, co pan Pułkownik w mojem imieniu zrobił, ale pana proszę. Zresztą nie mam przy sobie tyle pieniędzy...

KUBA (*probuje w taliu*).

Czerwona, nie spuszczę, a jeżeli wygram, to mi pan jutro rano zapłacisz.

LEON.

Więc pula 80, a ja resztę.

*(Kuba ciągnie i wygrywa.)*

LEON *(zimno)*.

Zapłacę panu jutro rano. *(Odchodzi do wista.)*

PULKOWNIK *(zrywa się z krzesła)*.

Nie powinien był pozwalać.

GŁOSY.

Nie zostawiłeś mu wyboru. Nie mógł co innego zrobić.

PREZES.

Na kogo kolej? Albo, już niema puli, może dziś przestaniemy?

GŁOSY.

Jeszcze jedna, dosyć, dosyć. Dobranoc. *(Powoli rozchodzą się.)*

KUBA

*(cicho — przechodząc mimo Pułkownika).*

100 dukatów nad umowę za pracę.

PULKOWNIK *(cicho)*.

Mój Kubusiu, a gdzieżbym ja ci taką bagatelę kwestyonował? *(Na stronie.)* Poczekajno, ty infamisie, uszyję ci bóty.

*(Zostają: Pułkownik, Prezes i Cichocki.)*

To szczególne rzeczy, coś to to jest, żeby raz jeden nie zmykał, i właśnie wtedy, cztery razy przeszedł, coś to to jest.

PREZES.

A czemużeś grał do niego, na trzy razy, jak gdybyś nie wiedział, kto on taki.

PULKOWNIK.

Ale bo mnie bestya zniecierpliwiła temi szykanami.

PREZES.

Na cudze.

PULKOWNIK.

Jak to, na cudze? Na cudze! Cóż to Prezes przez to rozumie, na cudze.

PREZES.

No, no, wiem co mówię, i mów ciszej, mię uszy bolą.

PULKOWNIK.

Chcę mówić. Nie, ja tylko...

PREZES.

Wiesz dobrze, co to szykany, i sam gracza szykanujesz, żeby go zniecierpliwic. Na swoje byłbyś też nie grał.

CICHOCKI.

Czyś mu dobrze w palce patrzył jak ciągnął, czy nie sfilował?

PULKOWNIK.

Z oka nie spuściłem, gdzieżbym ja dla tego Leonka? Chyba swoje karty nałożył, ale to się można przekonać.

PREZES.

A, toby pięknie było w moim domu, ale pies ci tam za nich zaręczy, już ten Kuba galgan, to wiadomo. No, przerachujcie. Józef! Józef! (*Wchodzi służący.*) Wiele tu talii?

SŁUŻĄCY.

Sześć (*i odchodzi na znak Prezesa.*)

PREZES.

No, przerachujcie; (*rachują*) trzy, pięć, sześć talii, i wzwyż kart 27.

PUŁKOWNIK.

A co, nie mówiłem? Z gardła mu wydę, a, poczekaj rozbójniku, zaraz jutro.

CICHOCKI.

Nie bardzo, nie, nie odda, nie masz żadnego dowodu, że to on.

PUŁKOWNIK.

Jak to, dowodu? Prezes sam rachował, Prezes zaświadczy.

CICHOCKI.

Prezes zaświadczy, że było 27 kart więcej. A cóż Kubie do tego?

PREZES (*mrucząc*).

O tak, otwórz dom, to ci świnia wlezie, a potem, maczaj ręce w świństwa.

CICHOCKI.

Zda mi się, Pułkownisiu, że hałasem nic nie wskórasz, a tylko rozmażesz brud, który dla honoru domu...

PREZES (*żywo*).

Jeśliby przez to Leon miał odzyskać stratę... (*Wolniej.*) Ale mi się nie zdaje, a wyznaję, że bym nie chciał wchodzić do tego brudu.

PUŁKOWIK.

Jeżeli tak, to szał, słowo honoru. No, dobra-noc panom.

PREZES.

Zaczekaj, Józef! Józef! (*Wchodzi służący.*)  
Jak tu przyjdzie pan Kuba, rozumiesz, to mu  
drzwi pokażesz, rozumiesz? A jakby się wzbraniał  
to go wypchniesz, rozumiesz?

SŁUŻĄCY.

Rozumiem, (*idzie za Prezesem, który odchodząc  
rzuca surdut, za nim odchodzi Cichocki.*)

PUŁKOWNIK.

No, dobra noc panom. (*Sam*) Cha, cha, cha!  
to, to, to! Kubuś za 100 dukatów dostanie w kark,  
i co gorsza, nie będzie miał gdzie grać, a cnotli-  
wy Prezes, ma ze mną szulerski sekret; ha, ha,  
ha! dla honoru domu; ha, ha, honor domu, un  
tripot, honor domu. (*Odchodzi.*)

*Kurtyna zapada.*

## A K T II.

Nazajutrz.

Scena I. — U Leona.

O s o b y.

LEON — PUŁKOWNIK — *wchodzi później* SŁUŻĄCY  
Pułkownika — MORDKO, faktor Pułkownika — HA-  
DZIEWICZ — SŁUŻĄCY Leona.

*(Pułkownik w szlafroku i mydło przy stoliku kawę pije  
i lulkę pali. Leon wchodzi zmęczony, w drzwiach oddaje  
człowiekowi futro i rzuca się na łóżko.)*

LEON.

Nigdzie, (*patrzy na zegarek*) jedenasta, cztery  
godzin jeżdżę, wszystkich objechałem, nigdzie pie-  
niędzy, to rzecz dziwna, właśnie wczora, wszyscy  
mi, wszyscy kredyt ofiarowali.

PUŁKOWNIK (*spokojnie*).

Boś go nie potrzebował.

LEON.

Jedenasta i wkrótce się skończy, to jutro rano

a może i sam szanowny Kuba nadejdzie i będę kłamać przed nim, że za godzinę, prosić o łaskawą zwłokę.

PUŁKOWNIK.

Czy jużes skończył jeremiady? Widzę, bardzo serio te rzeczy bierzesz.

LEON.

A ty lekko i spokojnie, jak widzę. Wyznaję, żem się spodziewał pomocy od Ciebie w tym razie, tem bardziej...

PUŁKOWNIK.

Tem bardziej, że i moja w tem wina, chciales powiedzieć, o, co do tego, to się nie przyznaję wcale, płacisz za Donkiszotadę. Ja nie mogę kwestyonować tego co Pułkownik zrobił, a, kiedy nie możesz, to zapłać.

LEON.

Dajmy temu pokój, wszakem ci nie mówił, twoja wina.

PUŁKOWNIK.

Ale ja ci, mimo to, chętnie pomogę, je ne demande pas mieux. Ale proszę cię, cóż miałem gadać z człowiekiem, co od zmysłów odchodzi, co jeździ za pieniędzmi?

LEON.

Jakżeż, same przyjdą?

PUŁKOWNIK.

Same przyjdą, a jak same nie przyjdą, to ich pewnie nie przywieziesz, trzeba je tylko napędzić.

LEON.

Zmiłuj się, mów co robić! bo czas uchodzi.

PUŁKOWNIK.

A, tak to rozumiem. Jan! Jan (*wchodzi służący Pułkownika*). Przyrowadź mi Mordka, wiesz, Mordko, faktor, od Alperyna, niech tu zaraz przychodzi, zaraz.

SŁUŻĄCY.

Zaraz. (*Odchodzi.*)

PUŁKOWNIK.

Zobaczysz, jak same przychodzą, tylko proszę tak tragicznie tych rzeczy nie bierz, bo mi to działa na nerwy.

LEON.

Jak myślisz? Obedrą porządnie, pewnie 12ty procent, ale, rób co chcesz, tylko pamiętaj, za dwie godzin koniecznie, wszak do pierwszej ranek, kiedy się kto kładnie spać o czwartej?

PUŁKOWNIK.

Koniecznie ci idzie o niechybienie terminu, otóż to niemieckie wychowanie.

No, wiele to potrzeba? pokaż no rachunek, Kubie wiele?...

(*Wchodzi służący Leona i oddaje mu bilet.*)

SŁUŻĄCY.

Od pana Prezesa. (*Odchodzi.*)

LEON (*czyta i oddaje Pułkownikowi*).

Czytaj, ten przecież inaczej.

PUŁKOWNIK (*czyta*).

„Zgrałeś się wczoraj, a pewnie dziś pieniądze



dzy nie masz — i ja swoich nie mam, ale zajdź do mnie między trzecią a czwartą, to jakoś dostaniemy.“ (*Na stronie.*)

Że mi ten zawsze na przekor staje, a w porę wybrał się z listem, jeszcze on, co nigdy listów nie pisze, a gotów nawet wziąć u księcia, u którego zawsze gotowe pieniądze.

LEON.

No, i cóż myślisz?

PULKOWNIK.

Myślę, że się jeszcze na tem skończy, że się nakłaniasz daremnie, on wiele obiecuje.

LEON.

Spróbujmy pierwaj żyda.

PULKOWNIK (*wracając do rachunku*).

Kubie wiele? 640 peców, to 80 za 80, to będzie 3296 rubli. A wiesz co mi ten Jan podał za expens i sprawunki? 250 dukatów, to na ciebie 375 rubli.

LEON (*chodzi po pokoju*).

Nie wiele lat życia biednemu?

PULKOWNIK.

Mejerowi za powóz 200 dukatów, 600 rubli.

LEON.

Ależ ja mu mówiłem, że nie dam jak 120.

PULKOWNIK.

Jak chcesz, to ja dopłacę 80, bośmy nim jeździli, to bagatele.

LEON.

No, pisz 200 dukatów, 600 rubli.

PUŁKOWNIK.

Rachuj jeszcze na drobne sprawunki i drogę 100 dukatów.

LEON.

Ależ ja i igiełki już nie kupię.

PUŁKOWNIK.

Jak chcesz, ale ja już nie jedną rzecz kupiłem, i tu do użytku, i na drogę, ale to pójdzie na mnie.

LEON.

No, pisz, 50 dukatów, 150 rubli.

PUŁKOWNIK.

Ale, pozwól mi sobie powiedzieć, żeś djable twardy w rachunku, zkąd ci się to wzięło?

LEON.

Twardy? Chyba żartujesz.

PUŁKOWNIK.

Twardy i dobrze twardy, nawet skłonność do sknerstwa, pozwól sobie powiedzieć. No, więcej nie ma?

LEON.

Jeszcze pisz 100 peców długu.

PUŁKOWNIK.

Długu? Jakiego długu? Cóż to za dług, o którym ja nie wiem?

LEON.

Owszem, mówiłem ci wczoraj, żebyś mi z wygranej zatrzymał te 100 peców.

PUŁKOWNIK.

Już też ja pijany nie byłem, gdybyś mi był

mówił, tobym pamiętał. Nie mówiłeś, pewno nie mówiłeś.

LEON.

Pisz, 515 rubli.

PUŁKOWNIK.

No, więcej nic nie ma?

LEON.

Nic więcej, i tego dosyć, podsumujmy.

PUŁKOWNIK.

4936 do pięciu tysięcy rubli. No, to bagatela, sądziłem, że będzie więcej.

LEON.

Na mnie nie bagatela, mam wszystkiego 700 dusz, a na to dług bankowy, na to 100,000 prywatnych, moich już 3000 rubli, procent bankowy nie opłacony, w tym roku nie nie urodziło, to nie bagatela.

PUŁKOWNIK.

Ale to to ślicznie mówisz, tak jak pan Skępski, ciężkie czasy, podatki monarsze, ale ci powiadam, że masz wiele zdatności do sknerstwa.

LEON (*wpót do siebie*).

Przez lat sześć w Göttingen żyłem za 300 talarów na rok, a jednak dziś załuję tego życia.

PUŁKOWNIK.

Proszę cię nie mów mi takich rzeczy, jeśli nie chcesz stracić mego szacunku, wiesz, że diabli Pana nie wezmą. (*Mordko wchodzi.*)

A, pan Mordko, witam, co tam słyhać?

(*Kłania się nisko naprzód Pułkownikowi, potem Leonowi — mówi powoli.*)

MORDKO.

Klaniam uniżenie. No, i co ma być slychać? wszystko Bogu chwala dobrze.

PULKOWNIK.

A interesa, jak wam idą interesa?

MORDKO.

Interesa, ot jak zawždy. Nikt nie nie sprzedał, nikt nie nie kupił, wekslowej roboty niema. Ot chyba na slowo honoru pożyczyc, i z piędzmi się pożegnać. Czy pan wie o książe Leopold?

PULKOWNIK.

No co, książe Leopold?

MORDKO.

No co? slychać, że córkie tegoż staregie Brygadiere, nie pójdzie za niego. No co? a nasze 2,000 dukatów.

PULKOWNIK.

A! on, zapłaci.

MORDKO.

Zapłaci, zapłaci, a dziś rano wziol od Szei 500 dukatów, a wie pan na wiele wun dal skrypt, na 1,200, jak to zapłaci?

PULKOWNIK.

Toście nie porozdawali piędzdy?

MORDKO.

Jak to, nie porozdawali, pan Prezes wziol wczoraj 1,000 rubli.

LEON.

A co daje?

MORDKO.

Nu, to się nie mówi, co pańska laska, my mamy rachunki.

LEON.

A kto wziął więcej?

MORDKO.

Jak to, kto więcej? kuźdy z Panef.

LEON.

Książę?

MORDKO.

Nu, książę nie potrzebuje.

LEON.

Pan Franciszek?

MORDKO.

Nu, herste, na co jemu pieniądze? Abo wun gra, abo wun amatorz.

LEON.

Jak to amator?

MORDKO.

No amatorz, co stare konie kupuje. Pan Zabilski wziol 4,000 rubli sr.

LEON.

A co daje?

MORDKO.

Wun nie dużo daje.

LEON.

Ale przecież . . .

MORDKO.

Wun na rozkłady.

LEON.

Jakto na rozkłady?

MORDKO.

Wun płaci na św. Jan 3,000, a drugie trzy  
aż na kontrakty.

LEON.

Jakto, sześć za cztery?

MORDKO.

Na rozkłady.

LEON.

A! to piękna robota.

MORDKO.

Dobrze jaśnie pan mówi, że dobra robota,  
i wziol wszystkie gotowemi, ani fantów, ani to-  
warów.

LEON.

A! piękna.

MORDKO.

Ot, już pan Tadewisz, to wun dal skrypt na  
2,000, a wziol 1,000, to wun w 400 kerbel, wziol  
niedzwiadka, co nie warte i 200. A pan Marcen  
to wun zawsze bierze towary, a potem wodprze-  
daje.

PULKOWNIK (*cicho do Leona*).

Myślałeś widzę, że żydzi jeszcze płacą, kiedy  
pieniądze dają. (*Głośno.*) Panie Mordku, trzeba  
mi 5,000 rubli.

MORDKO.

Nu, a na kiedy jaśnie pan potrzebuje?

LEON.

Dziś, zaraz.

MORDKO.

To dla jaśnie pana?

PUŁKOWNIK.

Co tobie do tego, dacie, czy nie dacie.

MORDKO.

My dla jaśnie Pulkownike, zawsze damy, ale dziś nie mamy, dopiero jutro mamy terminy.

LEON.

To na jeden dzień możesz dostać.

MORDKO.

Aj wej, żydowski procent.

*(Wchodzi służący Leona)*

SŁUŻĄCY.

Jakiś pan chce się widzieć z panem.

*(Widać przezdrzwi, Kubę w futrze, szal na szyi, czapka na głowie, zaziera do pokoju.)*

LEON.

A! pan Kuba, przyjmę go u ciebie.

*(Wychodzi, słychać w przedpokoju... proszę... co następuje do powrotu Leona, półgłosem.)*

PUŁKOWNIK.

Czy ci Kuba odniósł pieniądze?

MORDKO.

Nu, odniósł, ale jakie kulfony.

PUŁKOWNIK.

Jakto, nie pece? A to łotr, już gdzieś zwał.  
ksłował.

MORDKO.

I mówi, że sobie wziol 100 dukatów.

PUŁKOWNIK.

Wiem, wiem!

MORDKO.

Ale to dużo brakuje do 5,000 rubli.

PUŁKOWNIK.

Dołóż swoich, to ci w wieczór oddam.

MORDKO.

No herste, zkądże ja mam dolożyć swoich, ja  
biedny żydek.

PUŁKOWNIK.

Albo poczekaj. (*Dobrywa ze szkatułki i daje.*)  
Tyle?

MORDKO (*patrzy na asygnaty*).

Nu, to to co ja pana od pana Grafa przy-  
wiósl, pan mnie skrzywdzil za ten interes, cośmy  
dali panu Grafa pieniądze pana Leona, ja wiem  
pan wziol 800 dukatów, a mnie pan dal wszy-  
stkiego 10 dukatów! Pan mnie wyraźnie skrzy-  
wdzil, przecie to ja nastęrczył. Cały interes szedł  
na moje imie. Niech jaśnie pan da jeszcze 5  
dukatów.

PUŁKOWNIK.

A! ty szachraju! Cóż to, ja nie znajdę dzie-  
sięciu kapcanów, co mi lepiej jak ty usłużą?



Nie dosyć z niego 10 dukatów. A teraz, jak się Kuba zgodził za dzisiejszą robotę.

MORDKO.

Wun mnie dawał 100 r. as., ale ja nie chciałem, chciałem 200.

PULKOWNIK.

Łziesz, pewnie się Kuba za to zgodził, on lekko rzeczy nie robi, a ja ci dodam 50 rubli, tylko pamiętaj, trzymaj się, od 7,000 rubli nic, mów, żebyś jutro zrobił za sześć, jemu dziś koniecznie potrzeba.

LEON (*wchodzi, cicho do Pułkownika*).

Pan Kuba nie łaskaw, nie chce zaczekać, powiada, że ma jakiś pilny wypłat, nawet mi zaczął przycinać i musiałem go za drzwi wyprosić, dałbym był wiele, żeby było można uniknąć tej konwersacyjki.

PULKOWNIK (*na stronie*).

Teraz mój, (*cicho do Mordka*), ośm tysięcy. (*Głośno.*) No, panie Mordku, głupstw mi nie gadaj, jak to być może żebyście wy mieli trudność dostać pieniędzy zaraz.

MORDKO.

Co jaśnie pan mówi, trudność, ja na dziesięć od sta do jutra nie znajdę, to dziś największe terminu. Ot wie jaśnie pan co, dam jaśnie panu jutro rano 5,000 rubli, a jaśnie pan, da mi skrypt, na rok, na 16 Stycznia w Kijowie... na 7,000 bez procentu. Czegóż pan chce?

PUŁKOWNIK (*cicho do Mordka*).  
Ośm, durniu.

MORDKO (*cicho do Pułkownika*).  
Czego się pan boi?

(*Leon jeszcze raz robi znak niecierpliwości, ale odtąd siada i z rezygnacją słucha.*)

PUŁKOWNIK.

Co, 7,000, a to rozbój czysty, myślicie, że się wam parę razy udało, to mię tak zawsze odbierać będziecie, dam 12ty procent, a więcej ani grosza.

MORDKO (*chce odchodzić*).

Wola jaśnie pana! Niby to jaśnie pan pierwszy raz, jaśnie pan wie, że my ledwie połowę pieniędzy odbieramy. Ot, jeżeli jaśnie pan chce to sprzedam skrypt książe Leopold za 500 dukatów.

LEON (*cicho do Pułkownika*).

Czy myślisz że ustąpi? (*Pułkownik trzęsie głową.*) No, to kończ i niech go djabli wezmą.

PUŁKOWNIK.

No mniejsza o to, dam ci skrypt na 7,000, ale pieniądze zaraz.

MORDKO.

Zaraz, a zkadże ja wezmę zaraz, u nas pieniądze dopiero jutro będą, jak nam terminu nie chybią, jaśnie pan wie, ten Josiel Berdyczowski...

LEON.

Gadaj co chcesz, a pieniądze zaraz.

MORDKO.

Zaraz, a zkądże ja wezmę zaraz?

LEON.

Pożycz!

MORDKO.

Pożyczyć, ja i na dziesięć od sta do jutra nie dostanę, a jak jutro Josiel chybi... to dla jaśnie pana?

LEON (*patrzy na zegarek*).

Dla mnie, gadaj prędzej co chcesz za pięć tysięcy rubli zaraz.

MORDKO.

Ale jaśnie Pułkownik da skrypt przed aktem.

LEON.

Ja dam skrypt.

MORDKO.

A jaśnie Pułkownik zaręczy przed aktem.

PULKOWNIK.

A, zaręczone, jak zechcesz.

LEON.

Nie, Pułkownik ręczy ci słowem, i nic więcej, gadaj od razu, co chcesz. (*Do Pułkownika.*) Niema środka, muszę iść do Prezesa.

(*Pułkownik daje żydowi znak.*)

MORDKO.

Co panu wiele gadać, dasz jaśnie pan skrypt na 8,000 bez procentu, a ja już muszę się jaśnie panu zaraz pieniędzy wystarać.

LEON.

Za pół godziny?

MORDKO.

Cóż mam z jaśnie panem robić, za pół godziny.

PUŁKOWNIK.

Ależ on cię ze skóry obdziera! 3,000 r. procentu, ja na twojem miejscu bym poszedł do Prezesa.

LEON.

Cóż robić, i tak dosyć upokorzenia, (*do Mordka*) przybij rękę, pieniądze tu, za pół godziny, (*przybijają rękę, do Pułkownika*) czy mogę cię prosić abyś mnie w tych wypłatach zastąpił, bo wyznaję, żebym się nie rad spotkał z panem Kubą.

PUŁKOWNIK.

A jakżebym ci tak małej rzeczy odmówił?

LEON (*ściska go za rękę*).

Chodź, skrypt napiszę u ciebie. (*Odchodząc*.)  
O! wielki mi kamień spadł z głowy.

MORDKO (*sam mówi żywo*).

Nu, mówią że żydzie ganef, ot jasny pan ganef, tam mi urwał 15 kerbel, tu znowu 50 r. as. 15 kerbel, 30 kerbel. Tego panicza obdarli. Nu, to wun mlodem glupem, ale moje 30 kerbel, 30 kerbel.

(*Chce wychodzić, ale zmięszany staje, usłyszawszy głos Hadziwicza.*)

HADZIEWICZ (*w przedpokoj*).

A jak się ma pan Jan, niema pana Leona?

wyszedł, to nie, ja zaczekam (*wchodzi, na stronie*) powiem mu wszystko, szkoda chłopca, i nie mam co menażować tego Pułkownika co mi wszędzie bóty szyje, a tak, to ja szuler, ja, co w sztosu biję wszystkie trzy karty (*sposstrzega Mordka*). A ty tu wisusie co robisz?

MORDKO (*w tej scenie mówi bardzo prędko*).

No herste, ja faktorz jaśnie Pulkownika.

HADZIEWICZ (*na stronie*).

To pewnie motiant, w wczorajszej robocie, ale poczekaj, wyśpiewasz ty mi wszystko. (*Głośno*.) Faktorz jaśnie Pulkownika, a pamiętaszno ty kobyła głowo, fałszywy skrypcik?...

MORDKO (*zbliżając się*).

No herste, czego pan tak głośno gada.

HADZIEWICZ.

A chodźno ze mną do policmajstra, gołąbeczku, siedziałeś ty kiedy w turmie.

MORDKO.

A co panu z tego przyjdzie, że mnie obedną. Ja lepiej WPanu odslużę.

HADZIEWICZ.

Albo słuchaj, ty dobrze wiesz, żeś w moim ręku i że jak zechcę to cię nie popuszczę.

MORDKO.

Niech się WPan zmiluje, ja WPanu odslużę.

HADZIEWICZ.

Na ile ty jesteś w interesie Pulkownika i Kuby z Leonem.

MORDKO.

Nu, jak W Pan wie?

HADZIEWICZ.

Wiem, i jak mi się szczerze wypowiadasz, to cię puszczę, a jak mi w najmniejszej rzeczy zeżesz, to do turmy.

MORDKO.

Nu, na co panu wiedzieć. (*Po namyśle.*) A co mi pan da jak wszystkie powiem, mnie pan Pułkownik skrzywdził na 30 kerbel.

HADZIEWICZ.

Dam ci kpie 30 rubli, jeżeli warto, marsz do mnie na stancję. (*Wychodzi za żydem.*)

LEON (*wchodzi, trzymając skrypt w ręku*).

O! kamień mi spadł z głowy, a teraz, bądźcie mi zdrowi panowie koledzy. Ten rozbrat trochę mię grubo kosztuje, ale to się pracą nagrodzi.

To jednak rzecz dziwna, jak mógł Pułkownik, tak lekko i wbrew mojej woli, w to mię błoto wprowadzić. Co to może nieporządek.

A radbym, żeby też Marya wiedziała, żem nie grał, żem nie przestał grać od razu, żeby kto nie pomyślał, że jej to ofiaruję, że mi szło o to, żeby o niej nie mówiono, że ta ostatnia przegrana nie z mojej winy.

Już blisko pierwszej, zdaje się, że można. Maciej, (*wchodzi służący Leona*) wiesz gdzie stoi pani Kasztelanowa?

SŁUŻĄCY.

Nie wiem.

LEON.

Ztąd blisko u Makarowicza, pójdź się dowiedz, o której godzinie można jej służyć.

SŁUŻĄCY.

Ależ ja nie wiem gdzie Makarowicz.

LEON.

Na końcu języka, weź faktora.

**Scena II. — U Kasztelanowej.**

O s o b y.

MARYA — KASZTELANOWA — ZAWISKI — wchodzi  
później SŁUŻĄCY Kasztelanowej.

*(Nibyto salon, porozkładane nasze, kartony, przy kanapie Kasztelanowa z robotą i Zawiski, na boku przy małym stoliku Marya przerzuca stroje w kartonie.)*

MARYA.

Już dziś jedenasta nowina pana Zawiskiego.

KASZTELANOWA.

To tedy powiadasz, mój Zawisiu, że pani Zabilska nie będzie dziś u Księżny, dla tego, że ta dopiero wczoraj była u niej z wizytą; domyślałam się, że coś jest między niemi; wczoraj na reducie pytałem się jej, jak się ma Księżna. Odpowiedziała mi dosyć kwaśno, „o, zdrowa, ona teraz ciągle zdrowa,“ a ja wiem, że w tych dniach, przed naszym przyjazdem, Księżna była istotnie chora.

ZAWISKI.

Tak, a jednak mogła być u pani Radeckiej, u pani Malińskiej, u pani Wolfenbergerowej.

KASZTELANOWA.

Bo z niemi nie żyje, Zawisiu, bo z niemi nie żyje, pani Zabilska nie ma racyi. Księżna była istotnie słaba, wizyty konieczne musiała zrobić, ale dla tych, z którymi jest ściśle, mogła się uwolnić, mogła, u mnie wcale nie była, a mimo to dziś będę na wieczorze.

MARYA.

Comme c'est petite ville, nie spodziewałam się tego po pani Zabilskiej.

ZAWISKI.

Już to pani będziesz zawsze przeciwko konwenansom, a jednak dzisiaj, kiedy...

MARYA.

Przeciwnie, ja bardzo wdzięczna jestem pani Zabilskiej, bo mi się po niej dostało miejsce w kadrylu. Patrz Ciociu, jak dobrze w garnirowaniu, te kabalistyczne litery, albo ten turban biały.

ZAWISKI.

Czy wszystkie gitany mieć będą biały turban na głowie?

KASZTELANOWA.

Wszystkie, c'est de rigueur.

ZAWISKI.

Jak to, i nasza kochana Hrabina?

KASZTELANOWA.

A, prawda, że Hrabinie będzie fatalnie w bia-



tym turbanie. A to pewnie zła myśl Szambelanowej, to ona kadryle i kostyумы układała. Biedna Hrabina, c'est inoui comme elle est pas-sée, a nie ma jak dwadzieścia kilka, pamiętam w 1830tym na balu kostyumowym u pani Stanisławowej, jaka była prześliczna, nie mogła mieć więcej, jak lat 18, tak 18. Pamiętasz ją Zawisiu, w kadrylu des egiptiennes, z księżną Anną, i Bezobrazow po polsku, pamiętasz les français de la Muette, la la la, la la la, la, la la la, la la la, la, li.

ZAWISKI.

A pamięta też pani bal u pani Aleksandrowej w 1816tym, kiedy...

MARYA.

Niech Ciocia przerwie, bo już blisko pruskie czasy, to jak się broń Boże pan Zawiski do nich dorwie...

ZAWISKI (*kwaśno*).

Ale co to jest, że panna Maryanna dziś się tak zajmuje toaletą, wszak zwykle...

MARYA.

Zawsze lubię kostiumy, Ale coś pan chciał mówić o Hrabinie?

ZAWISKI.

To, że chudnie, bo pan Edmund niewierny.

KASZTELANOWA.

Dajże jej biedaczce pokój, ten stary Hrabia, to bezecny człowiek, on ją strasznie tyranizuje, wiem, choć się ona nigdy nie skarży.

MARYA.

Il me fait l'effet d'un Vampyre, il y a de quoi maigrir à voir cette figure, ne fut-ce qu'une fois par semaine.

KASZTELANOWA.

To dobra bardzo kobieta, nie uwierzysz, ile ona dobrego robi.

ZAWISKI.

U pani wszystkie bardzo dobre, jednak pan Edmund.

KASZTELANOWA.

Pan Edmund ją kompromituje. Pan Edmund fat, tak jak wszyscy mężczyźni.

ZAWISKI.

Jednak nie wszyscy, ja nigdy...

MARYA (*ze śmiechem*).

Jak to, pan i siebie liczysz między lwy?

ZAWISKI (*kwaśno*).

Nie, ale, chciałem powiedzieć, nie wszyscy, np. pan Leon... szkoda tylko, że się wczoraj zgrał.

MARYA (*żywo*).

Pan Leon wczoraj grał, to być nie może.

ZAWISKI.

Nie sam, owszem udawał, że nie gra, ale...

KASZTELANOWA.

U Prezesa? cóż było u Prezesa, zapewne ci panowie grali pour changer.

ZAWISKI.

Gdzie dam nie ma, tam pewnie gra i złe towarzystwo, mieliśmy tego obojga.

KASZTELANOWA.

To prawdziwa plaga towarzystwa ta gra, już niema rozmowy, już niema dowcipu, i wszystko się na tem zasadza, żeby umieć karty rzucać, to prawdziwie nieznośnie.

ZAWISKI.

To podnosi zasługę wiernych.

MARYA.

Jednak któż wygrał?

ZAWISKI.

A kto przegrał? Pan Leon najwięcej przegrał.

MARYA.

Kiedys pan dopiero mówił, że nie grał.

ZAWISKI.

Musiał mieć ważne jakieś powody, żeby nie grać, bo przybrał minę dyplomatyczną, z której żartowali koledzy djabełkowi, ale posadził na swoim miejscu Pułkownika, czy był z nim w wspólnie; słowem, powiadają, że przegrał kilka tysięcy dukatów.

MARYA (*obojętnie*).

A kto więcej przegrał?

ZAWISKI.

Nikt znacznie.

MARYA.

A kto wygrał?

ZAWISKI.

Szanowny pan Kuba.

MARYA.

Niezmiernie mię interesują te obroty fortuny, jest wiele poezyi w grze, nie pojmuję jak męczyzna może nie grać, kiedy wszyscy grają, wyraźnie trzeba nie mieć krwi w żyłach, trzeba być babą.

ZAWISKI.

To chyba dobre dla tych, co nie potrafią nic lepszego, jak sprawiedliwie mówi pani dobrodziejka, że dowcip, takt, konwersacya, wszystko to tam za nic; (*patrzy na zegarek*) aj, już blisko pierwszej, Księżna na mnie czeka. Adieu, (*do Maryi*) zkądże to dziś, tak popadłem w niełaski, ingrate. (*Odchodzi.*)

KASZTELANOWA.

Widzisz, ingrate, jak bo go ty męczysz dzisiaj, najwierniejszego adoratora.

MARYA (*żywo*).

Ja nie wiem jak ciocia znieść może, tego nudnika, plotkarz i kłamca.

KASZTELANOWA.

I owszem, prawda że nudny, ale pewny w pożyciu, komeraża nie skomponuje, z mego salonu nic nie wyniesie. Il est d'un commerce sur, et ces vertus negatives, jak je twój ojciec nażywa, są najważniejsze w pożyciu. Il ne fera pas d'extravagances qui comprometent, nowinki opowiada, to tak jak kuryerek, a co się tycze kłamstwa, tom dotąd niepostrzegła...

MARYA (*żywo*).

Jak to, to Ciociu myślisz, że to prawda, że pan Leon wczoraj grał i dużo przegrał?

KASZTELANOWA.

Pewna jestem, tylko ci mówić nie chciałam bo wiem, że się nim interesujesz, mówił mi dziś rano Ksiączę. Ale widzę, że pan Leon tak jak drugi, i że cię kompromituje, za to żeś mu może dała dobrą radę (*patrzy na Maryę, która bardzo zbladła*). Maryniu, co ci to, o mój Boże, mdleje. Co ci to Maryniu? prędziej, doktora!

MARYA (*przychodzi do siebie, prędko*).

Nie, nie wołaj nikogo... to nic, to przejdzie (*ociera łzę*) już przeszło Ciociu. Ale bo, prawda Ciociu, że to boli, daj mi wody (*ciotka jej podaje wodę*). Ja mu daję szczerą, prawdziwą przyjaźń, jak siostra bratu... człowiekowi, u którego słowo, prawdziwe słowo, wiatr, co używa z sumieniem żydowskich wybiegów, co mnie afiszuje. (*Prędziej.*) Ach Ciociu! moje imię w ich bezecnej myśli, może nawet wielu bezecnych ustach. O, to boli.

KASZTELANOWA.

Biedne, dziecię moje drogie, a jednak warto by, żebym cię połajała. Jesteś na świecie tak jak mężatka, masz swoje mężkie stosunki, nie żenujesz się jednych przenosić nad innych, i im się więcej te damy gorszą, tem ty się więcej afiszujesz. Weszłaś w fałszywe położenie, od którego by cię było zachowanie trochę konwenan-

sów ochroniło, a co gorsza, dzisiaj, kiedy ci się zdaje, że ten brat, któremu dajesz przyjaźń siostry, nie wart tej przyjaźni, że cię afiszuje przy stoliku od kart, dzisiaj zobaczysz, że nie potrafiśz sobie dać rady, i albo go raptem odtrącisz, albo przyjmiesz jakie tłumaczenie i znów *da capo*; i w obu razach się zaafiszujesz przed ludźmi, którzy w dzień i w noc tylko patrzą i myślą jakby z żaby zrobić wołu.

MARYA.

A, radabym wiedzieć, jakie tłumaczenie, jakież może dać tłumaczenie Ciociu. Cóż to, ja sumienie, żeby mię tak łatwo oszukać. O, explikacye, jakież explikacye, czyż rzecz z siebie nie jasna? I to właśnie w momencie kiedy Papa przyjeżdża.

KASZTELANOWA (*na stronie*).

Oho, to taka przyjaźń siostry. I żem też ja wyraźnie zgłupiała, żeby nie widzieć, że się te przyjaźni muszą na tem skończyć.

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Pan Obłądzki przysłał się dowiedzieć o której godzinie jaśnie pani przyjmuje.

MARYA (*cicho*).

Ciociu, nie, nie, o żadnej godzinie... ale trzeba żeby wiedział... nie, ja go nie mogę widzieć, powiedz mu Ciociu, albo lepiej napisać, Ciociu, droga Ciociu, napisz, proszę cię, napisz.

KASZTELANOWA (*do służącego*).

Niech zaczeka. (*Służący odchodzi*.) Maryniu

zmiłuj się, co ci to jest, powiem, napiszę, zrobię co zechcesz, tylko się uspokój. Mnie się zdaje, że go przyjąć, ty się nie pokazuj, a ja go zimno przyjmę i dam mu do zrozumienia, że cię kompromituje, a ty, bez żadnej explikacyi...

### MARYA.

Nie, Ciociu, trzeba koniecznie żeby wiedział, powiedz mu Ciociu... albo lepiej napisz (*daje jej pióro w rękę, Kasztelanowa pisze*), napisz, „żeśmy tak zajęte... ja bardzo cierpiąca... a moja Marynia mnie nie zastąpi, bo dziś, w tak przykrym humorze dla adoratorów, że Zawiski wyszedł ztąd ledwo żywy, a pan Leon właśnie dziś potrzebuje względów, bo go podobno wczoraj odstąpiła fortuna, dotąd mu tak wierna. A potem Marynia, która właśnie nadeszła, a która ma pretensyę, że posiada ważne rewelacye od jakiegoś neapolitańskiego gracza, przestrzega pana że w grze dwóch rzeczy strzedz się bardzo należy, aby nie powierzać swojej gry drugiemu, bo szansa nie znosi dwuznacznego postępowania, i że są pewne wyrazy, które przez gracza lub z jego przyczyny wymówione, stanowczo wpływają na szansę. I jeżeli pan zachowasz ściśle te zasady i prócz tego mieć będziesz na sobie do uroku, czy to ząb wilczy, czy nóżkę rakową, czy kawał gałązki koralu, to się pan dziś jeszcze kompletnie odegrasz.“

### KASZTELANOWA.

Ależ on pozna, to nie mój styl, nie mój sposób...

MARYA.

Co to szkodzi, dowie się, że i my wiemy  
Ale opłatka (*wychodzi za opłatkiem*).

KASZTELANOWA.

Ale słowo, żadnej explikacyi.

MARYA.

Słowo, chyba Ciocia sama pozwoli (*wychodzi*).

KASZTELANOWA.

Ty wiesz, że pozwolę, jak zechcesz. A tak  
pewnie będzie explikacya, i żale, i zgody; Ma-  
rynia i tak zaalterowana, a tu sto ócz. Jak pan  
brat przyjedzie, niech sobie robi co chce, ja nie  
mogę na siebie przyjąć tej odpowiedzialności (*do-  
pisuje w liście*).

MARYA (*wchodzi*).

Ale Ciociu, czy to nie za twardo... może  
dodać...

KASZTELANOWA.

Nic już nie dodawaj, (*dzwoni, pieczętuje i odda-  
je wchodzącemu służącemu, służącemu pana Leona.*)

Scena III. — U Leona, jak wyżej.

O s o b y.

LEON — później wchodzi SŁUŻĄCY Leona —  
PUŁKOWNIK.

LEON (*sam*).

(*Chodzi po pokoju i często patrzy przez okno.*)

Wkrótce ją zobaczę. Ale tu widzę Maciej  
nie przyjdzie wcale.



To rzecz dziwna, jak jej głos podobny do głosu matki. Matko, wszakżem ci był obiecał, że się nigdy usta moje nie dotkną tego kielicha, co ma tyle goryczy na dnie, a z brzegu tak mało słodczy, jaka słodczy? odurzenie, opium, wódka, tonik, po którym atonia, a potem, takie momenta jak przed godziną, jaka słodczy? O, bo są rzeczy słodkie na ziemi, głos Maryi (*patrzy przez okno*) gdzieś się bestya zapła, nie inaczej, wszak to ztąd blisko.

Jednak, przed starym się nie ugnę, brudu nie zrobię, choćbym raj widział przed sobą. O raj! (*wchodzi Maciej*) a przecież, no, i cóż (*Maciej od- daje bilet*) to od kogo?

MACIEJ.

Od pani Kasztelanowej (*odchodzi*).

LEON.

A, list, co to jest, że mi drżą ręce (*czyta*). O, to jej słowa, jej list cały, uprzedzona, dwuznaczne postępowanie, wytłumaczę się, musi się przekonać, dziś wieczór; a, ha tournez. Jeszcze Kasztelanowa: „ceci est de moi. Mam pana Leona za człowieka uczciwego, i dla tego tłómaczę się otwarcie. pan znasz Marynię. Pan wiesz, że tak jak się nie taila przed światem, z przyjaźnią, którą ma dla Pana, tak i żalu który mieć sądzi, utaić nie potrafi, nie zechce. Sam Pan widzisz, czy to jest miejsce do explikacyi, i że ja pod niebytność brata, jestem odpowiedzialną nawet za plotkę, która zresztą i Maryni byłaby

nieprzyjemną. Jeżeli Pan możesz, oddal się na dni kilka, to my tymczasem odjedziemy do Żabiniec, na spotkanie mego brata, który jak tylko przyjedzie, uwiadomię Pana, bo sądzę, że zechcesz poznać przyjaciela rodziców. Brûlez.“

Jakto, wyjechać zaraz, i jej nie powiedzieć, że się myli, zostawić ją w myśli, żem jej wyrazy i swoje słowo tak lekceważył. A kto wie, może i co więcej, bo cóż znaczy, co tamta pisze; plotka, pewnie już plotka; nie, nie mogę, pójdę, a potem odjadę.

Da mi wiedzieć, że brat przyjechał, a jak nie da wiedzieć, to rozumiem, wyjadę zaraz nie nie mówiąc; to dopiero straszna ofiara.

PULKOWNIK (*wchodzi*).

Cóż to za tragiczna mina, Marius sur les ruines de Cartage, szczególnie jeżeli się zgrał wilią, cha, cha, dobry moment do rozpamiętywania. Każdy przez to przechodził.

Wszystkie interesa ci pokończyłem, a żeś Niemiec, a nawet bankier, oto masz recepisse od Kuby, to od Franciszka, to od Mejera. Podziękujże przynajmniej.

LEON.

Istotnie, bardzo ci dziękuję, wielkąś mi zrobił grzeczność, bo nie mam i momentu wolnego. Odebrałem ważne listy z Obłędów, i zaraz tam jadę.

PULKOWNIK.

Co? żartujesz; a dzisiejszy obiad u Księcia, a partya. Jakto, czy ty istotnie jedziesz, więc nie jedziemy razem?

LEON.

Nie mogę ci proponować, żebyś wśród kontraktów wyjeżdżał; muszę jeszcze pójść się pożegnać z Prezesem i podziękować (*odchodzi. W drugim pokoju*). Maciej! idź na pocztę, i...

PULKOWNIK.

Wyraźnie, dziś się nastraszył, że się wczoraj zgrał, ha, ha, w samą porę, a może istotnie interes. Jan! (*wchodzi służący*) czy był tu dziś jaki posłaniec do pana Leona albo pocztylion z poczty?

SŁUŻĄCY.

Nie, nie było, tylko Maciej przyniósł jakiś kartelusik od pani Kasztelanowej (*na znak odchodzi*).

PULKOWNIK.

Aha, un ordre de Mademoiselle, zapóźno skowroneczku, consumatum est, aha, paniczyk się zrywa, jak to dobrze, że już antidotum dane. Cichocki ich napompował. Ja biedny, byłem w motij, nawet więcej przegrałem jak Leon, a jakem się starał o pieniądze, wszyscy wiedzą, i ten stary dureń Żukowski, co to taki skromny i poczciwy, że mi się aż na womity zbiera jak go zobaczę; dziś u Prezesa powiedział mi z rozczuleniem: już to prawda, że nasz Pułkownisio nie mnich, ale co przyjaciel, to przyjaciel. A teraz, co dalej? Teraz, ja go wyprawilem na wieś, bo się chciał odgrywać; nie chciał wyjeżdżać, gniewał się, niewdzięczny, a do tego brudny w ra-

chunkach, można i więcej. Jak to mnie serce  
bolało etc., etc., i teraz oni wszystkiemu uwie-  
rzą, bośmy w przyjaźni i na jednej stancyi; a jak  
się dudek zerwie, i potem co na mnie bąknie,  
żeby i ewangelia, to mu już nikt nie uwierzy,  
antidotum, cha, cha, cha.

*Kurtyna zapada.*

## AKT III.

W rok później — w Kijowie.

Scena I. — U Sędziego.

Osoby.

SĘDZIA PIENIAŻEK — KOMORNIK (achates Sędziego). (Wchodzą później) SŁUŻĄCY — SĘDZINA — LEON — PŁACHECKI (adwokat Leona) — ZARĘBA.

*(Mały brudny pokoik, kilka stołków, w rogu stoi skrzynia, na środku stolik z papierami.)*

SĘDZIA.

To Aspan myślisz, że go w tym roku jeszcze doprowadzisz do sprzedaży? Wątpię.

KOMORNIK.

Ale nie inaczej.

SĘDZIA.

Wątpię, ledwo dojdzie do zakładnej.

KOMORNIK.

Nie da zakładnej, mówił wyraźnie, że za nic nie da, że chce koniecznie sprzedać.

SĘDZIA.

Mówił to? Ależ to fryc, mój panie Antoni,

to może się i co da zrobić, a wiele tam morgów  
wszystkiego?

KOMORNIK.

Wszak pan wie, 9500.

SĘDZIA.

To po 14 morgów na duszę, nie nadto.

KOMORNIK.

A zmiłuj się jegomość, po 14 morgów z tej  
strony Berszady, to mało?

SĘDZIA.

Nie mówię mało, najwięcej nieużytków, po-  
kazano aspan mapę (*rozkładają mapę*), jeszcze  
się dotąd nie przypatrzył.

KOMORNIK.

A, co też jegomość mówi, wszak jegomość  
ze mną z dziesięć razy każdy pomiarek przepa-  
trzył, a nibyto jegomość niezna Obłędów lepiej  
odemnie i od samego Obłędzkiego. Wszak to na  
nich pański Bielecki majątek zrobił, jeszcze za  
nieboszczyka.

SĘDZIA (*który ciągle patrzy w mapę*).

Las pewnie wyniszczony.

KOMORNIK.

A, pięknie wyniszczony, za same dęby, mo-  
żna wiaść z jakie pięć tysięcy karbowanych,  
i znaku nie będzie. Czego jegomość chce, figura  
dobra, kopce wszędzie, ciężarów niema, bo przed  
trzema laty dług bankowy zaciągnęli, a od tego  
czasu czysto w aktach. Kazałem robić kwerendę.

SĘDZIA.

Co, aspan?

KOMORNIK.

A tak, ten maleńki pomocnik archiwisty zrobił mi to za sześć rubli, od jegomości byliby wzięli z 50. Mam u jegomości sześć rubli.

SĘDZIA.

A mnie co do tego, a mnie to na co, albo to ja już tak pewnie kupię Obłądy, a jak nie kupię...

KOMORNIK.

A wszakże to mi jegomość sam mówił. Pannie Antoni, jabym niezmiernie rad wiedział, jakie to tam ciężary na Obłądach, czy nie ma czego w aktach, a jakże się dowiedzieć inaczej jak kwerendą. Sam jegomość mówiłeś.

SĘDZIA.

Co, ja, w imię ojca i syna. Śniło się aspanu (*Na stronie*). Niema żadnych ciężarów.

KOMORNIK.

To już mój zysk, zawsze ja tak z jegomością wychodzę.

SĘDZIA.

Jak to przykro natrafić na niewdzięcznego A kupno skryptu Piaseckiego, z czyjej ręki.

KOMORNIK.

Tak, jak jegomości z nosa spadnie ochłap, to łap komorniku, jak interes gdzie mało zysku, a guza można dostać, to łap komorniku.

SĘDZIA.

Toś źle na tym skrypcie wyszedł.

KOMORNIK.

Tak, to właśnie jegomościćina sprawa, że Pia-

seckiemu nie wiedzieć z kąd spadła sukcesya, ale czy mi co kiedy jegomość dał ze swego?

SĘDZIA.

No, nie gniewaj się panie Antoni, taka bagatela, sześć rubli. Jeżeli kupię Obłądy, to zobaczymy, (*pokazując na mapę*). A czemu oni tu karczemki nie mają, pod samemi Rudnikami, byłoby ze 60 rubli.

KOMORNIK.

To jegomość postawi.

SĘDZIA.

Tak, cóż to darmo postawi, przemiary trzeba nowy zrobić, w łanie niema jak po morgu na duszę, u ludzi nadto, i to może darmo.

KOMORNIK.

Woda donośna, młyn i śluza kapitalne, jak jegomość krupeczak zaprowadzi, to weźmie zań z półtora tysiąca karbowanych, za 500 rubli będzie krupeczak.

SĘDZIA.

500 rubli, to może także darmo.

KOMORNIK.

Dom murowany, gorzelnia, browar, stodoła, samych murów na kilkadziesiąt tysięcy.

SĘDZIA.

Zachęca do kupna.

KOMORNIK.

Nieboszczka poddanych zapomogła, dziś wychodzi ze 200 fur do Odesy.



SĘDZIA.

Uderzy posucha, to czem karmić w zimie, przyjdzie zaraza, to tylko ambaras.

KOMORNIK.

Et, co to gadać, nibyto jegomość nie wie. Ot, co jegomość daje?

SĘDZIA.

Co chcą? Trzeba posłuchać, co chcą.

KOMORNIK.

Ten mówi, że im pan Przybyszewski, przed dwoma laty dawał po 60 dukatów, Już kiedy Przybyszewski dawał...

SĘDZIA.

Po 60 dukatów. A to waryat, po 60 dukatów, 840,000.

KOMORNIK.

Jegomość wie, że dziś najmniej robi czystych 12,000 rubli w rok, po wiele jegomość da?

SĘDZIA.

Najwyżej, — najwyżej po 45 dukatów.

KOMORNIK.

A co też jegomość mówi. Pod Berszadą, 14 morgów na duszę, złote jabłko, po 45 dukatów, to jegomość nie kupi.

SĘDZIA.

To każde to złote jabłko. Mówisz, że musi sprzedać?

KOMORNIK.

A jak musi, to nibyto nie znajdzie kupca na 55 najmniej.

SĘDZIA.

W tym roku nie będzie pieniędzy na kontraktach.

KOMORNIK.

Zobaczymy. Milowicz ma...

SĘDZIA.

Milowicz mi nie będzie przeszkadzał.

KOMORNIK.

Borowski ma, Cybulski ma, Markiewicz ma.

SĘDZIA.

Albo jemu Wojnowie wypłacają.

KOMORNIK.

Na szesnasty przywieźli pieniądze.

SĘDZIA.

Wczesny termin. Słuchaj no, panie Antoni, puść na sali, że jest wilk...

KOMORNIK.

A jak się spytają co?

SĘDZIA.

Jednemu powiesz granica nie pewna, jest spór znaczny, drugiemu od starostwa nie odkopczono, będzie roboty na lat trzydzieści; innemu, że są jakieś pretensye do nieboszczyka...

KOMORNIK.

Ależ są mapy, inwentarze, tranzakcye.

SĘDZIA.

Ej, kto tam u nas tak rzeczy zgłębia, jeden powie, drugi powtórzy, a u trzeciego to już słowo honoru. Potem dowiesz się jakie długi, kiedy

mają termina, trzeba żeby nacierali, puśćno przez Bieleckiego że oni w tym roku płacić nie myślą. A kogo oni się radzą?

KOMORNIK.

Płacheckiego.

SĘDZIA.

To mu daj do zrozumienia, mój panie Antoni, że przy spisaniu tranzakcyi . . .

KOMORNIK.

A jak się spyta wiele.

SĘDZIA.

A, nie spyta, to mu powiesz, że ja mam wiele.

KOMORNIK.

Rozumiem, a przy tranzakcyi będzie po tranzakcyi, a po tranzakcyi jegomość się na niego rozgniewa, ale już dziesiąta, żegnam pana (*wychodzi*).

SĘDZIA.

A niezapomnij czego (*sam*). Jaki impertynent, cóż to, ja skąpy, że mam a nie daję; ale bo ja dla tego mam, że nie daję. Czy to mi tak idzie o pieniądze, a istotnie Bielecki w najgorsze lata miał przeszło dwanaście tysięcy karbowanych, i dosyć przybyło, nieboszczka zagospodarowała. Te Oblędy byłyby już dawno moje, gdyby był pożył nieboszczyczeńko, bo u niego tak pieniądze jak ziarno u siewacza.

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Proszę pana, kupcy.

SĘDZIA.

To może za wódką, a zobacz czy z gulą.

SŁUŻĄCY.

Nie, to z towarami, cukier, kawa.

SĘDZIA.

E, to te kapcany, nie trzeba.

*(Służący wychodzi, zaraz potem wchodzi Sędzina.)*

SĘDZINA.

Ale moja duszko, potem się będziesz znowu gniewał, że w sam gorący czas, albo na wyjeździe będę ci się naprzykrzać. Cukier staniał.

SĘDZIA.

Po czemu?

SĘDZINA.

Pięć złotych i groszy pięć oko.

SĘDZIA.

Pięknie staniał, a kiedyż to drogo u aspani, kiedy to ńanio?

SĘDZINA.

Ależ niedawno płaciliśmy po pięć i groszy dwadzieścia, nawet po sześć.

SĘDZIA *(z gniewem)*.

A ja kupowałem po 5 złotych; że też aspani i takiej małej rzeczy zrobić nie potrafisz.

SĘDZINA.

Ależ moja duszko, trzy lata temu po pięć. Nie będzie w domu to się potem będziesz gniewał. Arędarze porękawicznego dawać nie chcą, bo mówią, że bardzo arędy naciągnięte.

ŚĘDZIA

*(który się w pauzach niecierpliwił, wybucha gniewem).*

Nudzisz mnie aspani, wyraźnie naposiadła się kobieta, żeby mnie zniszczyć.

*(Wchodzi Leon i Płachecki, Sędzia przybiera minę słodką.)*

PŁACHECKI.

Przyszedłem tu do pana Sędziego, to jest chciałem. Oto pan Oblędzki pański sąsiad, moje uszanowanie pani Sędzinie.

*(Sędzina dyga i odchodzi.)*

ŚĘDZIA.

Oddawna pragnąłem, proszę panów siadać *(siadają)*. Pan dobrodziej nie łaskaw odwiedzić nasz domek, wszak to tylko o milkę od Stawek, *(na stronie)* takie to harde dopóki pieniędzy nie potrzebuje.

LEON.

Istotnie bardzo mi przykro, żem dotąd pana Sędziego nie odwiedził, ale gospodarstwo, zatrudnienia domowe, interesa, nie dały mi dopełnić szczerzej chęci.

PŁACHECKI.

To jest, nie tracąc czasu, mam dziś rano zeznawać transakcyę. Jegomość dobrodziej wie, czas kontraktowy, to jest, przyprowadziłem panu 700 dusz, dobra ziemia, to jest, *(cicho do Leona)* mów Pan, a podkadź mu, bo się krzywi.

LEON.

W rzeczy samej mam na sprzedaż majątek, a że wolałbym mieć do czynienia z panem dobrodziejem, którego otacza szacunek publiczny...

SĘDZIA.

A tak, sąsiedzi myślą nie wiem dla czego, że ja mam pieniądze.

LEON.

Więc przyszedłem mu proponować to kupno.

SĘDZIA (*z zadziwieniem*).

Pan sprzedajasz Obłędy? Szkoda, dobra wieś na intratę, a sprzedając, mało co pan weźmiesz.

LEON.

Dla czego?

SĘDZIA.

Oni teraz biegają za ziemią, ziemię płacą. Sądzę, że Obłędy nie będą mieć więcej jak 15, a najwięcej 16 morgów na duszę.

LEON.

Czternaście.

SĘDZIA.

Tylko? Sądziłem, że więcej.

PŁACHECKI (*cicho do Leona*).

To jest stary szachraj, zna jak swoją kieszeń, trzymaj się pan 60ciu, a najmniej 58miu (*głośno*) to jest, czekają na mnie w kancelaryi. (*Odchodzi.*)

LEON.

Nie znam majątku w tamtej okolicy, któryby miał i tyle.

SĘDZIA.

Proponowano mi Raśniki nad Dniestrem, przeszło po 18 morgów, ale to nie dla mnie, za drogo chcą.

LEON.

Po czemu?

SĘDZIA.

Po 51, poszliny ich.

LEON.

To drogo?

SĘDZIA.

Pod termina sprzedaliby za 45, nie będzie wyżej w tym roku.

LEON.

Jeśli tak, to mnie się i nie odzywać z ceną.

SĘDZIA.

Ktoby to dziś chciał ziemię kupować, chyba szalony, lada dzień będzie odkup. Rekrut co roku niezawodny, jeszcze do gorzelni podatek, to choć idź z torbami.

LEON.

Cóż jednak robić z kapitałem, lokacye trudne.

SĘDZIA.

Nie wierz pan temu, byle ostrożnie, to jakos można.

LEON.

Jednak słyszałem, że pan dobrodziej stracił trzy tysiące dukatów u Wieczyńskiego.

SĘDZIA (*zrywa się z krzesła*).

Kto mówił? żebym ja lokował u Wieczyńskiego. Cóż to pan myślisz, że ja taki szpak jak tamci (*przechadza się*), ja darowałem Wieczyńskiemu 3000 dukatów. Cóż to, nie mam z czego?

LEON.

Ani wątpię.

SĘDZIA.

A zresztą odsluży mi jak wróci, przyjmę go za furmana, słyszę dobrze wozi, (*uspakaja się*) i zkaąd się im to wzięło lokować u Wieczyńskiego a przestrzegałem, cóż to, nie ma innej lokacyi.

LEON (*wstając*).

Zresztą bank.

SĘDZIA (*znowu żywo*).

A właśnie bank i lepiej jak ziemia. To pan myślisz, że jabym nie oddał pieniędzy na bank, że tylko 4 od sta, ja z ziemi nie mam więcej jak 4 od sta. A co kłopotu.

LEON (*na stronie*).

Tom pies, jeżeli wiem czego się on gniewa. (*Głośno*). Obłądy dały w przecięciu wyżej 6ciu od ceny za jaką były kupionie, a jednak były drogo płacone.

SĘDZIA.

Jak mi przyjemnie widzieć, że pan sam rozumiesz, że Obłądy nie warte tego, coście za nie dali, znak prawdziwego rozsądku, podobnoście płacili po 55.

LEON.

Przeszło po 60.

SĘDZIA.

Jezus, Marya!

LEON.

Dzierżawca płacił czystych 9000 r. sr. i zrobił majątek.

SĘDZIA.

Czy to z tego? toż to ja sąsiad, widziałem Bielecki ze spekulacyi, a na posesyi stracił.



LEON.

W 1834 miał czystego zysku 3,000 dukatów.

SĘDZIA.

Może, jeden rok.

LEON.

Dziś zabudowane, zamurowane, tak jak pan wiesz, sprzedam panu po 58 dukatów duszę skazkową, inwentarskich jest wzwyż 34.

SĘDZIA (*na stronie*).

O fryc, nie proszony spuścił 2, spuści więcej. (*Głośno.*) W przeszłym roku istotnie pan Wieloziemski sprzedał 800 dusz po 58, a odtrąć pan co będzie kosztował proces na wydobyć reszty, to nie wyjdzie i na to 45 co wziął z góry. Wolałby mi być sprzedać po 45 jak dawałem. To mi pan wierz, że zawsze lepszy rachunek sprzedać taniej, jak drogo. Zresztą, jak pan taką ogromną cenę naznaczasz, to kupca zrażasz; a choć później spuścisz, i wiele spuścisz, to nie pomoże, bo to kontrakty, to każdemu na dzień dziesięć interesów przez ręce przechodzi. Mówię to w pańskim interesie, jako sąsiad, bo ja w tym roku nie kupiec. Męcińscy mi 300,000 zawiedli i pieniędzy mieć nie będą. (*Wchodzi Zaręba.*) Bardzo żałuję, bo widząc jak pan rozsądnie rzeczy widzisz, radbym z nim wszedł w robotę. Bardzo żałuję i ja sam dosyć gładki jestem w interesie, u mnie jak po stole. (*Odkłoniwszy się Zarębie, cicho.*) To Obłędzki kłania mi się tu o pieniądze, ale nie mogą dać, już kona, niema kredytu na trzy grosze.

ZARĘBA.

Co pan mówisz, a mój brat ma u niego sto tysięcy i nadal zostawił, to jest chce zostawić, upadam do nóg (*odchodzi*).

LEON (*na stronie*).

A, jaki stary sofista, chciałem przewrócić argument i dowieść mu, że i on daleko lepiej wyjdzie jak drożej zapłaci. To jednak źle, że kupca niema. (*Głośno.*) Upadam do nóg pana Sędziego.

SĘDZIA.

Bardzo mi przyjemnie poznać... (*Żegnając się odchodzi.*)

Scena II. — U Prezesa.

O s o b y.

PREZES — CICHOCKI — LEON — HADZIEWICZ — kilku książąt i panów — wchodzi później PUŁKOWNIK.

(*Kilka stolików od kart, przy jednym gra Prezes i trzech innych w wista. Stolik Ecarté, w końcu pokoju stoją Leon i Hadziewicz.*)

HADZIEWICZ.

I żyd mi wszystko wyśpiewał.

LEON.

Ależ panie! dowody, dowody.

HADZIEWICZ.

To dessert, ha, ha, ha! (*Pokazuje mu papiery.*)  
Oto masz list Kuby do Pułkownika odsyłając

pieniądze, patrz datę, nazajutrz po robocie. Pan Kuba się nie żenuje, pisze otwarcie. Pułkownik ostrożniejszy, on takiego listu nie napisze, ale cóż i djabeł się czasem zapomni, ha, ha, ha! Pułkownik listu nie spalił, owszem ozdobił go własnoręcznymi notatami. Patrz, ha, ha, ha, wszak jego ręka, ha! Kupić szal dla Joasi, wiesz kto Joasia, wiesz kto Joasia? ha, ha! dziesięć talji kart od Goldberga, a znam te karty, dobre karty, czytaj sam. (*Leon przepatruje list.*) Dałem za niego 5 dukatów Mordkowi, i jeszcze żydzisko trzy zarobiło. Janowi dał 2 wszystkiego, ha, ha! a ten bilecik dał mi Kuba gratis, na bóty dla Pułkownisia, bóty za bóty, ha, ha, ha! Patrz ten cały własnoręczny, w sam dzień pisany, a choć ostrożnie, ale patrz, drogi Kubusiu, i jaki cały słodki, i nasz dzisiejszy interes, widzisz.

LEON (*wychodząc z ostupienia.*)

Rozumiem wszystko, daj mi pan te dwa pisma.

HADZIEWICZ.

Najchętniej, do wiadomego użycia, ha, ha! wy tam macie jakieś prawidła honoru, a jabym im wszystkim dał obiad, a po pieczysem, rozumiesz? szampańskie i indukt z dokumentami, ha, ha, ha, toby się uśmiechał Pułkownisio, (*wchodzi Pułkownik*) a wilk tu?

LEON (*serio.*)

Dziękuję za radę, ale to się prędzej załatwi. (*Na stronie.*) Skompromitowałbym Prezesa i ich wszystkich, nie, tak lepiej będzie.

PUŁKOWNIK (*zbliżając się do Leona*).

A! jak się masz, cóż tak dawno?

LEON (*pokazując mu listy*).

Czy pan znasz te korespondencye?

PUŁKOWNIK

(*zrazu zmieszany, później żartobliwie*).

Ha, ha, ha, nie żartuj! pokaż, co to jest?  
(*Sięga po papiery niby żartem jednak natarczynwie*.)

LEON (*serio i głośniej*).

Czy pan znasz te korespondencye?

PUŁKOWNIK

(*żywo i z gniwem sięgając po papiery*).

Proszę pana, to są moje papiery, proszę o nie, jeżeli pan nie chcesz, abym podniósł te komunikacye z moim kantorkiem, a właśnie mi zabrakło parę set dukatów, i nie wiem...

(*To się dzieje obok stolika, na którym leżą karty, Leon na te ostatnie słowa bierze powoli talię i z zimną krwią uderza nią na odlew po nosie Pułkownika, przerywając dalszą mowę, grający porwali się od stolików i zbliżyli się.*)

LEON.

To, dla szulera. A Pułkownikowi w każdym momencie gotowem dać satysfakcyę. A jeżeli kto z panów zażąda odemnie objaśnienia, mogę go dać natychmiast.

JEDEN Z GRACZÓW (*wracając do stolika*).

Zaraz, zaraz, rozrachujmy się.

(*Grający zwracają uwagę w tamtą stronę.*)

PUŁKOWNIK (*cicho do Leona*).

Zmiłuj się! Pod Lipskiem twego ojca bez

życia z placu uniosłem... oddaj mi papiery, ja się im wytłomaczę.

LEON (*cicho*).

Niech i tak będzie. Ale nie, żebyś ztąd czysty wyszedł, wpierw mię pan przeproś, żeś mię zmusił do kroku...

PREZES (*wracając*).

I owszem, bardzo proszę o objaśnienie.

LEON.

Pan Pułkownik z łaski swojej tę rzecz objaśni.

PUŁKOWNIK (*udając wielkie rozczulenie*).

Tak jest, objaśnię, a nawet pana przepraszam, żem go mojem postępowaniem przymusił do tego kroku, (*cicho do Leona*) wszak dość? Teraz liczę na twój honor, oddaj natychmiast papiery Janowi.

LEON (*daje znak głową że to zrobi*).

Czy panowie macie mnie za dostatecznie oczyszczonego, z tej czynności, bardzo dwuznacznej, bo uderzyć bez przymusu, jest podlej, jak być uderzonym.

(*Grający naradzają się między sobą.*)

KSIĄŻE.

Rzecz jasna, że kiedy pan Pułkownik wszystko na siebie przyjmuje, ale co do pana Pułkownika...

PREZES.

Tak jest, pan Pułkownik wszystko na siebie przyjął, wszak prawda, panowie?

DRUDZY.

Tak jest.

*(Leon kłania się i odchodzi, Hadziewicz zbliża się do Pułkownika, który przypadł na sofę, i udając zdesperowanego, zakrył oczy rękami.)*

HADZIEWICZ *(cicho)*.

A co Pułkowniszu? bóty, moje bóty, za bóty.

PUŁKOWNIK *(cicho i z zimną krwią)*.

Wiem, żeś dziś goły, dam ci 500 dukatów, i milcz, dopóki mi ich nie oddasz, zgoda?

HADZIEWICZ *(cicho)*.

No, no, zgoda! będę długo milczał, czasem dobrze mówi.

PREZES.

Pan Pułkownik mileczy, radziłyśmy jednak, żebyś się pan wytłomaczył, chociaż trudno, albo. . .  
*(pokazuje drzwi)* pan Pułkownik nie słyszy?

PUŁKOWNIK

*(zrywa się i niby nie uważając na innych, chodzi po pokoju mówiąc niby do siebie)*.

Ot, tu mię zranił, tu, syn Aleksandra, jam jego przybrał za dziecko, on! Cóż z tego, że go zabiję, tu mnie zranił. Za błahy pozór. Ja jego nieprzyjacielem, ja intrygowałem, ja mu przeszkadzałem do sprzedaży majątku, bez której jak mówi zginie. Ja, cobym dał za niego ostatni grosz, ostatnią kroplę krwi. Sami wiecie! O, to boli, to boli, i cóż z tego, że go zabiję?

PREZES.

Jednak radziłyśmy widzieć, dla czego pan Pułkownik uderzony, i dla czego uderzony przeprosił?

PULKOWNIK (*jak wyżej*).

Przeprosił, przeprosił, i to być może, dziś  
wszystkiemu wierzę, i cóż z tego, że go zabiję.  
(*Bierze kapelusz i odchodzi.*)

CICHOCKI.

Trzeba się dni kilka wstrzymać z sądem.  
Jednak to człowiek honoru. A panowie, człowiek  
honoru, w tym momencie od zmysłów odchodzi.

HADZIEWICZ.

A tak, odchodzi, już odszedł.

CICHOCKI (*cicho*).

Pan Hadziewicz przeciwko nam.

HADZIEWICZ (*cicho*).

Od kwadransa z wami.

CICHOCKI.

Zda mi się, że się trza wstrzymać, a przez  
ten czas hałasu nie róbmy, bo się tylko rozmaże  
brud, który dla honoru domu... (*Prezes daje  
lekko znak głową.*) Panowie, dajmy tu sobie słowo  
honoru, że dopóki się rzecz nie wyjaśni, ani słowa  
o tem, co zaszło.

WSZYSCY.

Bardzo chętnie, słowo, słowo.

PREZES (*do Cichockiego*).

Jednak pan oświadczyć panu Pułkownikowi,  
że dopóki się nie oczyści, drzwi moje zamknięte.

CICHOCKI (*na stronie*).

Oczyści się, oczyści, za dni kilka gorączka  
minie, i on się jakoś wytłomaczy, i będzie jak

bywało. A gdzieżby tam stracić takiego gracza.  
(*Rozpłacają się i rozchodzą.*)

**Scena III. — W oberży.**

O s o b y.

PAN JAN — KAROL — 1szy BAŁAGUŁA — 2gi BAŁAGUŁA — kilku Bałagułów — Galerya — później wchodzi 3ci BAŁAGUŁA — LEON.

(*Koniec obiadu. Przy dużym stoliku Baługuli, butelki na stole, pod stołem i największa desinwoltura. Na boku kilka małych stolików przy których galerya, z tej niektórzy przychodzą, inni odchodzą.*)

**JEDEN Z BAŁAGUŁÓW.**

Jakto, nie znasz tej awantury?

2gi BAŁAGUŁA.

Nie.

1szy BAŁAGUŁA.

O! sławna awantura, to nasz Jaś, a zcicha pęk.

KAROL.

Zgłośna pęk.

P. JAN.

A ten już się zapil i głupstwa gada, to nie wiesz awantury.

2gi BAŁAGUŁA.

Nie wiem.

P. JAN.

To słuchaj, przynajmniej wiesz, jak nasz drogi



Karol, co teraz mruczy, dawał na Onufreja serenadę JW. hrabiemu.

2gi BAŁAGUŁA.

Wiem.

P. JAN.

I jak go przepraszał, że bez halsztucha.

2gi BAŁAGUŁA.

A już też wiem.

P. JAN.

To słuchaj dalej, w jesieni, jakem jechał na św. Michał, było nas kilka szarabanów, był Józio, był Michaś, i kilku braci. A tu pan hrabia jedzie kareta, sześcią końmi. Ja tedy naprzód, mijam, prawe ramię naprzód i w poprzek drogi, stępo. Pan hrabia każe furmanowi mijać na prawo, nie można, najtyczanka Józia, za nim Piotr i insi, i takeśmy go przez kwadrans w koło objeżdżali, stępo, w jak największym porządku i cichości.

KAROL.

Dotąd dobrze, aleś nie wytrzymał i głupstw mu nagadał.

P. JAN.

Nauczyć błazna rozumu.

KAROL.

Na pochyłe drzewo i koza skacze.

2gi BAŁAGUŁA.

Dajże pokój, jak się zapijesz, tobyś każdego zaczepiał.

1szy BAŁAGUŁA.

Już też to wiadomo, że nasz Jaś zuch.

KAROL.

Prawda, że ja pijany, ale on nie zuch.

1szy BAŁAGUŁA.

Idź spać, idź spać.

WSZYSCY.

Idź spać.

KAROL.

Idź spać. (*Usypia.*)

P. JAN.

Już to każdemu wiadomo, jakem pokiereso-  
wał JW. Brzezińskiego, albo jakem ciął w rękę  
Józefa, to prawda, że każdemu wiadomo, to strach,  
jak mi wtedy pałasz warczał w rękę, a co do  
pistoletu . . .

3ci BAŁAGUŁA (*wchodzi*).

Wiecie nowinę?

GŁOSY.

No co? gadaj.

KAROL (*ze snu*).

Pleć, a nie pływaj.

GŁOSY.

Śpi, śpi!

KAROL.

Śpi, śpi (*i zasypia*).

3ci BAŁAGUŁA.

Pułkownisio, wiecie, Pułkownisio dał w twarz  
Niemcowi.

GŁOSY.

Jakiemu Niemcowi? kiedy?

3ci BAŁAGUŁA.

Trzy dni temu dał talią kart w twarz Leonowi Oblędzkiemu.

GŁOSY.

A Niemiec?

GŁOS.

Powiedział habe dank.

3ci BAŁAGUŁA.

Niemiec za kapelusz, skłonił się i wyszedł.

GŁOSY.

O co poszło?

3ci BAŁAGUŁA.

Niemiec miał zęba do Pułkownika, że mu psuł kontrakty, i przy rozrachunku coś powiedział, a Pułkownisio nie wiele myślał...

GŁOSY.

Hop go! a dobrze. Nie spodziewałem się tego po nim. Arystokrata!

P. JAN.

Nie, wczoraj był u mnie.

1szy BAŁAGUŁA.

A mnie się coś bardzo kłania.

P. JAN.

Nie, ja zawsze mówiłem, że nie arystokrat.

KAROL (*budzi się*).

Łżesz, boś mu na Onufreja chciał dać serenadę, to jest chciałeś, żebym ja dał.

GŁOSY.

Spi, śpi.

KAROL.

Dajcie mi kieliszeczek rumu, bo mi coś w głowie szumi. (*Nalewa sobie i pije.*)

GŁOS.

Ależ Niemiec.

KAROL.

Dajcie mu pokój, to dobry chłopiec.

GŁOSY.

Cha, cha, cha! A ten spał i nic nie wie.

(*3ci Bałagula zbliża się do Karola i opowiada mu z gestykulacją.*)

P. JAN.

A, wartoby mu dać nauczkę.

GŁOSY.

Warto, warto, ale gdzie go znaleźć, nigdzie się nie pokaże.

KAROL.

Ale zkąd wiesz?

3ci BAŁAGUŁA.

Już też ja nie kłamię.

KAROL.

Różnie.

3ci BAŁAGUŁA.

Jak chcesz to powiem. Cichocki powiedział pod wielkim sekretem Żulickiemu, a ja wiem od tego co słyszał, jak Żulicki mówił Białkowskiemu.

KAROL.

Trzy pokolenia, wątpliwe, dajcie mi jeszcze

kieliszek rumu, bo mię w środku ciągnie. (*Pije i zasypia.*)

3ci BAŁAGUŁA.

Teraz spotkałem Pułkownika, a choć udawał dyplomatę, jednak nie zaprzeczył.

GŁOSY.

To pewna, pewna.

LEON (*wchodzi do Bałagutów*).

Dobry dzień panom! (*Milczenie. Do służącego co mu przynosi kartę.*) Nie było tu pana Płacheckiego?

SŁUŻĄCY.

W tym momencie wyszedł.

(*Leon chce odchodzić, pan Jan zbliża się do niego z gęstą miną.*)

P. JAN.

Pozwolisz się pan zapytać, na czym zależy honor?

LEON (*bardzo grzecznie*).

Pozwolisz sobie pan dobrodziej odpowiedzieć, że honor zależy na tem, żeby po wesółym obiedzie spać, tak, jak oto kolega pański.

1szy BAŁAGUŁA (*cicho do 2go*).

Pst, uważasz, jak się wymyka, tchórzy.

P. JAN.

Kiedy pan nie wiesz, to pana nauczę. Honor zależy na tem, żeby nie znosić przy sobie człowieka zdeszonorowanego.

LEON.

Nie tylko, powiem panu, nie znosić nawet

brutala, i dla tego, najniższy sługa. (*Odchodzi krok.*)  
Jednakże widzę, że pan masz do mnie interes,  
przyszlij proszę kogo od siebie, ja uproszę pana  
Franciszka, najniższy sługa.

P. JAN.

A ha! pierwej się pan oczyść z panem Pułkownikiem, to panu dam satysfakcyę. A ha!

LEON.

Nie mam powodu żądać od pana satysfakcyi,  
bo nie mam powodu brać do siebie poobiednich  
głupstw pańskich. A co się tycze zajścia z panem  
Pułkownikiem, to ludzie szanowniejsi od pana  
wiedzą, że jakkolwiek mi był przeciwnym krok,  
któregom się dopuścił, byłem do niego przymu-  
szonym, tak np. jak teraz byłbym przymuszonym  
dać panu dobrodziejowi tym stolkiem w łeb, jeśli-  
byś chciał kontynuować swoje grubiaństwa, naj-  
niższy sługa. (*Odchodzi.*)

GŁOSY.

Aha! krok, to mi krok, wierzę, że mu prze-  
ciwny, dostać w mordę.

3ci BAŁAGUŁA.

A co, widzicie, żem prawdę mówił, sam  
przyznał.

P. JAN.

A co, uciekł, jak myślicie, nie prędko po-  
wróci, po kazaniu.

GŁOSY.

Rejterada, rejterada poszła z chwałą.

P. JAN.

Ha! jakim go nauczył, co to honor.

1szy BAŁAGUŁA.

Popamięta.

P. JAN.

Albo, jakim mu powiedział, żeby zmył z nosa ślady asa kierowego.

1szy BAŁAGUŁA.

Powiedziałeś?

P. JAN.

Jakto nie uważałeś? Albo żeby się starał chodzić temi ulicami, któremi ja nie chodzę, to panie koza.

GŁOS.

Tego nie pamiętam.

GŁOSY.

Mówił, mówił. Biedak, chyba zaraz wyjedzie z Kijowa. Biedak! Ale nasz Jaś zuch, wiwat nasz Jaś!

P. JAN.

Hej! jeszcze butelkę szampańskiego. Albo jakim mu palcem drzwi pokazał, jak się prędko wyniósł paniczyk.

*(Służący odkorkowuje butelkę.)*

GŁOSY.

Wiwat nasz Jaś!

*(Brzęczą kieliszkami, Karol się budzi i podaje kieliszek.)*

*Kurtyna zapada.*

## AKT IV.

Scena I. — U Brygadyera.

O s o b y.

BRYGADYER, ojciec Maryi — PAN FRANCISZEK —  
MARYA — *wchodzi później* ZAWISKI.

BRYGADYER.

Wiele to może być tych długów?

P. FRANCISZEK.

Nie sędzę, żeby było istotnych nad sto tysięcy, ale kredytu nic, i to ogromnie rośnie.

BRYGADYER.

Można przerwać? Zkądinąd rządny, a nawet skąpy. Ojciec z Rożańska nic nie ma, wypuści na pensyę, choć to z nim interes trudny, i włożywszy kawał pieniędzy na oczyszczenie, byłaby piękna bryła ziemi.

MARYA.

To jest, że za pieniądze, chce mi papa kupić ziemię, ale czyby nie można wybrać ziemi nieobciążonej mężem?



BRYGADYER.

Zkądże ci się to teraz znowu wzięło, że chcesz męża bogatego.

MARYA.

To nie ja chcę, to papa zawsze chciał.

BRYGADYER.

Po maleńku, nie koniecznie bogatego, ale koniecznie rządneho. Na nierządneho kładę veto, z niebogatym a rządnyim pójdiesz w górę, choć jak najmniej w górę, z najbogatszym nierządnyim, pójdiesz w dół, ty nie wiesz, co to iść w dół.

MARYA.

Schodzić, wiem co schodzić, nie tylko w mie-niu, i w opinii można schodzić... Ale zkądże to książę Leopold rządny, kiedy ma długi, a nie ma kredytu, wszak to papa mówi, że kredyt jest to wiara, i że biada temu, któremu nie warto wierzyć.

BRYGADYER.

A jak dziś pięknie moralizujesz, czemu nie powiedzieć po prostu, nie chcę księcia Leopolda. Nie chcę, to dobrze, ale kogóż chcesz. Nie chciałaś Wojewodzica, bo głupi, nie chciałaś Wali-ckiego, bo gbur; choć wiesz dobrze, że nikt ani zupełnie głupi, ani zupełnie mądry, ani zupełnie twardy, ani zupełnie miękki. Nie chciałaś Grano-wskiego, już nie pamiętam dla czego. Dziś nie chcesz Leopolda, który we wszystkim dokładnie mierny, tak jak potrzeba na męża... Bo i jabym wolał żeby był i dobry i mądry, i piękny i bo-

gaty. Ale gdzież go znajdziesz, a czas mija, ty się skwasisz. Już za powrotem z zagranicy zastałem cię znacznie zmienioną, pustota przeszła, nawet wesołość minęła... Na kogóż czekasz? monarchowie europejscy już pożenieni! grandy hiszpańskie...

MARYA (*całuje go w rękę*).

Ojcze, nie żartuj!

BRYGADYER (*który na ręce uczuł tężę*).

Otóż tak się zawsze kończy, na płaczu, szczególnie od dni kilku, to co dzień. No, uspokój się Maryniu, nie dzieciń się. (*Całuje ją w głowę.*) No, powiedz! kogo chcesz? powiedz.

P. FRANCISZEK (*cicho do Maryi*).

Przed kilką dniami może ja byłbym powiedział kogo. (*Do Brygadiera.*) Czegóż się tak spieszysz, masz w domu skarb, i chcesz go oddać, żeby ci go ktoś o sto mil uwiózł, i nie podziękował?

BRYGADYER.

I ty widzę babiejesz, a jednak, jak o tem pomyślę, to mi się gorzej ćmi w oczach, jak pod Hohenlinden.

ZAWISKI (*wchodzi*).

Jak się ma Brygadier? A! moja królowa zawsze gniewna na sługę swego, ingrater?

P. FRANCISZEK.

Widzę z miny, że pan Zawiski z nowiną, prosiemy.

ZAWISKI.

Nie, nie.

BRYGADYER.

Wymów ją od razu, bo cię zadławi.

ZAWISKI.

Nie, to Brygadiera nie będzie interesować, to historia Obłądzkiego z Bałagułami.

BRYGADYER.

Obłądzkiego? to syn Aleksandra, Marynia mi o nim mówiła.

ZAWISKI (*do Maryi*).

Jak to szczęśliwie, żeś go pani odsunęła od swego towarzystwa, to brudna historia... Państwo wiecie, co było tydzień temu z Pułkownikiem.

BRYGADYER.

A, to był przecież przyjaciel od serca!

ZAWISKI.

Sklócili się przy kartach. Pułkownik go uderzył kartami, a ten go lichtarzem.

P. FRANCISZEK.

Słyszałem tę historię, ale prawdy dotąd nie doszedłem, wszyscy przytomni milczą, tylko jakieś podejrzane wieści biegają.

MARYA.

To się nie godzi, milczeć w takich razach. Jestem pewna, że pan Obłądzki wyjdzie z tego z honorem.

BRYGADYER.

Trudno wyjść z brudu z honorem, moje życie. Sprobuj, wleź w błoto i nie zawalaj się. Zresztą

radbym, żeby tak było, bo i pana Pułkownika nie szacuję i Aleksadra kochałem, a ona sama była prawdziwie aniołem w ludzkim ciele.

*(Marya zbliża się do ojca, bierze mu od niechcienia rękę i całuje.)*

### ZAWISKI.

A oto wczoraj, w oberży, jeden z Bałagulów, pan Jan, jak go nazywają, co to się o lada co rąbie, wytrącił go za drzwi, i uszło.

### P. FRANCISZEK.

Słyszałem, i zdało mi się rozumieć, że pan Jan insultował Leona, i nie chciał się z nim bić, dopóki się nie oczyści z historyi z Pułkownikiem. Otóż właśnie nie wiemy jaka to historia.

### BRYGADYER.

W każdym razie, brud na brud, jak człowiek raz wlezie w brud, to może przypadkiem, jak więcej, to szuka brudu. Nie gadajmy o tem, bo mi się krew burzy, aż nadto tego, pływamy w brudach.

MARYA *(cicho do pana Franciszka).*

Upoważniam pana, powiedzieć papie, że jeśli sobie życzy, abym poszła za księcia Leopolda, jestem gotowa. *(Odchodząc.)* O! pan nie wiesz ile kosztuje wyrwać z serca myśl długo pieszczoną. *(Odchodzi.)*

### BRYGADYER.

A jednak, szkoda chłopca, powiadają, że do rzeczy. Otóż to szulerka i dobre towarzystwo! Chodźcie do mnie na lulki. *(Wychodzą.)*

Scena II. — W oberzy, jak wyżej.

O s o b y.

PAN JAN — KAROL — 1szy BAŁAGUŁA — 2gi  
BAŁAGUŁA — Galerya — później wchodzi KAPITAN  
MAJEWSKI (dawny wojskowy) — JEGOMOŚĆ,  
znajomy Kapitana.

*(Kolacya tak jak w powyższej scenie.)*

P. JAN *(do Karola)*.

Kiedy ci powiadam, żem go za drzwi wy-  
trącił, przecież wszyscy widzieli.

KAROL.

Wy wszyscy łżecie.

P. JAN.

No, to jakżeż pana przekonać.

KAROL.

Jak zobaczę, to uwierzę. Oto słuchaj, masz  
ich tu kilkunastu, wybierz sobie którego i po-  
wórz mu jak najgrzeczniej to, co ci powiem.

P. JAN.

Nie warto, może chcesz, żebym ich wszyst-  
kich przez okna powyrzucił, to chyba, tak nie  
warto.

KAROL.

Jednak?

P. JAN.

A, kiedy chcesz? Za to jutro dasz wielki  
obiad, w bród szampana, i wszystkim opowiesz,  
tak jak to umiesz kiedy chcesz.

KAROL.

Zgoda, widzisz tego grubego, co go Marysia przezwiała wieprz. Spytaj się go, czy się szczecina płaci.

P. JAN.

Nie mogę, widzisz, on krewny Zalewskich, którzy mają stosunki z krewnymi...

KAROL.

Twoich krewnych. Rozumiem. No, to weź tego, co mu heraldycy zadają judaizm, i powiedz mu dwa pierwsze wiersze pierwszej ewangelii według Mateusza. Słyszałeś, co to ewangelia? Powiedz mu: „Abraham zrodził Izaaka, a Izaak zrodził Jakuba.“ (*Jan robi znak nieukontentowania.*) Nie, i ten przyjaciel krewnych, co są krewnymi przyjaciół. No, to sam wybierz kogo.

(*Wchodzi Kapitan i siada przy stoliku.*)

P. JAN (*wskazując na Kapitana.*)

Ot ten.

KAROL.

Ależ zmiłuj się, ten ma ze dwie astmy i kilkoro suchot.

P. JAN.

A gdzie tam, no, co mu mam powiedzieć?

KAROL.

Spuszczam się na ciebie, jakieś głupstwo.

P. JAN.

Zobaczysz! (*Siada przy stoliku naprzeciw Kapitana.*) Hm, hm! Czego pan tak głośno bótami stukasz i z góry na ludzi patrzysz?

KAROL (*pół głosem*).

A, jaki głupi.

1szy BAŁAGUŁA (*pół głosem*).

Cóż znów mówisz?

2gi BAŁAGUŁA (*pół głosem*).

Kpinkami narobisz, że go się bać przestaną.

KAPITAN (*wolnym głosem*).

Mój panie, daj mi czysty pokój, ja człowiek spokojny, a tak na mnie strasznie patrzysz.

P. JAN (*poprawiając się*).

Ha, strasznie patrzę.

KAPITAN.

A ja tu nie przyjechałem na instruktora Bałagułów.

P. JAN.

Jako instruktora? Cóż to pan do mnie stosujesz?

KAPITAN.

A już też nie do pieca, i bądź pan łaskaw mów ciszej, bo mi to drażni nerwy.

P. JAN.

Jako ciszej? Czy pan wiesz kto ja jestem?

KAPITAN.

Nie wiem, ale widzę.

P. JAN.

Nazywają mnie po prostu pan Jan, spytaj się pan, to każdy wie, kto jest pan Jan; lubię ludziom dawać nauczki, a kto nie słucha, temu uszy obcinam.

KAPITAN.

Uszy?

P. JAN.

Tak uszy. A teraz, proszę pana, abys mnie przeprosił, że tak głośno butami stukasz i z góry na ludzi patrzysz.

KAPITAN.

A dobrze, to już też znajdę tu kogoś, co pana odemnie poprosi, do zobaczenia.

P. JAN (*wstaje*).

Czekam. (*Do 2go Bałaguty.*) Ale, czy on mówił przeprosi, czy poprosi, ale gdzieżby tam śmiał, kulfon.

2gi BAŁAGUŁA.

Cicho mówi, nie dosłyszałem.

KAROL.

A co?

P. JAN.

Przeprosi, dałem mu czas.

JEGOMOŚĆ (*wchodzi*).

(*Znajomy Kapitana, wpatruje się i ściska go za rękę.*)

Nie, nie myślę się, to kochany Kapitan, jak się masz, dawnoś przyjechał?

KAPITAN.

W tym momencie wysiadłem z sanek; niemiłosiernie mi kości roztrzęsły, przeklęte zatoki.

P. JAN (*cicho do 2go Bałaguty*).

Jednak warto się dowiedzieć, co on za jeden, ty znasz tego, spytaj go, ale rozumiesz, z ogródką.



2gi BAŁAGUŁA

*(odchodzi na bok, witając się z Jegomością).*

A jak się masz, czy skończyłeś interes z Mansonem?

JEGOMOŚĆ.

Nie.

2gi BAŁAGUŁA.

To cię muszę przestrzedz. *(Mówi mu do ucha, wstają i odchodzą parę kroków, pan Jan spoziera z niespokojnością w tamtą stronę).* *(Cicho.)* A propos, co to za jegomość?

JEGOMOŚĆ.

To sławny kapitan Majewski, musiałeś słyszeć, co to Blumer o nim mówił, że nie zna tak śmiałego oficera.

2gi BAŁAGUŁA.

Słyszałem, Manson na ciebie czeka, do, *(patrzy na zegarek)* aj, już 9ta, nie trać momentu.

JEGOMOŚĆ.

Idę, *(Żegna Kapitana i odchodzi).*

2gi BAŁAGUŁA *(cicho do Jana).*

To sławny kapitan Majewski; cofaj się jak najprędziej.

P. JAN *(cicho).*

Jakto? Myślisz, że ja...

2gi BAŁAGUŁA *(cicho).*

Mówię, cofaj się, co za głupstwo, zaczepiać starego wyjadacza.

P. JAN (*cicho*).

Masz rację, nie godzi się, stary oficer; miałbym na sumieniu, jakbym go zabił. (*Zbliża się do Kapitana, tym tonem co wyżej*). Co to pan masz za czerwoną wstążeczkę?

KAPITAN (*który dosłyszał rozmowy, z ironią*).  
Czerwona wstążeczka.

P. JAN (*przechodząc w uniesieniu*).

Ach dla Boga, czy nie legia honorowa? Jak to, pan miałbyś być jednym z tych walecznych, którzy z wielkim Napoleonem, tak jest, tak być musi. Szczęściem, że ustalona reputacya odwagi, pozwala mi zniżyć się do przeproszenia pana dobrodzieja, za niewczesne żarty. Co mówię, zniżyć się, na klęczkach powinienem błagać przebaczenia... (*Rusza się jak do klękania*).

KAPITAN (*który podczas tirady jadł spokojnie*).

Niema potrzeby, (*na stronie*) komedyant, (*głośno*) a kto pan jesteś?

P. JAN (*stodko*)

Jan Zabilski, na usługi pana dobrodzieja.

KAPITAN.

Z przydomkiem nieustraszony, nieprawdaż?

P. JAN.

Tak, to mnie koledzy czasem nazywają, a z kimże mam honor mówić w osobie pana dobrodzieja?

KAPITAN.

Kapitan Majewski.

P. JAN.

Znam imię. Niechże mi się Kapitan dobrodziej pozwoli zaszczyścić znajomością...

KAPITAN.

I ja się bardzo cieszę, żem poznał pana.

*(Skończywszy jeść, wstaje, klania się i odchodzi.)*

KAROL *(zbliża się do Jana)*.

A co, już przeprosił?

P. JAN.

A, to prawdziwie szczęście, że ten pokazał swoją legią, byłbym go jeszcze zabił, a potem płakał całe życie.

KAROL *(bierze go za puls)*.

Mój Jasiu, tyś pewnie słaby, bo zkądże ci się tak zebrało na czułość?

P. JAN.

Czyż myślisz, że i lew...

KAROL.

A tak.

2gi BAŁAGUŁA *(cicho do Karola)*.

Zobaczysz, co temi kpinkami narobisz, jak nas mają szanować, kiedy my się nie szanujemy.

KAROL.

Masz rację, concordia maximae dilabuntur, jedźmy do... coś mi się pończu zachciało.

1szy BAŁAGUŁA.

Ależ nasz Jaś i zuch i gęba, jaki wymowny.  
*(Wszyscy się rozchodzą)*.

Scena III. — W sali kontraktowej.

Grupa 1.

Osoby.

PAN A, debitor — KREDYTOR A — wchodzi później  
LIBERADZKI, KREDYTOR B, ZAREBA, kredytoro-  
wie pana A — ŻYD KAPCAN — ŻYD TANTNY.

*(Sala natkana ludźmi w płaszczach, futrach i czapkach,  
Chrześcianie i Żydzi, z boku sklepy, na przodzie Pers z sza-  
lami i Tatar z szlafrokami i wschodnim orężem.)*

*(Pan A przemyyka się przed sceną, z przelajają wypada  
kredytor A.)*

KREDYTOR A.

A, panie dobrodzieju, czyż się to godzi?

PAN A *(na stronie)*.

Jak mię ten tu zatrzyma, to tamci nagonią  
*(Ściska go i całuje na dwie strony, głośno.)*. A wła-  
śnie cię szukałem. Wszystkie papiery na twoją  
zastawę przygotowane, ale cóż to masz do mnie,  
mów prędko.

KREDYTOR A.

Toż Liberadzki ma obiecaną zastawę, na tę  
samą wieś, czy się to godzi.

PAN A.

I ty temu wierzysz, Liberadzki kłamie, jak  
ciebie kocham kłamie, a zresztą co ci szkodzi,  
powiadam ci, że papiery gotowe, przyjdź jutro  
rano o ósmej, to pojedziemy do akt i zeznam.

KREDYTOR A.

Ja do jutra czekać nie mogę, żadnym sposobem nie mogę. Termin już minął.

PAN A.

No, to przyjdź dzisiaj o czwartej, (*na stronie*), o czwartej będę u Joasi, to on poczeka do szóstej, a o szóstej już będzie za późno, to dziś minie. Żeby mi z nim dwa dni przeciągnąć, to tymczasem mniejszych spędzę i pieniądze mu pokażę.

KREDYTOR A.

No, to służę JWpanu o czwartej, punkt o czwartej; ale pewnie zastanę?

PAN A.

Słowo honoru.

(*Liberadzki śpiesznie z tyłu nadchodzi szukając oczyma.*)

LIBERADZKI.

A, pan dobrodziej, i aspan także.

PAN A. (*z góry*).

Dla czego pan fałszywe wieści roznośisz i mnie kredyt psujesz?

LIBERADZKI.

He!

PAN A.

Dla czego pan mówisz, że ja panu przyrzekłem puścić zastawą Papiszki?

LIBERADZKI.

He, przepraszam, zadychałem się, astma, Papiszki, a któremu z nas pan puścisz Papiszki, he?

PAN A.

Nie mówiłem z panem o Pipiszkach, ale o Golećcinie, rozumiesz pan?

LIBERADZKI.

Golećcinie? A wiele dusz, he?

PAN A.

Trzysta siedmdziesiąt, więc pięćdziesiąt więcej jak w Pipiszkach.

LIBERADZKI.

Więcej w Pipiszkach.

PAN A (*do Kredytora A*).

Przeklęty głuchman, i jak pan mu mogłeś wierzyć, że on co odemnie słyszał.

KREDYTOR A.

A prawda (*odchodząc*), o czwartej punkt.

LIBERADZKI.

Ja czasem nie dosłyszę, i dla tego pisałem do pana; szkoda, żeś pan na piśmie...

PAN A (*na stronie*).

A, byłbym dobrze wyszedł, (*głośno*) w Golećcinie pięćdziesiąt dusz więcej.

LIBERADZKI.

Więcej.

PAN A.

I będzie mi się należyć dopłat.

LIBERADZKI (*żywo*).

Nie, nie, nie.

PAN A.

Przyjdź pan do mnie jutro o południu.

LIBERADZKI.

Już po południu?

PAN A.

Jutro o południu, to się ułożymy.

LIBERADZKI.

Aha, jutro.

PAN A. (*na stronie*).

To szczęście, że tu nie ma tego, któremum obiecał wypuścić Gołęcin.

(*Z boku nadchodzi Żyd Kapcan, prowadząc tantnego.*)

ŻYD KAPCAN (*cicho do Pana A.*).

Pan Moszko da JWpanu 1000 dukatów na trzy dni, (*ciszrej*), na 2 od sta.

PAN A.

No, to nie wielka suma 60 dukatów, jedźcież zaraz do mego komisarza i niech weźmie do kasy, tylko prędko. (*Żydzi odchodzą*).

(*Kredytor C. i Zareba nadchodzą szybko z tyłu, szukając*).

KREDYTOR C.

Oto Liberadzki, może on go widział, chodź, zapytam się.

ZAREBA.

E, nim się do niego dostukasz, to tamten z Kijowa wyjedzie, ale otóż i on. (*Do Pana A.*)  
A, panie dobrodzieju, toż to już trzy dni przeszło, biegam za panem bezskutecznie, a zmiłuj się pan, mój termin wczoraj minął.

PAN A.

A, panie dobrodzieju, już trzy dni, jak pańskie trzy tysiące rubli odrachowane, czekają na pana u mego komisarza.

ZAREĘBA.

To niema nic tak pilnego, ja tylko chciałem widzieć JW. pana.

PAN A.

O nie, Mości Dobrodzieju. Kto u mnie chce odbierać, od tego już nie biorę pieniędzy, odbierz pan natychmiast.

ZAREĘBA.

A, zmiłuj się pan, miejże wzgląd, toż ja prawdziwy sługa pański. (*Bierze go za kolano*).

PAN A.

No, no, zobaczymy, poszukaj jednak zaraz mego komisarza, zobaczymy.

ZAREĘBA.

Łaska JWpana (*znowu go ściska za kolano — na stronie*), byle zobaczyć, że są worki.

KREDYTOR C.

A ja za JWpanem nie biegam, mój termin dopiero jutro, spodziewam się...

PAN A.

Zobacz się z komisarzem, może będziemy potrzebować, w każdym razie każę ci dać pierwszeństwo przed drugimi. (*Rozchodzą się*).

## Grupa 2.

A. *w długim surducie dobrze ubrany*. — B. *widać elegant, ale w starej kapocie — (wchodzi później)* C. *gruby i krótki, z waszczia.*

A.

Stój, stój, a to ty, cha, cha, cha, cóż to za maskarada, ty taki elegant?



B.

Cicho, cicho, i idź do djabła, gdybym wziął palto albo frak krągły, każdyby powiedział, a to panie fireyk, i niktby mi i trzech groszy nie dał, a tak, już zobaczyłem burego szlagę, bądź zdrów, właśnie go szukam. (*Odchodzi.*)

C. (*wchodzi i przypatruje się mocno panu A*)

Wszak się nie myślę, wszak to acan dobrodziej, (*rzuca mu się na szyję i obcałowuje.*)

A. (*na stronie.*)

Nie znam go, mniejsza o to, (*całuje go i ściska także, tymczasem C. poznaje, że się pomylił, i że to nieznanomy, ale A. go coraz gwałtowniej całuje, i tak cofając się wychodzą za scenę.*)

Grupa 3.

LEON — PŁACHECKI — (*wchodzi później*) ZARĘBA.

PŁACHECKI.

To jest, na co panu przedawać! Żydaśmy zapłacili, Zareba zostawia do kontraktów pokój, można wyjść, cierpliwość, perezałów.

LEON.

Jednak, jeśli można, choć nie źle, wyznaję, że mnie nic do tej ziemi nie wiąże.

PŁACHECKI.

A, dobra ziemia, to jest, co pan mówisz. A zresztą, jak pan sprzedasz, to trzeba będzie, to jest, coś mniejszego kupić.

LEON.

Nie, z resztą kapitału wyjadę, mam potrzeb

mało, 4ty procent mi wystarczy do wyżycia, (*na stronie*) może z dziesięciu ich zmięszło się, kiedy się do nich zbliżył, to nie do zniesienia.

PŁACHECKI.

To jest, to już od wielu słyszałem, a nikt nie zrobił, trudno, 4 od sta, albo mówią, to jest, za granicą bywa jeszcze mniej.

LEON (*na stronie*).

I nie wiedzieć do kogo się udać, żeby tę rzecz wyświecić, bo dość wyświecić, a potem z jednym się wystrzelać, cóż robić, muszę. Do Prezesa mi się iść nie chce, pana Franciszka się boję. Wszak to przyjaciel Brygadiera, który widać, nie życzy sobie mnie poznać, bo ani słowa od Kasztelanowej. Nic o Maryi. O Maryi...

ZARĘBA (*wpada na niego zadyszany*).

Upadam do nóg pana dobrodzieja, szczęściem zem go spotkał — byłem dwa razy na stancyi, to ja od mego brata Zaręby, chciałem pana dobrodzieja prosić o sumkę, termin minął.

LEON.

Przeciwnie, mam list od pana Zaręby, w którym mnie prosi o zatrzymanie tej sumy do przyszłych kontraktów.

PŁACHECKI.

Procent odpisany.

ZARĘBA.

A, zmiłuj się pan, to ojciec dzieciom, pan nie zechcesz skrzywdzić...

PŁACHECKI.

To jest nie można, inny obrót interesów, kontrakty przechodzą, nie można, żadnym sposobem, nie można.

ZARĘBA.

A zmiłuj się pan, tak się nie godzi, to cały kawałek chleba. Otóż to panowie, tak jak Wieczyński.

LEON.

Czy pan jesteś upoważniony do mówienia w tym interesie?

ZARĘBA.

Oto list mego nieszczęśliwego brata, którego pan chcesz puścić z torbami.

LEON (*czyta list*).

Pański brat pisze, że mu się trafia interes, od którego jego cała przyszłość zależy. Będę się starał dostać pieniędzy dla pańskiego brata.

ZARĘBA.

Obiecanka, cacanka, a głupiemu radość, ciekawym kto da?

LEON.

Jak mi pan jeszcze słowo piśniesz, to się i starać nie będę, bo obowiązku nie mam stosować się do zmiennych fantazyi pańskiego brata.

ZARĘBA.

A już też . . .

LEON.

Proszę, ani słowa więcej, bo i szeląga nie dam. (*Odchodzi parę kroków*).

ZARĘBA.

Liczę na słowo pańskie. (*Odchodzi w tłum*).

LEON (*do Płacheckiego*).

Trzeba koniecznie sprzedać, takich scen nie zniosę, szukaj pan koniecznie kupca.

PŁACHECKI.

To jest, Pieniążek.

LEON.

Nie kupuje.

PŁACHECKI.

Daje mi kubana 500 dukatów, przy tranzakcyi, to jest przyjąłem, doliczymy do szacunku.

LEON.

Kiedy daje, to pan bierz, nie wątpię, że równie za mną ciągnąć będziesz.

PŁACHECKI.

To jest, dotąd jeszcze nie kradnę, to jest, z tych starych.

LEON (*ściska go za rękę*).

Z tych rzadkich, więc pan szukaj Pieniążka, i koniecznie sprzedać, rozumiesz pan, koniecznie. (*Płachecki trzęsie głową — rozchodzą się — Płachecki się przyzostaje*).

Grupa 4.

SĘDZIA — SZLACHCIC 1szy — SZLACHCIC 2gi —  
PŁACHECKI.

SZLACHCIC 1szy (*ktaniając się*).

Ej, moją sumkę, to już pan Sędzia weźmie, trzy tysiące karbowanych wszystkiego.

SZLACHCIC 2gi (*podobnie*).

A moich dwa.

SĘDZIA.

Ależ mówię aspanom, że nie mogę, nie nie kupuję. A, jak się ma pan Płachecki?

PŁACHECKI.

Sługa uniżony, moje uszanowanie.

SĘDZIA.

A jakeście tam interesa poprowadzili?

PŁACHECKI.

Jak na ten rok, dobrze. Żydaśmy zaspokoili, a Zaręba pisał, że zostawia.

SĘDZIA.

A ja słyszałem, że się zrywa.

PŁACHECKI.

My nie możemy, to jest, podług jego fantazyi, raz tak, drugi raz tak.

SĘDZIA.

Będzie publikował.

PŁACHECKI.

To jest procent odpisany, list złożymy.

SĘDZIA.

Nie pięknie.

PŁACHECKI.

Cóż robić?

SĘDZIA (*na stronie*).

Ten błazen Zaręba z tym listem.

PŁACHECKI,

Ale ja mówiłem to jest, panu Leonowi, że na rok przyszły, to samo, zawsze trzeba sprzedać.

SĘDZIA.

A pan Leon?

PŁACHECKI.

Mówi, sprzedaj.

SĘDZIA (*na stronie*).

Chce 500 dukatów, a już myślałem, że mi się wymknie ta robota, (*głośno*), to chcecie sprzedać.

PŁACHECKI.

To jest, chcemy; to jest, ale tylko panu.

SĘDZIA (*na stronie*).

A gwałtem mu się chce tych 500 dukatów (*głośno*), kiedyż wy chcecie złote góry.

PŁACHECKI.

To jest, nie wiele gadać, to jest, wiem jego ostatnie słowo, za mniej jak 55 dukatów pan nie kupisz.

SĘDZIA.

Cóż to, aspan żartujesz ze mnie 55, ale chodź lepiej do mnie, cóż tu będziemy gadać... (*Odchodzą*).

Grupa 5.

KOMORNIK — Jakiś JEGOMOŚĆ.

JEGOMOŚĆ

(*zatrzymuje nadbiegającego Komornika*).

A co, czy kupiłeś herbatę?

KOMORNIK (*wrywa się*).

Daj mi pokój z herbatą, (*na stronie*) a ten mi z herbatą przyrzekł się starać dla Zaręby, a ten stary sąsiad powiada, że to u niego zna-

czy, że ze skóry wyskoczy, głupi, a tak mu się były ułożyły kontrakty, głupi, muszę przestrzedz Sędziego. (*Odchodzi.*)

Scena IV. — U Leona.

O s o b y.

LEON — (*wchodzą później*) PŁACHECKI — UBOGA.

LEON

(*sam, głowa w rękach, łokcie na stoliku, moment milczenia.*)

Łeb mi się kręci. Jak to, że mną ludzie boją się mówić, dać mi rękę, czy nie byłem za nadto cierpliwy? (*Zrywa się*). Milion djabłów, pierwszego co nie tak spojrział jak należy, trzeba było wyzwać, i tak zrobię, zaraz zrobię, (*wolniej*) wyzwać, i może zabić, tak jak tamtego, brrrr, dotąd widzę jak upadł, oczy w słup, nie, za nic, drugi raz mi się nie uda wrócić go do życia. Co ja mówię wyzwać, za nisko jestem, za nisko, nikt nie przyjmie mego wyzwania, wszak mi to w oczy powiedział ten głupiec, lada burda mię zelży i bić się nie będzie. Tak być nie może, wyświecę rzecz całą, koniecznie wyświecę. Że on uniósł ojca, jeżeli to prawda, bo już o wszystkim wątpić zaczynam, to nie racya, żebym przez niego znosił, tegoby mi ojciec nigdy nie darował, wyświecę bez żadnego względu, idę do Prezesa. (*Wolniej*). I cóż mu powiem, i tak mi się z niechęcią odkłonił. Cóż mu powiem, że mię ten oszukał, czem mu dowiodę, papiery oddałem. Zresztą za

późno się przekonywam, że oni się wszyscy trzymają, jednak spróbuję, nie, jednak to człowiek honoru. (*Wchodzi Płachecki*). Otóż i te przekłętę interesa.

PŁACHECKI

(*w całej tej scenie bardzo animowany*).

To jest, nie ma sposobu, sposobu, już dochodził do 55 bez poszlin, aż nadszedł Komornik, z tym, że pan obiecałeś Zarębie, to jest, i stary cofnął poszliny.

LEON.

Cóż robić, trzeba przejść i przez to.

PŁACHECKI.

Przejsć, przejsć, to jest w kwadrans, że stary Zaręba przyjechał. Braciszek pokazał Sędziemu list. Pan oddałeś list.

LEON.

Nie mogłem, stary rzewnie płakał, prosił, przekładał mi interes, istotnie, to by go zgubiło, jakbym mu tych kontraktów nie oddał.

PŁACHECKI.

List oddać, to jest, i czego oni w tej Getyndze uczyli, to jest to wszystko łgarstwo, braciszek Żyda posłał, tamten przyjechał, interesu żadnego niema, wszystko łgarstwo, tylko to jest, Sędzia braciszka nastraszył, że lokacya nie pewna.

LEON.

I ten stary Zaręba, co mi dał słowo honoru, że do końca kontraktów ani słowa nie piśnie.

PŁACHECKI.

To baba, to jest, papla to jest, braciszek go w prawo i w lewo.



LEON.

Ale cóż w tym tak złego dla nas?

PŁACHECKI.

A czegoż oni w tej Getyndze uczyli. Sędzia znowu cofnął 2 dukaty, i już dziś nie daje jak 53.

LEON.

Cóż robić, trzeba sprzedać.

PŁACHECKI.

A pan wiesz, co to 53, trzy poszliny, papier i koszta, to 50 to jest.

LEON.

Cóż robić.

PŁACHECKI.

A najmniej trzy na kruczki, to 47, to jest.

LEON.

Jakim sposobem tyle.

PŁACHECKI.

To jest, pan słuchaj. Punkt 3ci tranzakcyi, dusz skazkowych, objętych inwentarzem, 698. Coby brakowało, bonifikować mu po 40 dukatów. Pan uważ, to jest, skazka pisana w 1834, od tego czasu to jest, odeszło śmiercią, rekrutem i t. d. dusz 68, a przybyło przez narodzenie 102, to jest 102 mu darujesz, a za 68 zapłacisz mu po 40 dukatów.

LEON.

Jak to być może?

PŁACHECKI.

Punkt 3ci.

LEON.

Słuchaj panie Płachecki, jesteś człowiek uczciwy, sprzedaj Obłądy jak można, ja dla siebie nic nie chcę, byle bez krzywdy kredytorów i małej Anusi, której sumę tą nieszczęśliwą lokacją u hrabiego zakompromitowałem.

PŁACHECKI.

To jest rachowałem, tak jak daje, ledwie się panu dostanie dziesięć tysięcy złotych.

LEON.

To dobrze, wezmę małą dzierzawę, zresztą człowiek nie potrzebuje w rok jak 12 korcy zboża i siermięgę.

PŁACHECKI (*odchodząc na stronie*).

To jest spróbować, i czego to oni tam uczą za granicą. O, nie poszlę mego Jakubka do Lwowa; choć zresztą wydaje się człowiek porządny.

LEON (*sam*).

Otóż i strwoniłem to mienie, które mi matka tyloletniem staraniem wyratowała. O, za lekko zmarnotrawione. Dobry opiekun siostrze. Wszytkie obowiązki stargane, jak nazwać taką lekkość. O, to robak sumienia.

Maryo, już dawno powinienem cię był wyrwać z serca, dziś między mną a tobą taka ogromna przeszczeń. Czegoż chcesz odemnie. (*Przeciera oczy*.) Nie, to matka — Marya — matka — a to ojciec surowo patrzy, wiem czego chcesz odemnie, byłem

nadto cierpliwy, plamę — zmyję plamę. Bądź co bądź i czyjakolwiek krwią, zmyję plamę, — uspokój się.

*(Chce wychodzić, i spotyka wchodzącą ubogą.)*

UBOGA.

Jaśnie Wielmożny panie, już razy kilka JW. pan wsparłeś moją niedolę. Bądź pan łaskaw. To była na mnie ciężka zima, dzieci mi chorowały. Pan nie wiesz co to nędza, jak dziecię słabe a niema go zkąd poratować, zadłużyłam się.

LEON

*(bierze ze stolika nécessaire i oddaje).*

Weź, dałem za to 60 dukatów w roku przeszłym, może ci to co przyniesie. Rzecz niepotrzebna, nécessaire, ale proszę cię już do mnie nie przychodź.

UBOGA.

Mój Boże, chleb dzieciom, doktor, *(po zastanowieniu się)* ależ ja się panu naprzykrzam, może nie godzi się przyjąć. *(Chce oddawać).*

LEON *(spokojnie).*

Nie, nie to moja pani mówię, tylko że odtąd nie przychodź, bo odtąd, będę tak ubogi, jak pani, tylko, że nie mam dzieci, i mogę pracować.

UBOGA

*(zmięszana cofa się do drzwi, odchodząc).*

Będziemy Boga prosić za pana.

LEON *(sam).*

Tak, módlcie się. To była kobieta dostatnia,

zacna, uczciwa, miała jedną wadę, męża marnotrawnego, dziś żebrze; módlcie się, a ja, dawno, jakem się szczerze modlił, prosić będę, żeby mi dał siłę i wytrwałość w pracy, i żeby mi tego robaka oddalił (*klęka*).

*Kurtyna zapada.*

## AKT V.

Scena I. — U Prezesa.

O s o b y.

JEGOMOŚĆ 1szy — JEGOMOŚĆ 2gi — PREZES — CI-  
CHOCKI — PUŁKOWNIK — PAN JAN — 2gi BAŁA-  
GUŁA — Galerya grająca — *wchodzi później* KAPITAN.

*(Kilka stolików obsadzonych.)*

1szy JEGOMOŚĆ.

I prócz tego, Pułkownisio go wyzwał, wi-  
działem list, pokazywał nam wszystkim wczoraj  
u Prezesa.

2gi JEGOMOŚĆ.

A pan Leon, co?

1szy JEGOMOŚĆ.

Nic.

2gi JEGOMOŚĆ.

Infamis.

1szy JEGOMOŚĆ.

A wiesz historję Bałagulską?

2gi JEGOMOŚĆ.

A któżby nie wiedział? Infamis!

(*Wchodzi Kapitan.*)

PREZES.

Kapitan (*zrywa się i wita, toż Księżę, Pułkownik i kilku innych.*)

GŁOSY.

A, jak się masz, jak się masz, dawnoś przyjechał? A zkądże cię diabli przynieśli?

1szy JEGOMOŚĆ do 2go.

Kto to?

2gi JEGOMOŚĆ.

Juluś Kapitan.

1szy JEGOMOŚĆ.

Djable kulfońska mina. (*Rozchodzą się.*)

KAPITAN (*do Prezesa, który kontynuuje grać.*)

Niema tu Leosia Obłędzkiego?

PREZES.

Nie wiem, jest podobno w mieście.

KAPITAN.

Czy tu nie bywa?

PREZES.

Czy cię interesuje pan Obłędzki?

KAPITAN.

Jak to? Leoś! syn Aleksandra... jam go wyniańczył, wychował.

PREZES.

To ci się nie udało wychowanie, przykro mi

jest ci to powiedzieć, ale... tchórz... i dla tego tu nie bywa.

### KAPITAN.

Kochany Prezesie, widzę ze mnie żartujesz, Leosć miał lat 18, kiedy się strzelał ze sławnym pojedyńkarzem, kurlandzkim baronem Reichenheim, który, ale dajmy temu pokój. Ja sekundowałem, przyjął dwa strzały na mecie, patrzałem mu w oczy i byłem z niego zupełnie kontent, pozwól, że mogę o tem sądzić, bo różnych widziałem. Sam pierwszy raz strzelił w górę a drugi, za moim wyraźnym rozkazem, w prawą rękę, i o włos nie chybił. (*Pauza, sensacya, Pułkownik i pan Jan zaczynają się mięszuć.*) Na nieszczęście, broń biła ostro, i kula się w rękę nie zatrzymała, dwa tygodnie nieborak był bez nadziei, a biedny chłopiec i na krok go nie odstąpił. Szczęściem Niemczysko się jakoś wylizało, tylko mu ręka uschła, żartujesz ze mnie łaskawco.

### PREZES.

To rzecz dziwna, jednak obraził Pułkownika i nie wyszedł na jego wyzwanie. A ten pan, którego oto widzisz, wytrącił go za drzwi, i uszło.

### KAPITAN.

Żartujesz, wyraźnie żartujesz, toż ja tego pana znam. Proszę pana! (*Pan Jan niechętnie się zbliża.*) Ten pan jest tchórz, (*wielka sensacya*) wczoraj, miałem przyjemność go poznać pod tym względem. Widząc, że ja nie Herkules, insultował mię i wyzwał, a dowiedziawszy się, że dawny wojskowy, zrejterował się krokiem przyśpieszonym.

P. JAN.

Gdyby nie uszanowanie...

KAPITAN.

Słyszałem, wiem resztę. Czy pan myślisz żebym go był tak łatwo spuścił, gdybym był nie dosłyszał, co panu kolega do ucha szeptał; (*obracając się do Prezesa*) na prawe ucho nie dosłyszę, ale lewe mam nadzwyczaj bystre.

A co się tycze pana Pułkownika, to się od dawna znamy, służyliśmy w jednym pułku, ja byłem starszym kapitanem, razemeśmy wyszli ze służby, a dziś Pułkownik i majora przeskoczył i jest Pułkownikiem, nie wiem, jak się to stało.

PUŁKOWNIK.

Cóż to pan sobie myślisz?

KAPITAN.

Ale to jeszcze mniejsza. Grunt to, żeśmy w pułku, pana Pułkownika nazywali kamforą, dla tego, że bywało, jak tylko ogień, tak ft! pan Pułkownik gdzieś znika.

PUŁKOWNIK.

Mój panie — ten krzyż legii honorowej świadczy...

KAPITAN.

Ta legia, to panu wyrobił saski generał Kon-schützer, któremuś pod Lipskiem wiernie przez cały dzień towarzyszył, chociaż i nie był przy nim skądinąd. (*Obracając się do Prezesa.*) Ten zacyjny generał dla ochłody schronił się był do piwnicy, i tam gorący czas do nocy przeczekał.



PULKOWNIK.

Mój panie, nadużywasz wreszcie cierpliwości...

KAPITAN.

Mówię prawdę! Ci panowie mnie znają i wiedzą, że zawsze mówię prawdę. A zresztą ofiaruję panom satysfakcyę, (z *ogniem*) bo was obrażam, mówiąc że *kłamstwem* jest, żeby Leon Obłądcki nie stanął z wami do pojedynku.

P. JAN (*cicho do Pułkownika*).

To Pułkownik pozwolisz, żeby...

PULKOWNIK (*cicho*).

A pan go wyzwij, to przecież pańskie rzemiosło.

P. JAN (*cicho*).

Chce Pułkownik, to go wyzwę... w imieniu Pułkownika.

PULKOWNIK (*do Kapitana*).

Gdyby nie to, że muszę ustąpić pierwszeństwa, ot panu, (*pokazuje Jana*) z którym pan masz zajście od wczoraj, tobym panu pokazał...

P. JAN.

Ja, nie koniecznie, i jeżeli pan Pułkownik...

2gi BAŁAGUŁA (*cicho*).

Czego się boisz, wyzwij go, weźmiemy Stasia na sekundanta, to z rok pociągniemy i plac ostrzelamy. Czy myślisz, że on będzie miał czas siedzieć tu dwa lata?

P. JAN (*cicho*).

To ty myślisz, że ja się go boję, dobryś, to tylko przez grzeczność dla Pułkownika. (*Głośno*.)

A jeśli pan Pułkownik tak łaskaw, że mi ustępuje pierwszeństwa, to mu za to bardzo dziękuję, a pana wyzywam. Na sekundanta uproszę mego przyjaciela pana Stanisława, który dał dowody... (*Odchodząc, do jednego z Bałagutów.*) A co, dobrze, o tak, nauczyć starego łgarza!

PREZES (*mrużąc*).

Dał dowody, że te rzeczy i długo prowadzi i dobrze, bez krwi rozlewu, rozumiem, a pan Pułkownik?

PULKOWNIK (*do Kapitana.*)

Skoro pan z tym panem skończysz, to panu służę. (*Odchodzi.*)

PREZES.

I to rozumiem, (*do Kapitana*) poszukaj, proszę cię, Leona, przecież choć raz chcę się prawdy dowiedzieć.

CICHOCKI.

Ależ Prezesie, jakże możesz sądzić...

PREZES.

Proszę cię, ani słowa, jeżeli nie chcesz, abyśmy się rozeszli.

**Scena II.** — U Leona, jak wyżej.

(LEON *kłęczy na tem samym miejscu, głowa zakryta rękami, wchodzi KAPITAN, rzucają się nawzajem w objęcia i tak się długo trzymają.*)

Scena III. — U Brygadiera, jak wyżej.

O s o b y.

BRYGADYER — KAPITAN — później wchodzi MARYA  
— P. FRANCISZEK — SŁUŻĄCY — LEON.

BRYGADYER.

Co aspan mówisz? A to prawdziwa jaskinia łotrów, biedny chłopiec. Ot powiem ci, że każdy z nas, jak było fu, fu, mógłby być wleść w takie błoto, przyjacieli.

KAPITAN.

I nikt mu ręki nie podał.

BRYGADYER.

Czy myślisz, że on szukał rady, tym młodym to się wydaje, że jak Hegla trochę... nie zrozumie, to już wszystkie rozumy posiadał a de facto głupi. Czemu on u mnie nie był, jabym mu był powiedział, że głupi.

KAPITAN.

A Brygadyer myślisz, że szanowny Pułkownik nie miał na doręczu jakiej porządnej potwarzy, żeby go odciągnąć od Brygadiera.

BRYGADYER.

Nie może mi darować, że go zastałem rękami w mojej szkatułce, to jednak między nami, rozumiesz!

KAPITAN.

Czy tak? i prócz tego była jeszcze przyczyna...

BRYGADYER.

Co?

KAPITAN.

Ot, nie wiem, czy mi wypada mówić?

BRYGADYER.

Kiedy nie masz mówić, to u diabła nie zaczynaj i człowieka w ciekawość nie wprowadzaj. No, mów. (*Wchodzi Marya, całuje ojca w rękę.*) Maryniu, mój dawny przyjaciel, Kapitan Majewski. (*Marya siada na boku przy stoliku i bierze robotę na kanwie, Brygadyer z Kapitanem rozmawiają cicho.*)

MARYA (*na stronie*).

To jednak szlachetnie z jego strony, biedna nieboga ze łzami mi opowiadała, ale cóż to on mówił, jutro ubogi, muszę wiedzieć, wszak mi nikt wzbronić nie może myśleć. O, i sama sobie wzbronić nie mogę, ciągle mi na myśli...

P. FRANCISZEK (*wchodzi*).

(*Mija tych panów i siada obok Maryi.*)

Bardzo mi się dziś uradował.

MARYA.

To dziś tak rzadko.

P. FRANCISZEK.

Zmuszono mnie wrócić szacunek człowiekowi, którego kochałem, dziś już nie Zawiski z nowinką, ja, pani nie domyśla się? A co za nowinkę dostanę?

MARYA.

Nie żartuj pan, mów co prędzej.

P. FRANCISZEK.

Wszystko się wyjaśniło, a raczej to się tylko wyjaśniło, że wbrew opowiadaniom naszych Lafontenów, Leon był w tem wszystkiem i bez żadnej przerwy czystym zupełnie.

MARYA.

Panie! wysłuchałeś mnie! (*I dalej rozmowa idzie cicho.*)

BRYGADYER (*do Kapitana*).

No proszę, żebym to ja na ostatku o tem wiedział, a jednak, to mi daje klucz wielu, wielu rzeczy, hm, u tych kobiet zawsze konszachty.

KAPITAN.

A co się tyczy interesów, to rzeczy stoją jak najgorzej. (*I dalej rozmowa idzie cicho.*)

P. FRANCISZEK.

Ale powiadam pani, że dziś wieczór na raucie u Prezesa ma być wielka deklaracya.

MARYA.

To być nie może, ja dzisiaj jestem... słaba.

P. FRANCISZEK.

Słaba, a oczy się śmieją.

MARYA.

Istotnie słaba, powiedz pan papie...

P. FRANCISZEK.

Będzie się gniewał.

MARYA.

To pan zacznij tylko, a ja... (*I dalej rozmowa idzie cicho.*)

BRYGADYER (*do Kapitana*).

Napisz do niego, mogę mu być nadal pomocą.

KAPITAN (*siada i pisze*).

„Pan Brygadyer żąda cię poznać i pomówić względem twoich dalszych zamiarów, przychodź natychmiast, czekam na ciebie.“ To dwa kroki, zaraz tu będzie.

BRYGADYER.

A dopisz mu aspan, że wiem prawdę o tych głupich historyach.

(*Dzwoni na służącego, służący wchodzi.*)

KAPITAN.

A, prawda, możeby nawet inaczej nie przyszedł.

(*Dopisuje i oddaje służącemu, który odchodzi.*)

BRYGADYER.

I mówisz, że on rządny, mimo to ostatnie fiu, fiu?

KAPITAN.

Znam go od dziecka.

BRYGADYER.

Toby jednak szkoda było tego majątku, ja to znam, to najmniej o dwakroć sto tysięcy więcej warto nad to, co on bierze.

KAPITAN (*na stronie*).

Stary egoista nie poda rady, a ten przekłety Leon pod słowem honoru zakazał mi i słowa w tej mierze. (*I dalej rozmowa idzie cicho*).

P. FRANCISZEK (*do Maryi*).

Mówmy raz przecie otwarcie. Dla czegoście

panie nigdy o tem nie mówiły Brygadyerowi? Kto wie, może co było do zrobienia?

MARYA.

Ciocia po prostu bała się, a ja myślałam, że jak się papa rozniewa, i powie słowo, to już będzie po wszystkim. Zresztą, już uprzedzenia ustąpiły, i miałam nadzieję, że go tu pozna, kiedy te nieszczęśliwe historye...

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Pan Leon Obłędzki.

BRYGADYER (*do służącego*).

Poczekaj. (*Do Kapitana.*) Aspan weź moje sanki i ruszaj do Pieniążka, mój furman wie gdzie, ruszaj prędko, jeżeli sprzedaż nieskończona, to ją wstrzymaj. Albo lepiej włóż Płacheckiemu w ucho, że ja daję 100,000 na zapłacenie Zaręby, to już on powinien znaleźć sposób, żeby to zerwać.

KAPITAN.

A jak zerwie?

BRYGADYER.

To dam 100,000, wszak dopiero w wieczór termin, ale lepiej, weź na przypadek wexel bankowy. (*Daje mu wexel i wypycha Kapitana, który go chce wziąć za rękę.*) No, ruszaj prędko, czasu nie trać, na te drzwi. (*Pokazuje mu drugie drzwi.*) A teraz panicza sprobujemy, okoliczność jedyna. Aha, moje panie, co tak dobrze umiecie sekretu dochować, zobaczemy. (*Do Maryi.*) Pan Obłędzki kompletnie zrujnowany; chcę mu dać miejsce

przy fabryce; zostaw nas, proszę... Ale zapomniałem, że się nim interesujesz, więc zostaw drzwi roztwarte... i posłuchaj.

MARYA.

Nie ciekawam.

BRYGADYER.

Jednak zostaw drzwi roztwarte, może cię skorci; Franusiu idź także, radbym żebyś i ty słyszał rozmowę. (*Marya i p. Franciszek odchodzą, do służącego.*) Prosić, wyczekał się trochę, nic nie szkodzi.

LEON (*wchodzi*).

Sądziłem, że tu zastanę Kapitana.

BRYGADYER (*grzecznie lecz dość zimno*).

Kapitan w tym momencie wyszedł; siadaj i przed wszystkim uważaj mnie jak przyjaciela rodziców; twoja matka zaszczycała mnie szczególniejszą ufnością. Bo z Aleksandrem miewałem gęste utarczki, już to wiesz, albo przynajmniej słyszałeś, że on był tyran na majątek i w tym względzie nieprzyjaciel swych dzieci.

LEON.

Nigdy nic złego o moim ojcu nie słyszałem.

BRYGADYER (*na stronie*).

Dobrze. (*Głośno.*) Ja tylko chciałem ci powiedzieć, żeśmy się szarmyelowali o jego interesa, więc przed wszystkim uważaj mnie za przyjaciela rodziców. No, jakież jest dzisiaj twoje położenie, i jakie żądania?



LEON.

Zdawało mi się, że Kapitan...

BRYGADYER.

Nic nie szkodzi, powtórz, lubię ścisłość.

LEON.

Właśnie moje położenie finansowe daje się ściśle oznaczyć, nie mam nic; moje żądania, zarobić pracą na kawałek chleba.

BRYGADYER.

To dobrze, cóż umiesz?

LEON.

Znam nie źle mechanikę, dosyć pracowałem w zawodzie chemii i technologii, i sądzę, żebym mógł być panu Dobrodziejowi użytecznym w jednym z jego zakładów.

BRYGADYER.

To dobrze, i cóżbyś żądał?

LEON.

To nowa dla mnie karyera, nie wiem, im mniej tem lepiej, ile trzeba żeby wyżyć na jak najniższą skalę. Jednak w tym względzie zakładam warunek, który zapewne się panu nie podoba, może żądać będę dużego zadatku, na lat wiele, ze 400 dukatów.

BRYGADYER.

To istotnie wiele, ale na co? powiedz mi jak przyjacielowi rodziców.

LEON (*po wahaniu się*).

Nierozsądnem postępowaniem, co najmniej

nierozsądnym, skompromitowałem posag mojej małej siostry; do całkowitego zwrotu może mi brakować będzie 400 dukatów i te radbym pracą moją zastąpić.

BRYGADYER.

Toby się mogło zrobić, alebym żądał kontraktu na lat kilka, i słowa i dotrzymania słowa i pewności dotrzymania.

LEON.

Nie mam innej gwarancyi jak proste słowo; jednak przymuszasz mnie pan dobrodziej wspomnieć, że właśnie dla dotrzymania słowa przyszedłem do ubóstwa.

BRYGADYER.

Jednak gdyby jaka okoliczność, np. gdyby Zaręba nieżądał wypłaty, lub żeby się znalazł kupiec inszy, np. na 60 dukatów, okroiliby ci się wyżej 200,000, a wtedy, przepraszam cię, że wchodzę w takie suppozycye, ale widzisz, potrzebuję pewności.

LEON.

Toby wcale nie zmieniło mego położenia, nawet zostawszy przy tej ziemi, musiałbym ją oddać siostrze, na lat wiele do całkowitego wybrania sumy.

BRYGAEYER.

Ależ to przypuszczenie za kwandrans się sprawdzić może; zostaniesz przy majątku a względem siostry obowiązku prawnego nie masz, czy nie zmieniasz myśli?

LEON.

Mam obowiązek moralny i jedno tylko słowo w pańskim przypuszczeniu, z natury rzeczy znalazłbym na imię siostry, kontrakt zastawny, do całkowitego wybrania sumy i jeślibyś pan dobrodziej raczył być jej opiekunem...

BRYGADYER.

W każdym razie najchętniej przyjmuję opiekę, a nawet proszę przyslij mi zaraz dziecię, oddam je mojej córce. Maryniu. Aspan zostajesz z nami, wystaram ci się zatrudnienia, będziesz go miał po uszy, o honorarium się ułożymy. Maryniu. (*Wchodzi Marya.*) Czy przyjmujesz na siebie opiekę małej Anusi? siostry pana Leona, ale nie na zabawę.

MARYA (*żywo*).

Z największą chęcią, i ściśle jej dopełnię, (*na stronie*), jak blado wygląda. (*Cicho do ojca.*) Nie myślałam, żeby papa mógł nadużywać przykrego położenia tego szlachetnego człowieka.

BRYGADYER (*cicho*).

Jakto, słuchałaś? widzisz, bo i ja mam swoje sekreta.

MARYA (*na stronie*).

Co to być może?

BRYGADYER (*na stronie*).

Walny chłopiec, podobał mi się, serce złote, mówi mało i ściśle, ten powiada, że rządny, zobaczymy, wszak to jego dziad trzymał mię do chrztu.

Scena IV. — U Pieniążka, jak wyżej.

O s o b y.

SĘDZIA — KOMORNIK — PŁACHECKI — ZARĘBA,  
wchodzą później KAPITAN — SĘDZINA — SŁUŻĄCY.

KOMORNIK.

Co to wiele gadać, musicie sprzedać i basta,  
macie innego kupca, nie macie.

PŁACHECKI.

To jest idzie wszystkiego o ośm tysięcy,  
i tak pan od wczoraj o 12 zniżyłeś. A, to jest,  
20 za jeden dzień to się nie godzi.

SĘDZIA.

To za Bałagułów, juściż trzeba, żeby się oni  
na co przydali na świecie, podziękuję im za 1,000  
dukatów.

PŁACHECKI.

To jest, co pan Bałagułów mięsza.

SĘDZIA.

Czy aspan myślisz, że wam mało popsuły  
kredytu wasze pojedynki z Bałagułami. A aspan  
wiesz, że im wy macie mniej kredytu, tem ja  
dam mniej pieniędzy. Nieprawdaż?

ZARĘBA (*do Płacheckiego*).

A cóż, pan kończysz? już się wieczór zbliża.  
Bądź pan zdrow, idę na salę publikować.

PŁACHECKI (*do Sędziego*).

To jest, nie można. Pan widzisz, że to już  
nie nasze 8,000, tylko naszej siostry.

SĘDZIA.

Co mi do tego co tam między wami, ani szeląga nie dam więcej.

PŁACHECKI.

No... (*Wchodzi Kapitan.*)

KAPITAN.

Gdzie tu jest pan Płachecki?

PŁACHECKI.

To jest ja, to jest zatrudniony.

KAPITAN.

Tylko dwa słowa.

(*Bierze go na stronę, mówi cicho i oddaje mu pakiet.*)

KOMORNIK (*cicho do Sędziego*).

Czegobo się Jegomość tak upiera o te 8,000?

SĘDZIA.

Ej, co tam asan wiesz, muszą dać. Ależ i ten twój Płachecki także filut, tak się targuje, a potem jeszcze będzie miał afronterę, wymaga ode mnie tych 500 dukatów.

KOMORNIK.

Jakto, to jegomość nie myśli dać? ot tak, a moje słowo.

SĘDZIA.

Dam aspanu 150 karbowanych.

PŁACHECKI

(*odprawivszy Kapitana, który odchodzi*).

Ej, zmiłuj się pan, miej litość, daj te 8,000.

SĘDZIA.

Powiadam aspanu, że nie mogę, i tak drogo płacę.

PŁACHECKI.

A to jest, kiedy pan nie możesz, to co innego, to widzę, że my tych kontraktów nie sprzedamy, to jest, kiedy tak, to bądźcie panowie zdrowi.

ZARĘBA.

No, no, poczekajno jegomość, to jest, zapominasz widzę o mnie.

PŁACHECKI.

To jest, nie, (*dobywa papiery*), to jest, pan przerachuj, a mnie kwit zeznaj w kancelaryi.

(*Ogromna sensacya, przezierają bilety bankowe.*)

ZARĘBA (*do Płacheckiego*).

Ależ my nie potrzebujemy pieniędzy.

PŁACHECKI.

To jest, owszem, potrzebujecie, macie ważny interes.

KOMORNIK (*do Sędziego*).

A co, widzi jegomość? mówiłem, było skończyć, i spisać przedugodne punkta.

SĘDZIA.

Aspan głupiś z swoim mówiłem; zawsze mi jakiś głupi interes naprowadzi.

KOMORNIK.

Otoż masz, ja winien. (*Odchodzi.*)

PŁACHECKI (*do Zaręby*).

Jedźmy.

ZARĘBA.

Nie przyjmę.

PŁACHECKI.

W przykazie złożę.

*(Zaręba bierze się za głowę i wychodzi z Płacheckim.)*

SĘDZIA.

To gałgan! te Oblędy, szczęście, zem nie kupił, takem się był daleko zapędził.

*(Płachecki u drzwi się obraca i kłania.)*

SĘDZIA *(sam, z gniewem)*.

Imość, jest tam kto? Imość *(wchodzi Sędzina)* myślałem, że się niedowołam, szklanę wody, i co teraz robić z kapitałem, już koniec kontraktów; ten przekłety Komornik zawsze mi jakiś głupi interes naprowadzi. *(Sędzina przynosi szklanę wody)*. Chyba na bank, cztery od sta, nie chcę, do domu odwiozę. Imość, mówiłem szklanę wody!

SĘDZINA.

Od dawna trzymam, ale jakeś ty zbladł kochanku, wody nie pij, może krople od alteracyi . . .

SĘDZIA.

Głupiaś, ze swoją alteracją, mnie brzuch boli.

SĘDZINA.

Może rumianku?

SĘDZIA.

Wolę rumianku, bo jakoś mi niedobrze.

SĘDZINA.

Mateusz, nastaw wodę, ja sama zrobię rumianek.

SĘDZIA.

Nie, nie chcę na 4 od sta.

SĘDZINA.

Co?

SĘDZIA.

To to, że aspani dzisiaj wyglądasz jak cytryna.

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Jest woda. Czy tu?

SĘDZIA.

A tobie durniu co takiego? Czy się wczoraj zapił? żółty jak szafran.

SĘDZINA.

Ależ, coś ci to jest moja duszko?

SĘDZIA.

Aj, Jezus Marya, piec żółty, ściana żółta.

SĘDZINA.

Miły Boże, jak mu żółto w oczach, będzie żółtaczka, tak jak z tą nieszczęśliwą sumą u Wierczyńskiego.

SĘDZIA.

Żółtaczka, zaprowadź mnie do łóżka, (*Sędzina go prowadzi*) posłać po doktora najlepszego.

SĘDZINA.

Byleś się duszko nie gniewał, dwa dukaty.

SĘDZIA (*z gniewem*).

Cóż to, ja nie mam za co? wyraźnie naposiadła się...

SĘDZINA.

Zmiłuj się, nie alteruj, będzie gorzej.



SEŃDZIA (*mile*).

Prowadź mnie, moje życie. Czy bardzo żółto w oczach?

(*Żona pod jedną, służący pod drugą rękę go wyprowadzają.*)

Scena V. — Raut u Prezesa.

(*W głębi stoliki obsadzone, od teatru grupy się przechodzą.*)

Grupa 1.

O s o b y.

PREZES *trzymając pod rękę LEONA* — *później PŁA-*  
CHECKL.

PREZES.

Przepraszam cię, mój Leosiu, powinienem był wziąć się gorliwie, i bez zwłoki wykryć rzecz całą, ale czemużeś nie przyszedł do mnie przypomnieć (*pauza*)? Prawda, takie rzeczy nie powinny potrzebować przypomnienia, ale widzisz, mam czasem słabość do tych durniów.

LEON.

Zresztą, jakże mógł Prezes mieć tak dalece w podejrzeniu Pułkownika, o którym zkądinąd nic złego nie słyszał.

PREZES.

Słyszał... No już to różnie bywało. Ale spodziewam się, że się tu częściej widywać będziemy.

LEON.

Dziś moje położenie zmienione, nie od siebie zależę, w tym momencie nie mam nic, i jestem w służbie u pana Brygadyera.

PREZES.

No, no, żartuj zdrów, znam starego przez pięć, jeszcze go tak dla nikogo nie widział, to nie bez kozery. (*Odchodzi*).

*(Przychodzi Płachecki w nowym fraku, mianowicie nie umie się obejść z kapeluszem, i jak tylko robi wielki giest, to się wstrzymuje.)*

LEON.

No, i cóżeście z panem Brygadyerem obradzili?

PŁACHECKI.

Stary Zaręba klękał, płakał, pokazało się pod mówili, mówiłem, od Sędziego, pan Brygadyer radził, na skrypcie odpisał, że zostawuje na lat trzy i z 6go procent 5ty, to jest.

LEON.

A kontrakt zastawny gotów?

PŁACHECKI.

Nie będzie zastawy, pan Brygadyer radził, dział zrobimy, to jest, pan dostaniesz sumę u hrabiego, a panna Anna, to jest, wejdzie w posiadanie Obłędów aż do wytrzymania summy, pan Brygadyer radził.

LEON.

Dobrze, jutro rano zeznamy.

PŁACHECKI.

To jest, pan Brygadyer mówi, że i od hrabiego można coś wydrzeć, to jest, trochę przydusić.

Grupa 2.

W drugim kącie.

O s o b y.

PAN JAN. — 1szy BAŁAGUŁA *później* KAROL.

P. JAN.

Uważasz, jak się kąta trzyma nasz biedny Kapitan, ogromnie się boi ze mną spotkać.

1szy BAŁAGUŁA.

O, wierzę że się boi.

P. JAN.

I jużbym mu był dał dotąd nauczkę, tylko że nasz Staś, co to zawsze chce, wiesz, z gruntu, odłożył za 6 tygodni. Ale co się przewlecze...

KAROL (*nadchodzi z tyłu*).

To uciecze.

Grupa 3.

CICHOCKI (*chodzi, ręce w tył*). SŁUŻĄCY, *później* HADZIEWICZ.

SŁUŻĄCY (*oddaje mu bilet*).

Od pana Pułkownika.

CICHOCKI (*rzuciwszy okiem na bilet*).

Ten człowiek oszalał, „jeżeli dziś może być u nas, to mu dać wiedzieć“ oszalał. Prezes w furzy, i przez pół roku nie będzie się mógł pokazać i dłużej, chyba na przyszłą zimę, jak przyjdą długie wieczory.

HADZIEWICZ (*nadchodzi*).

A wiesz Cichosiu, jak się zakończyła historia pana Leona Obłądzkiego, co tak świetnie zaczął, pamiętasz w Dubnie? a szkoda chłopca, lubiłem go.

CICHOCKI.

No, jak?

HADZIEWICZ.

Został pisarzem fabrycznym u starego Brygadiera, cha, cha, cha.

Grupa 4.

(Z przeciwnej strony galerya się rozchodzi i odstania siedzącą MARYĘ, przy niej P. FRANCISZEK, później LEON.)

P. FRANCISZEK.

Brygadyer sam z siebie dał dymisyę księciu Leopoldowi. Co to być może?

MARYA.

Pan dzisiaj w humorze żartobliwym.

P. FRANCISZEK.

Stosuje się do humoru pani, dawno ją nie widziałem tak wesołą, oczki się śmieją. Co to być może?

MARYA.

Serio, czy pan myślisz, (*ciszéj*) że co z tego będzie?

P. FRANCISZEK.

Przecież znamy pana Brygadiera i widzimy, że wziął na kiel, a pani wiesz, że jak co posta-

uowi, z trudnością się pani potrafisz oprzeć, zresztą mówił mi wyraźnie...

MARYA.

Zmiłuj się pan, uchwycić pana Zawiskiego, widzę, że się do mnie zbliża, dzień mi popsuje.

P. FRANCISZEK.

Leosiu, zastąp mię, proszę (*bierze pod rękę Zawiskiego i zasadza go przy stoliku wistowym*).

LEON (*zbliżając się do Maryi*).

Niech mi wolno będzie podziękować pani za opiekę nad siostrą, pani jej matkę zastąpisz.

MARYA.

Pan mi masz za wiele rzeczy podziękować, zem nigdy nie zmieniła mego o panu zdania, i za wiele rzeczy przeprosić, za niespokojności moje przez ten długi rok i okropne chwile w tych dniach ostatnich, kiedyś pan ginął ukąszony od tego węża.

LEON.

Mego złego ducha. Jakto, wtedy czuwał nademną mój dobry anioł?

MARYA.

Ciągle czuwał dobry przyjaciel, nigdy nie przestał czuwać.

LEON.

Maryo!

MARYA.

Czy mogę od pana żądać...

LEON.

Nie co pani rozkażesz, ale co zamysłisz, to, to nie słowa.

MARYA.

Spodziewam się, żeś pan odstąpił od uprzedzeń przeciw mojemu ojcu.

LEON.

Przeciw ojcu pani?

MARYA.

Wierz mi pan, to szlachetny człowiek. Podaj mu się pan zupełnie, to jego słabość. Któż niema słabości? Kto wie? ...

LEON.

Czy pani wiesz, że i z dołu patrząc na wysoką górę, dostajemy zawrotu głowy? dziś chodzę jak pijany.

MARYA.

Dawnośmy się nie widzieli, i mnie się trochę głowa kręci, odejdz pan.

LEON.

Maryo!

Grupa 3.

BRYGADYER. — KAPITAN.

BRYGADYER.

Powiadam aspanu, że mi się bardzo podobał, walny chłopiec, szlachetna dusza, i jak się przez rok przekonam że rządny i że się dobrze pro-

wadzi. Powiedzno aspan, dla czegobym mu nie miał dać Maryni? Zostaliby przy mnie, ha, co, wszak to jego dziad trzymał mnie do chrztu. (*Zbliża się do Maryi.*) A kto to mówił z aspaną? (*Maryja całuje go w rękę — do Kapitana.*) Powiadam aspanu, że mam słabość do tego dziecka.

*Kurtyna zapada.*

## Czytaj zamiast występu.

---

Panowie Galerya, co mnie czytać będziecie, lub co mnie czytać nie będziecie, ale mnie sądzić będziecie, nie łamcie sobie darmo głowy, kto Leon, kto Pułkownik, a kto Prezes, a kto Pieniążek...

Prezesem jesteś ty, tam, trzeci od prawego, jeżeli myślisz, że ci nie dano na świecie innego obowiązku jak jeść, pić, a w nocy nie spać ale grać.

Leon jest to ten młody człowiek, który ze swego moralnego stanowiska schodzi na wasze birbanckie, bo myśli, że musi być dobre, kiedy na nim stoicie wy, których on imię dzieckiem szanować się nauczył. Młody, nie wytrawiony, i chociaż go dobroduch na dawną odprowadza drogę, sam sobie rady dać nie może, bo jego moralna idea jeszcze nie przeszła w czyn.

Brygadyer, jest to ten praktyczny człowiek, ów, bez którego się koniec końców nie obejdziesz, musiałeś go spotkać w życiu.

**CZYTELNIK.**

A Pieniążek?



AUTOR.

Jakto, nie znasz? a masz ich trzech w powiecie, najmniej trzech. Owruckiego Pieniążka nie znam; musi być dobry. Znam takiego Pieniążka, którego byś mógł w Paryżu lub Londynie na pierwszym salonie pokazać. Poznański Pieniążek z odmianą. Ej, obejrzyj się, czyś ty sam nie Pieniążek?

CZYTELNIK.

A gdzież tam, to chyba mój sąsiad pan Kanapalski, a Marya?

AUTOR.

Nie spotkałeś?

CZYTELNIK.

Marzyło mi się, a jednak, wiesz, bałbym się, pantofel.

AUTOR.

Co szkodzi pantofel?

CZYTELNIK.

A Jan?

AUTOR.

Nie widziałeś w Berdyczowie?

CZYTELNIK.

Coś podobnego, ale nie tchórz, u nas to rzadko.

AUTOR.

Weź z Niemiec bursza co się nie uczy, z Anglii sportsmana co ma kiepskie konie. Weź od Francuza bretera co się niechętnie bije, posiekaj, pomięszaj, podlej naszą tężyzną i wydaj bez porządku, będzie Jan, ale to już przechodzi.

CZYTELNIK.

Pułkownik przesadzony.

AUTOR.

Wyznaję.

CZYTELNIK.

Więc to nie portrety?

AUTOR.

Mój panie, paszkwilów nie piszę.

CZYTELNIK.

To nie warto czytać, kiedy to nie prawda?

AUTOR.

Jakto, nie prawda, nie prawda?

CZYTELNIK (*na stronie*).

A takie się to robi obraźliwe, jak się broń  
Boże pióra dotknie.

AUTOR.

Nie prawda? Artystycznie prawda, są to mo-  
dele, odciski...

CZYTELNIK (*na stronie*).

Gliniane.

AUTOR.

Odciski, typy; gdybyś umiał po grecku, tobyś  
wiedział, że *τυπω* znaczy wybijam, wyciskam,  
zład... typograf.

CZYTELNIK.

Że z autora klej wyciska.

AUTOR.

Niewczesne żarty, mówię typograf, a nie

Graf Tipo, jak mylnie mniemał pocztowy pisarz na stacyi Niesuchoizkiej.<sup>1)</sup>

CZYTELNIK.

Znowuś się rozgadał, dobranoc, bo już późno, a tak mi się oczy kleją . . .

AUTOR.

Grzecznyś, dziękuję! (*Rozgniewany odchodzi.*)

CZYTELNIK.

I jemu pisać, wyraźnie choroba ich opanowała. No, chyba i mnie się wzięść do pióra, napiszę . . . choć chińską gramatykę. (*Odchodzi.*)

---

<sup>1)</sup> Historyczne.

P

J

K

## SPIS RZECZY.

---

|                                        | Strona. |
|----------------------------------------|---------|
| Pamięci Karola Drzewieckiego . . . . . | III     |
| Jeremi Wiśniowiecki                    |         |
| Prolog . . . . .                       | 5       |
| Część I . . . . .                      | 27      |
| Część II . . . . .                     | 151     |
| Kontrakty . . . . .                    | 211     |

